

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Marek Nowakowski

gdzie jest droga na Walne?

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Kiedy ranne
wstają zorze...

Autokar kolebał się po wybojach. Był to najgorszy odcinek głównej arterii miasta. Nawierzchnię zmieniono tutaj i tylko wąska część drogi, pełna dziur i kałuż, pozostała dla przejazdu. Mijali stację benzynową. Z tyłu budynek z placem z jaskrawym szyldem: „Samoobsługowy kącik napraw.”

Popatrzył z szoferki kierowca, pan Władziu, i powiedział wrogo:

– Kącik samoobsługowy! Co to nie wymyśla... A spróbuj coś naprawić! – Chyba skacowany po sobocie, czy miał przekrwione i nieogoloną szczec na brodzie.

Następnie na widok wielkiego napisu, który ni stąd, ni zowąd zdobił mur nieczynnej cegielni: „Kultura i estetyka miejsca pracy naszą sprawą nadrzędną” – tylko już splunął.

– Tak... – przyznał inżynier Jundziłł, który siedział najbliżej kierowcy – za dużo wszędzie tej literatury. Za dużo. Niby prawidłowo, a coś nie tak. Ja – przypominał sobie – jechałem taką taksówką, gdzie z osiem napisów: „Nie pluć”, „Nie palić”, „Nie trzaskać drzwiami”, „Nie zanieczyszczać siedzenia”, „Nie otwierać okienka”, tak jechałem sobie i czułem się jak w więzieniu. Same zakazy. A jakie staranne te tabliczki, metalowe, lakierowane... – zawodził śmiesznie. kresowym zaśpiewem

Dyrektor słyszał ten wywód. Jundziłł zresztą obrócił się do tyłu i szukał w jego oczach aprobaty.

Ale tamten nie podjął. Zagłębił się w lekturze *Atlasu grzybów jadalnych i trujących*.

– Taksówkarze mają ciężkie życie... – odezwał się kierowca, pan Władziu – rozmaita swolocz...

Już wjeżdżali na szosę wylotową z miasta. Nagle zgrzyt hamulców, i wszyscy podskoczyli na siedzeniach. Pan Władziu wychylił się z okienka szoferki. To trabant wyskoczył z bocznej ulicy i wpakował się prosto pod autokar. Gdyby nie ręka pana Władzia, pewna i szybka, byłby wypadek jak nic.

Więc wychylił się kierowca, twarz miał czerwoną z wściekłości, i wrzasnął:

– Gdzie się wpierdalias tą mydelniczką!

Ten w trabancie aż skulił się przy kierownicy. Władziu, warszawski cwaniaczek, zawsze coś takiego powie. Nawet Dyrektor zakrył dłonią usta.

– Chwała Bogu – pan Władziu otarł pot z czoła.

Skończyła się już zwarta miejska zabudowa. Badylarskie pola, gołębniki i teren, gdzie wznoszono nowe osiedle mieszkaniowe. Szare, ospowate pudła wieżowców, poryta buldożerami ziemia, dźwigi z zastygłymi w niedzielnym odpoczynku łapami. Niektóre bloki już zamieszkałe, z dachów sterczą anteny telewizyjne, a wśród stosów cegieł i prefabrykatów bawia się dzieci.

– A mówią, że demografia spada – zauważył inżynier Jundziłł, który nie lubił dzieci.

– To, jak państwo widzicie, typowa architektura linearna, czyli wzdłuż arterii komunikacyjnej... – mądrzył się kierownik rachuby, a mądry był tym, co usłyszał w telewizji. Coś jeszcze perorował, ale nikt go nie słuchał.

Kiedy już na dobre zaczęły się pola i chałupy ze słomianymi strzechami, zetemesowski działacz Zbrozek, jak wprawny dyrygent, uniósł się z siedzenia, rozłożył ręce i zaproponował: – Może coś zaśpiewamy? – I zaraz też donośnym, wyćwiczonym na różnych akademiach i obozach głosem zaczął: – „Szła dziewczeczka do laseczka, do zielonego...” – Część uczestników wycieczki podchwyciła i tak sobie śpiewali: – „Napotkała myśliweczka bardzo śwarne-go, ha, ha...” – kołyszac się w takt.

A inżynier Dopierała, przezywany Tylko do Przodu, przyłapał się na tym, że zupełnie bezwiednie wbrew chóralnej pieśni nuci: – „Kiedy ranne wstają zorze...” – To chwyciło go z samego rana. Już przy goleniu i później, w drodze na miejsce zbiórki niedzielnej wycieczki, też. Więc zdusił w sobie te natrętne „zorze”, ale i bzdurnej „dzieweczki” nie śpiewał. Popatrzył w okno. Pogoda ładna, jesienna, z pól szły w górę i rozwiewały się sinawe mgły. Trochę samochodów na szosie, motocykle, kilku rowerzystów, też chyba na grzybobranie. Taki sam jęcz jak ich zatrzymał się na poboczu i wycieczka wysypała się z wnętrza autobusu na dwie strony szosy w krzaki: mężczyźni na lewo, kobiety na prawo.

– Może i my... – zwolnił kierowca, pan Władziu.

Ale nikt nie miał takiej potrzeby.

Patrzył inżynier Dopierała na polno-łąkowy pejzaż. Krowy – łaciate posągi, rozbrykany żrebak, stary chłop wsparty o kij gapi się nieruchawo gdzieś w górę. Uśmiechnął się inżynier Dopierała do swego sąsiada na siedzeniu obok. Był to jego kolega jeszcze z polibudy, Prawiczek.

– Fajna pogoda – rzekł – odetchniemy trochę, no nie?...

Prawiczek przytaknął. Zaraz inżynier Dopierała obrócił się do tyłu i zaczął rozmowę z Dyrektorem o nowych prototypach z licencji szwajcarskiej, nad którymi właśnie pracowali.

– Tak, tak... – powtarzał – słusznie pan dyrektor to podkreślił... – I raz po raz te swoje jasne, czyste oczy w Dyrektora wlepił.

Patrzył na niego ukradkiem Prawiczek, ciągle zadziwiony. Ta zimna biegłość kolegi, grzeczność, błyskotliwość i pełne szacunku potakiwania. Właśnie jego dźwięczny, ciepły głos: – ...bez wątplenia, należy skorygować, zgadzam się z panem dyrektorem, ponadto parametry...

Dyrektor, otyły i posiwały, z twarzą, która nie wyrażała nic, kiwał głową. I tak dyskutowali.

A cała wycieczka wybuchnęła gromkim śmiechem. Oto na polnej drodze karłowaty kundel zabierał się do amorów. Dopadł dużą sukę i nieudolnie próbował sobie z nią poradzić.

– Ale napalony! – zawołał kierowca, pan Władziu, i pokazał ręką to widowisko.

Suka oganiała się gniewnie. Kundel nie ustępował. Zaśmiewali się wszyscy.

– Takie to życie, pani Mariolu... – dodał pan Władziu z obłudnym westchnieniem. Z tym komentarzem zwrócił się do najładniejszej dziewczyny w biurze projektowym.

Ona siedziała majestatyczna i odęta jak gwiazda filmowa. Spojrzała na niego pogardliwie.

– Fordanserka... – zamruczał pan Władziu – przed wojną takie nadzianym gościom czczone na stole tańczyły.

Do Marioli cały czas robił maślane oczy jej wierny wielbiciel, inżynier Pawлуśkiewicz. Chudy jak tyka, jechali na grzybobranie, a on w czarnym garniturze, białej koszuli i pod krawatem. Czekoladki jej podtykał i zalatywało od niego jakąś niedzielną wodą kolońską. Śmieszny amant.

Równocześnie dwaj najstarsi urzędnicy z księgowości zaczęli swój odwieczny spór.

– To mówisz pan, że służyłeś w Grudziądzu?

– Tak, w 11 pułku kawalerii, panie kolego...

– Nie przypominam sobie, żeby tam stała taka jednostka, najwyżej mogłeś pan być na szkole, Centrum Wyszkozenia Kawalerii, kolego...

– A porucznika Arciszewskiego pan pamięta?

– Arciszewskich, drogi kolego... pięciu było o tym samym nazwisku oficerów.

Spór zaostrzał się. Jak zaciętrzewione koguty wyłapywali ze swych wspomnień rozmaite nieścisłości. Szykowali na siebie chytre pułapki.

Ale i ta dyskusja wkrótce też wygasła. Autokar mknął asfaltową szosą. Gładko i miękko jechało się teraz. Sennie zaczęły opadać głowy. Niektórzy nawet pochrapywali. Jedynie inżynier Dopierała, przezywany Tylko do Przodu, nie drzemał. Siedział wyprostowany sprężysto

i patrzył w okno. Jesienny pejzaż, kępy drzew, czarna, zaorana ziemia. Smutne i przygnębiające wydało mu się to naraz. Przypomniał mu się ostatni wyjazd służbowy do Anglii. Pewien fragment właściwie, niezwykle wyrazisty, dokładny, jak zarejestrowany na taśmie filmowej. Bo prawie nic z pobytu w samym Londynie nie zostało mu w pamięci. Konferencje w kooperującej firmie, jego nieśmiała angielszczyzna, trema, tamci faceci, zapoznavanie się z nowymi przyrządami pomiarowymi, potem łązega ulicami z planem miasta, zakupy w tanich sklepikach, nocne Soho... To nie było ważne i już prawie zatarło się całkowicie. Mgliste i pełne luk. Tylko ten wypad na weekend. Zaproszony został przez młodego inżyniera. Walter miał na imię, był raz w Polsce, u nich w biurze projektowym właśnie. Więc ten Walter, wysoki, opalony, cały czas szeroki uśmiech. Jakaś knajpę z Warszawy sobie zapamiętał. Aha, „Krokodyl”. W jego wieku ten Walter. I tak jakby czuli do siebie wzajemną sympatię. Rówieśnicy... Autostrada, volvo już za miastem, świetny sportowy wóz. Walter prowadzi niedbale, ale pewnie. Parkowy pejzaż, osiedle małych, trochę jak zabawki, domków. Też jesień wtedy. Może tylko cieplej. Już są na miejscu. Podjazd, klomb, trawniki, wysokie drzewa, czy gra w tenisa, pyta Walter. Niestety, nie grał. Teraz chodzi dwa razy w tygodniu na korty Legii. Nieźle już sobie daje radę. Drewniany dom z ganeczkiem, kolumnienki oplecione purpurową winoroślą. Z tyłu kort, słycać klekot piłki. To dzieci Waltera grają w tenisa. Ciemne wnętrze, hall, kominek, ogień w kominku, błyski płomienia i cienie, przytulnie, nastrojowo, whisky, a może gin, grzechot kostek lodu. Żona Waltera, Kate, wysoka, bardzo zgrabna, może zbyt chuda. Życzliwi oboje, chwala jego angielszczyznę, correctly, really correctly... Jeszcze jakiś sąsiad czy ktoś przychodzi. Ogorzały, w pumpach. Starszy. W wojnę stykał się z Polakami. Pod Tobrukiem. Bardzo chwali. A w nim cały czas takie cholerne napięcie, dygot, poczucie zagubienia, obcość, wrogość, wstyd, żal... Pociły mu się dłonie. Nieznacznie wycierał o spodnie. Tamci mówią o swoich zarobkach. Pytają jego. Odpowiada. A jakiego ma bossa? Wtedy pomyślał o swoim zażartym, bezwzględny pojedyńku z Dyrektorem. Dobry boss, odparł, świetny fachowiec, organizator. Fine, fine, powtarzają Walter i ten starszy w pumpach. Czy spodziewa się awansu? Wtedy był prawie pewien. Już tak jednoznacznie dali do zrozumienia w komitecie powiatowym. Jak oni to powiedzieli? Aha, witamy towarzysza dyrektora. Niby tak żartem, a jednak serio, bo dni Dyrektora były wtedy policzone. Ale tego nie mógł powiedzieć Anglikom. Tylko: spodziewa się, będzie przeniesiony do innej placówki badawczej na kierownicze stanowisko. Znowu się ucieszyli. Great, fine, that's right... Uśmiechali się do niego, on do nich. I cały czas ten mur, szczelny, mocny, nie do usunięcia. Bolało go to, uwierało natarczywie, męczyło. Czy lubi lekką muzykę, czy poważną? Poważną, odparł machinalnie. Zaraz Bach z adapteru stereo. Żona Waltera rozpromieniona. Ona też lubi tylko poważną. Walter oprowadza go po domu, sypialnia, łazienka, pokoje dzieci, znowu łazienka, salon, biblioteka. A to pracownia, uśmiecha się z dumą. Warsztat stolarski. W wolnych chwilach tym się zabawia. For rest... Szafka, półki, stołeczki. Kiwał głową, podziwiał i uśmiechał się, kiedy wypadało. Równocześnie to drańskie, natarczywe przygnębienie nie opuszczało go ani na chwilę. I tak staro się poczuł. Walter, choć rówieśnik, jak szczeniak, żółtodziób dla niego. I tym właśnie się pocieszał. Uśmiechając się szeroko, a obłudnie do niego, powtarzał sobie: Co ty tam wiesz o życiu, neptku... Nareszcie noc, nareszcie był sam, pokój na górze, gościnny pokój, długo nie mógł zasnąć. A wokół tego drańskiego wrzenia w sobie czuł spokój, równowagę, to było w powietrzu, otaczało go, przychodziło wraz ze szmerami nocy...

Jeszcze bardziej wyprostował się, przywarł twarzą do szyby i żeby tę dokuczliwą babraniem przegonić, całkiem bezwiednie „Kiedy ranne wstają zorze” zanucił. Tak samo jak przy „dzieweczce”, dopiero po chwili zorientował się, że nuci. Urwał zaraz i zacisnąwszy wargi, rozejrzał się po siedzeniach. Spali wszyscy. Obrócił się do tyłu i napotkał oczy Dyrektora. Poczł się nieswojo. Uważne, przenikliwe oczy. Popatrzyli na siebie. Zaraz inżynier Dopierała, przezywany Tylko do Przodu, uśmiechnął się jak automat, szeroko i ujmująco. Po chwili

zaś poczuł śliski metal w palcach. Cały czas, Anglię wspominając, bawił się tym ronsonem, gazową zapalniczką, właśnie tam kupioną. Wzrok Dyrektora przypomniawszy mu o tym. Szybko schował ją do kieszeni. Dyrektor już nie patrzył na niego. Przymknął oczy. A może wcale nie patrzył? I zdawało mu się tylko? Chwilę zastanawiał się nad tym.

*

Zatrzymali się na bocznej drodze między wysokopiennym lasem liściastym a sosnowym zagajnikiem. Słońce stało już wysoko i jesienna przyroda rozbłysła wielobarwnie, a piach był nagrany, przyjemny. Miejsce wydało się wszystkim odpowiednie. Chyba z pięć kilometrów od szosy w głąb lasu wjechał pan Władziu. Inżynierowie, technicy, ich żony, kreślarze, urzędnicy z planowania i rachuby, kadrowiec i jego referenci wysiadali ochoczo, przeciągając się i prostując zdrewniałe nogi i krzyże. Pusto tutaj i w pobliżu nie widać było ani nie słychać żadnych innych grzybiarzy.

A jedna z inżynierskich żon przypomniawszy sobie, że w zeszłym roku w tym właśnie lesie zebrano niezwykłą obfitość grzybów.

– Nawet rydze... – powiedziała i w oczach jej zabłysło podniecenie.

Rozejrzała się. Właściwym wydał się jej kierunek w stronę sosnowego młodnika. Zaraz też ruszyła tam z wiklinowym koszykiem. Za nią kilku najbardziej niecierpliwych poszukiwaczy.

Pan Władziu, skończywszy obstukiwanie opon, wlaź pod autokar i coś tam sprawdzać zaczął. Śmiesznie wystawały mu szeroko rozłożone nogi.

Rozpoczęło się więc niedzielne grzybobranie.

Niektórzy udali się od razu w głąb lasu. Inni, przeważnie młodzi, rozłożyli się wygodnie na piaszczystym wzgórzu, ustawili tranzystorowe radio i spierali się na temat zawieszenia podwozia nowego fiata. Wołać też zaczęli na rozjemcę kierowcę, pana Władzia, ale on ciągle był zajęty pod autokarem. Przewodniczący rady zakładowej, stary ochlapus, sięgał już po butelkę, ale zatrzymał się napotkawszy karcący wzrok Dyrektora.

– Wszystko rozumiem, kolego – powiedział Dyrektor – sądzę jednak, że trochę powietrza, ruchu należy zażyć w pierwszym rzędzie...

Na tym też stanęło. Przewodniczący przytaknął i butelkę schował ponownie do torby. Zresztą kto go tam wie... Poszedł w krzaki, może sobie gołnął?

Mariola w otoczeniu kilku wielbicieli wybrała się na spacer. Odprowadzały ją niezbyt życzliwe spojrzenia kobiet. Szła kołysząc zadkiem, a jej wysokie obcasy zapadały się w piachu. Wielbiciele zbierali dla niej bukiet z paproci i liści. Dotarli do rozległej polany. Wiejskie dziewczynki pasły tutaj krowy.

– Co za uroczy spokój – Mariola przeciągnęła się kocio. Była w wielkich okularach, tak zwanych goglach. Jej wysokie piersi sterczały obciśnięte sweterkiem. Dziewczynki pasące krowy rozpoczęły hałaśliwą kłótnię. Targały się za warkocze i wrzeszczały.

– Gówno! – wykrzykiwała jedna z nich. – A właśnie gówno!

– Jak ty nieładnie mówisz – powiedziała surowo Mariola. – Fe!!

– Ładnie, proszę pani – odpowiedziała rezerwowo mała – to nowoczesne mówienie.

Roześmieli się. Tylko inżynier Pawлуśkiewicz, który w swoim czarnym garniturze wyglądał w lesie jak zjawa, oburzył się gwałtownie:

– Wstrętny bachor!

I poszli dalej.

W ostatniej grupie ruszył w las Dyrektor. Szedł z nim główny konstruktor z żoną, kierownik rachuby, kadrowiec i inżynier Dopierała. A nieco z tyłu nieśmiały Prawiczek. Inżynier Dopierała zapewne tylko ze względu na Dyrektora. Grzybami raczej się nie interesował. W ogóle niewielką miał ochotę na tę niedzielną wycieczkę. Ale skoro Dyrektor... Więc zdecydował. Zadzwoił do narzeczonej i umówili się na wieczór.

I tak idąc u boku Dyrektora, uważnie wsłuchany w jego wywód o nowych wskaźnikach niezawodności i własnościach przysyłanych materiałów, rozmyślał sobie na marginesie, że ta sprawa z narzeczoną też go ustawia jakoś. Była to badylarska córka. A być może – druga jego żona wkrótce. Z pierwszą rozwiódł się przed dwoma laty. Przez chwilę nawet wyobraził sobie siebie prowadzącego czerwony samochód marki „Volvo”. Ten typ wozu cenił najwyżej. Wstydlive to jednak marzenie i krótko tylko pozwolił swojej wyobraźni na takie rozmamłanie. Z energią i swadą zaczął rozprawiać o nowym przyrządzie pomiarowym na zasadzie laserowej, o którym wyczytał niedawno w amerykańskim kwartalniku technicznym. Również z satysfakcją zorientował się, że o tych najnowszych zdobyczach naukowo-technicznych Dyrektor mizerną posiada raczej wiedzę. Więc brylował na ten temat jeszcze bardziej ochoczo.

Tymczasem pozostali członkowie tej grupy zaczęli się już rozpraszać, wpatrzeni w ziemię, ogarnięci rosnącą grzybową pasją. Bo właśnie zaczęły się pojawiać pierwsze grzyby. Żona głównego konstruktora znalazła dwa małe, ale niezwykle kształtne kozaczki. Najosobliwiej wyglądał kadrowiec. Szedł z pochyloną głową, jakby węszył. Skupiona, tropicielska twarz.

– Pies policyjny – powiedział ponuro kierownik rachuby, który za kultu jednostki przesiedział się parę ładnych lat. A dlatego tak powiedział, że stary kadrowiec był z tamtej ekipy właśnie. Ale teraz nawet całkiem ludzki i specjalnie się nie czepiał.

Pierwsze grzyby zwróciły również uwagę Dyrektora, wkrótce też i inżynier Dopierała, przezywany Tylko do Przodu, coraz częściej zaczął popatrywać w ziemię. Jeśli z początku tak sobie szli spacerkiem, rozprawiając o rozmaitych wskaźnikach i prototypowych przyrządach, to już później mówić przestali, a ich oczy pilnie wypatrywać grzybów zaczęły w leśnym podszyciu. Coraz częściej trafiały się kozaki i betki.

Inżynier Dopierała odkrył w kępie brzoź całą kolonię czerwonych kozaków. Ucieszył się całkiem dziecinnie. Zrywał i pakował do plastikowej torby.

– Dziesięć! – wykrzyknął.

– Obfity łup – przyznał Dyrektor.

Ruszyli dalej. Już coraz częściej pochylali się gwałtownie, znajdując zdobycz lub przeżywając rozczarowanie z powodu fałszywej urody grzybów trujących. Wątpliwości w tej kwestii rozstrzygali, korzystając obaj z książeczki, którą zabrał ze sobą Dyrektor. Był to *Atlas grzybów jadalnych i trujących*. Więc stojąc tak nad jakimś podejrzanym okazem wertowali stronicę i napotykali na odpowiednią kolorową ilustrację.

– Niestety – stwierdzał Dyrektor.

– Przykra pomyłka – przyznawał inżynier Dopierała.

Trafił się też fałszywy rydz, łudząco podobny do prawdziwego, tylko kiedy przecięli scyzorykiem korzeń, nie było w nim czerwonej, krwawej pręgi, która jest zawsze znamiem rydza.

Rozwinął się przy tym poszukiwaniu pewien zabawny rodzaj pojedynku między nimi. Otóż Dyrektor, okazało się, był erudyta z grzybiarskiego podręcznika. Ale i Dopierała fachowiec. Tylko z wiedzą praktyczną. I ścierały się te dwie szkoły: nazewnictwa pospolitego i nazewnictwa w literaturze fachowej obowiązującego. Więc jeśli napotkali na swym szlaku żółtego grzyba o strzępiastym, nieregularnym kapeluszu na cienkiej łodyżce, to – pieprznik jadalny – Dyrektor powiadał, a inżynier Dopierała po prostu – kurka – mówił. Kiedy znów odkryli gatunek głęboko ukryty w piachu, z zieloną główką, to Dyrektor nazwał grzyb gąską, natomiast inżynier Dopierała – zieleniątka – powiedział. Dyrektor w tym momencie pomyślał chwilę i łacińską nazwę tego grzyba jeszcze dorzucił: – *Tricholoma equestre*... – Niezłą ma pamięć, musiał przyznać inżynier Dopierała, przezywany Tylko do Przodu.

Szli teraz wąskim, wydeptanym przez grzybiarzy tropem. Grunt był podmokły, grubo wyścielony liśćmi.

– Uwaga – ostrzegał Dopierała – powoli...

A pod młodym bukiem obaj równocześnie zauważyli dorodnego prawdziwka. Okaz po prostu. Taki jak to czasem Wicherek pokazuje w telewizji. Obaj ogarnięci gorączką odkrycia podbiegli do grzyba. I pierwszy już schylał się inżynier Dopierała. Już miał zrywać. Nagle jego ręka znieruchomiała, cofnął się zaraz. Dyrektor, który podbiegł do grzyba z drugiej strony, również znieruchomiał.

– Proszę, panie dyrektorze... – inżynier Dopierała wykonał szeroki, gościnny gest.

– Ależ pan był pierwszy, kolego – odparł Dyrektor i jego dłoń cofnęła się od grzyba.

– Skąd? – zaprzeczył inżynier Dopierała. Wyprostował się i odsunął o krok od grzyba.

Pograżyli się w takim swoistym wersalu, odstępując sobie nawzajem zdobycz.

– Jakże to... – bronił się, ale coraz słabiej Dyrektor.

– Ależ tak, tu liczą się sekundy, jak w biegu – Dopierała.

– Przecież pan... – Dyrektor już wpatrzony w tego potężnego, o rozłożystym kapeluszu borowika.

– Skąd, pan pierwszy – Dopierała.

– No, skoro tak... – ustąpił wreszcie Dyrektor. Kucnął i delikatnie wyciągnął z mchu borowika. Zaświeciły mu się do niego oczy. – Okaz – powiedział.

– Żeby tylko nie szatan – zatroskał się inżynier Dopierała, przeżywany Tylko do Przodu. Wyskubał ździebełko spod kapelusza. Skosztował. – Dobry – uznał. I pomyślał o skutkach swojej porażki z Dyrektorem... Bo przecież od czasu kiedy jego akcja podjazdowa skończyła się fiaskiem, ani razu nie wyjechał w podróż służbową do kapitalistycznych kontrahentów. Ani razu. A przedtem: Belgia raz, NRF trzy razy, Anglia dwa razy... Teraz tylko KDL-e. Najczęściej ta nudna Bułgaria. Uziemił go Dyrektor... I zacisnął mściwie usta. Ogarnęła go gorycz, równocześnie rosnąca zawziętość. Krótco, ułamek sekundy to trwało, popatrzył spod przymrużonych powiek na Dyrektora. Grubawy, wyłysiały, z resztkami kędzierzawych szpakowatych włosów. Oglądał zdobycz. Uśmiechał się z upodobaniem. Gładził kapelusz grzyba.

Ta zawziętość w nim była jak kamień. I cierpliwość jednocześnie. Więc znowu uśmiechnął się ujmująco i powiedział:

– Cudowny. Chyba rekord. Sądzę, że nikt podobnego nie znajdzie...

Dyrektor również odwzajemnił mu się uśmiechem.

– Jakby w prezencie od pana, kolego – powiedział.

A Prawiczek, ten nieśmiały, delikatny jak panienka inżynier, przycupnął w krzakach i patrzył na tę scenę jak urzeczony.

*

Zmęczeni kilkugodzinnym penetrowaniem lasu, rozsiedli się pod wielkimi dębami, co rosły na wzgórzu. Królem grzybobrania został obwołany Dyrektor. Jego borowik okazał się największym grzybem spośród wszystkich zebranych dzisiaj.

Więc z grzybami sprawa już zakończona i wygodnie sobie siedzieli pod dębami. Cicho było i przyjemnie tutaj. Tak jakoś zapatrzili się wszyscy w las rudopurpurowy, ścianą przed nimi występujący, po drugiej stronie ciemna zieleń sosnowego młodnika i ta polana nagrzana słońcem, a łagodna jesienna mgiełka spowijała wszystko.

– Oj, patrzcie!! – Mariola wskazała w górę.

Puszysta brązowa wiewiórka jak tanecznica śmignęła z gałęzi na gałąź. Coraz to zatrzymywała się i zerknęła bystro czarnymi ślepkami na siedzących na dole wycieczkowiczów z biura projektowego Elektromotu.

– Miłe stworzonko – przyznał kierowca, pan Władziu. Jego wilcza, cwaniacka twarz też złagodniała. A zwierzątko zsunęło się na ziemię i hasało w pobliżu ludzi. Niekiedy stawało słupka, z przednimi łapkami wysuniętymi przed siebie. Patrzyli na wiewiórkę. Aż wreszcie

zniknęła gdzieś. Siedzieli sobie w cieniu dębów, niektórzy nawet pokładli się i dobrze im było, jesienno i błogo.

– Wspomnienia budzą czar – powiedziała nagle Mariola. Jej cierpliwy adorator, inżynier Pawлуśkiewicz, wpatrzył się w nią z nadzieją. Ale ona nie patrzyła na niego. Przebierała palcami w bukietcie złotych liści i pożółkłych paproci, bukiet szeleścił lekko.

– Ona kocha się w jakimś aktorze... – zauważył złośliwie Lesiak z kadr i trącił inżyniera Pawлуśkiewicza w plecy. – Taki amant, Amerykaniec, zapomniałem, psiakrew, jak się nazywa...

Inżynier Pawлуśkiewicz nie usłyszał. Nadał patrzył w ładną, nieco lalkowatą twarz dziewczyny. Siedziała ta Mariola wyzywająco. Nogi trzymała wysoko uniesione, spódniczka krótka i widać tam dużo pod spodem. Zaświeciły się oczy kierowcy, pana Władzia, i żurawia tam zapuścił. Mariola jak w transie, rozmarzona, nieobecna. Może romantyczny kochanek jej się objawił? Przychodzi z nagła i porывa ją gdzieś w inny, wspaniały świat... Uśmiechnęła się nieśmiało i westchnęła.

Taka to była chwila liryczna na tym wzgórk pod dębami.

Prawiczek, nieśmiały i cichy obserwator, patrzył na ludzi i wydawali mu się biedni, wzruszający jacyś i żalśni. Szarpią się, chcą się zrywać, a łańcuch nie puszcza. I sam też był na tym łańcuchu. A ta błogość w jesiennym słońcu to pauza tylko. I przypomniał mu się Nicnowski Las. Był na pierwszych studenckich wakacjach z dziewczyną. Zgubili się w tym lesie, krążyli zmęczeni wiele godzin, las rozrastał się jak puszcza, a potem okazało się, że w kółko krążyli. Niewielki ten Nicnowski Las. Niby las tylko, nic właściwie...

Dyrektor leżał na murawie, ręce pod głowę podłożył i patrzył w niebo. Było czyste, niebieskie i tylko tu i ówdzie śnieżne chmurki jak puch. Miasteczko rodzinne mu się przypominało. Ojciec krawiec, stukot maszyny do szycia, szepczą rodzice nocą, chcą go wysłać do gimnazjum na dalszą naukę, słyszy te szepty jakby dziś, obliczają, drobiazgowo nad tym nocą rozprawiają. I na chwilę nieustanne napięcie ustąpiło w nim bez śladu. Poczł się lekki, swobodny. Warkot maszyny do szycia, spokojny rytm, ład i ciągłość. Aż wierzyć się nie chce, że przyszedł taki czas: ani śladu maszyny do szycia, domu, ojca, nikogo.

I pomyślał o tych latach, które później przyszły.

Wydały mu się jałowe i zmarnowane. Poczł się starym, bezsilnym człowiekiem. Trochę jeszcze chociaż słońca, tylko tyle, nic więcej, dobre jest jesienne słońce, łagodne, nieostre... Podniósł głowę i napotkał czujne, zimne oczy inżyniera Dopierały. Wzdrygnął się. Znów wróciło napięcie.

Już szykował się piknik. Już rozpakowywano torby. Już zapobiegliwe kobiety rozkładały na serwetkach kanapki z wędliną, ser, kurczaki, salaterki z sałatkami, jajka na twardo i kotlety, pomidory i kwaszone ogórki. Mężczyźni wyciągali butelki i termosy. Napelniano plastikowe kubeczki.

Patrzył inżynier Dopierała, przezywany Tylko do Przodu, na tę gospodarną krzątanicę i była w nim pogarda. Barachło – myślał. Ale twarzy jego ani przez chwilę nie opuścił szczerzy, szeroki uśmiech. Ten uśmiech cały czas towarzyszył przygotowaniom do biesiady. Sam też wyciągnął ze swojej granatowej torby podręcznej z napisem „Sabena” butelkę jarzębiaku w pleconym koszyczku.

– Pan inżynier zawsze taki elegancki – powiedziała któraś z kobiet.

Nie zauważył nawet która, ale uklonił się szarmancko.

– Abyśmy... – zaczął kierowca, pan Władziu, i zwrócił się w stronę Dyrektora. – Zdrowie pana dyrektora... – Stropił się naraz. Przecież prowadzi wóz. Uśmiechnął się niepewnie i wyjaśnił. – Ja, panie dyrektorze, tylko symbolicznie, że tak powiem, troszkę odpiję i ani łyka więcej... – Ale wypił stary oszust do dna.

Tak zaczął się ten piknik grzybiarskiej wycieczki Elektromotu, w jesiennym słońcu, wśród nitek babiego lata łagodnie muskających twarze. Głodni wszyscy, więc i apetyt był, i wódka

niezłe szła. Panie krztusiły się i pociągały po łyżeczku, a mężczyźni do spodu. Nawet inżynier Pawluśkiewicz ośmielił się i do Marioli przepił. Ona uśmiechnęła się do niego całkiem sympatycznie.

Dyrektor zadzwonił szczyrykiem w talerzyk i uniósł do góry swój plastikowy kubeczek.

Ucichła wrzawa i śmiechy. Wpatrzono się w niego. A on powiedział tak:

– Korzystając z miłej okazji, chciałbym podziękować radzie zakładowej za piękną inicjatywę...

Przewodniczący rady, niezłe już zaprawiony, zaczął klaskać i wołać donośnie: – Hura! Hura! – Uciszone go jakoś.

Dyrektor mówił dalej: – ... to znaczy za zorganizowanie tej naszej niedzielnej wyprawy, która się tak przyjemnie kończy właśnie teraz. Po prostu myślę o swoich osobistych wrażeniach. Więc, koledzy, odsapnęło się trochę w słoneczku na łonie natury.

Wszyscy ochoczo przytaknęli.

– Za zdrowie wszystkich obecnych i nieobecnych, za pomyślność każdego z nas, za nasze biuro konstrukcyjne i jego wyniki, za nowe sukcesy zespołu i jednostek, pozwolę sobie... – wychylił do dna plastikowy kubeczek.

Oklaski. Bardzo to ładnie powiedział. Inżynier Dopierała wstał i klaskał najgłośniej.

Patrzył Prawiczek na Dyrektora i zastanawiał się, czy on naprawdę tak wszystkim zdrowia życzy, czy naprawdę szczerą, zgraną gromadę widzi tylko? Czy nie widzi wśród obecnych tego Brzękowskiego, który w tamtym, pamiętnym czasie tak na niego szczuł i rywalizował z Dopierałą? Czy nie widzi tego wrednego Jundziłła, co tak ostentacyjnie powiedział: – No, teraz koniec, wreszcie i na naszym podwórku zrobi się porządek... – i patrzył wyzywająco na Dyrektora...

Tak myślał Prawiczek i czuł się zupełnie zagubiony. Ale po chwili jego uwagę zwrócił znów toast inżyniera Dopierały Dyrektorowi w odpowiedzi.

– Chciałbym... – zaczął uroczyście ten jego kolega jeszcze ze studiów, przezywany Tylko do Przodu za pazerną skłonność do kariery – chciałbym w imieniu całego naszego biura konstrukcyjnego, myślę bowiem, że będę wyrazicielem wszystkich, podziękować towarzyszkowi dyrektorowi za te ciepłe, serdeczne słowa skierowane do nas... – tu lekki skłon i spojrzenie w stronę Dyrektora – w tej atmosferze koleżeńskiego wypoczynku na tej bardzo udanej wycieczce tak przecież wyraźnie, dobitnie wystąpiły mocne więzi łączące nasz kolektyw, pokazały jego integrację i nadrzędny cel, każdemu bliski, każdemu najważniejszy. W tym miejscu należy podkreślić, myślę również, że będę wyrazicielem wszystkich, rolę naszego zwierzchnika, źle, zbyt sztywno to powiedziałem, rolę naszego zwierzchnika i przyjaciela, który potrafił stworzyć prawdziwą więź między nami i powodować tak naszą pracą, że śmiało możemy nazwać się przodującą placówką prototypowo-badawczą w skali krajowej naszego przemysłu elektrotechnicznego... Za dalsze sukcesy i za zdrowie naszego dyrektora!! – tak mówił inżynier Dopierała Złotousty i cały czas patrzył w oczy Dyrektora.

A Dyrektor stał (bo wstał właśnie podczas tego toastu) i patrzył na niego.

I wtedy przypomniał się Prawiczkowi tamten czas. Te spojrzenia dwuznaczne, nachalnie świdrujące Dyrektora. Te szepty i uśmieški. Dyrektor trzymał się jakoś, nadrabiał miną, ale postarzał się w tamtym czasie znacznie. Ten nieustanny, lekki dygot palców, kiedy pił herbatę. Dzwoniła tym dygotem powodowana łyżeczka. I te napisy, które zaczęły się pojawiać w klozetach. Ktoś miał talent, bardzo udana karykatura Dyrektora powtarzała się wielokrotnie. A Dopierała w tym wszystkim jak ryba w wodzie, pogodny, kipi energią i radością. Działa, cały czas działa. Zachodzi do pracowni, do personelu administracyjnego, niby coś sprawdzić, skorygować polecenie, i gada, otaczają go ludzie, a on gada ze swadą. A potem to pamiętne zebranie, ludzie jak zgłodniałe psy na Dyrektora, wszystkie braki, żale, wadliwości, świństwa i uchybienia zwalają na niego. I ciągle w tym uśmiech Dopierały. I ta jego troska obywatelska. Pod koniec zebrania prosi o głos: – Należy zlikwidować, towarzysze, dotychczasowe

błędy, uzdrowić atmosferę i usprawnić zarządzanie, czas już najwyższy powiedzieć wszystko pełnym głosem... – Pochylona nisko głowa Dyrektora. Te chwile w bufecie, klepie Dopierała Prawiczka po plecach: – No, mój stary, nowe czasy, zmiany, czystka, można już to powiedzieć – zawiesza głos – może ja trochę zabawię się w dyrektora, jak sądzisz, dam radę?... – Zmęczona, poszarzała twarz Dyrektora. Zrywa się Dopierała, podsuwa mu krzesło. – Proszę, towarzyszu!! – Grymas na twarzy Dyrektora, już mu nawet trudno udawać uśmiech. Tak to trwało miesiącami...

– Dziękuję, kolego inżynierze – posłyszał Prawiczek głos Dyrektora. Cichy, jakby wzruszony głos.

I znowu były oklaski. I kłaniali się sobie, i uśmiechali. Krąg biesiadujących patrzył na nich i również uśmiechał się serdecznie.

Inżynier Dopierała usunął się skromnie na ubocze, zapalił papierosa i otarł pot z czoła. Równocześnie zauważył to spojrzenie Prawiczka. Wstręt i obrzydzenie odczytał w jego oczach. Uśmiechnął się więc do kolegi, tak tym uśmiechem o wyrozumiałość prosił, ujął go pod ramię i jeszcze bardziej usunęli się na ubocze.

– Czy myślisz, że ja go naprawdę nienawidzę... – inżynier Dopierała mówił szeptem prawie, rozejrzawszy się uprzednio, czy ktoś niepowołany nie słucha czasem – skąd? gównu prawda... – zaświeciły mu się kpiarsko oczy – ja po prostu idę do przodu, gram, punktuje, wtedy był taki czas i tylko sposobem można było, skorzystałem, wróg, nam trzeba swoich ludzi i tak dalej, tym się posługiwałem, zgoda, bo taki był regulamin gry, cynizm, powiesz, zgoda, ale szlachetne zasady, kochasiu, dawno już zbankrutowały, plajta, śmietnik, tam sobie gniją, liczą się tylko sposoby... – zamyślił się, żuł trawkę.

Prawiczek patrzył na niego ciągle z obrzydzeniem, ale narodziło się też w nim coś nowego: fascynacja.

– Taki właśnie był czas... – podjął inżynier Dopierała – wredny czas, zgadzam się, ale właśnie w związku z tym on był na słabej pozycji, sam wiesz, a ponadto wychylał się, ciągle wychylał się, ja wiem, dobrze wiem, występował w imię zdrowego rozsądku... – uprzedził protest Prawiczka – walczył o podniesienie poziomu pracy badawczej, zabiegał o kontakty z ośrodkami na Zachodzie, sensowne umowy, nowoczesna organizacja pracy, gryzł się z tymi z ministerstwa, to prawda, ale wszystko razem wtedy obróciło się przeciw niemu, otóż to, miałem nie skorzystać, jak mecz, to mecz, skorzystałem... A teraz właśnie w tym swoim toaście, który cię tak niechętnie przeciw mnie nastawił, oddałem mu hołd, no, czy źle mówiłem?... – zamyślił się, mrówki oblażyły mu gołe, wysoko obnażone łydki, ale nic nie czuł. – Teraz jest inna sytuacja, jego pozycja poprawiła się, przetrwał nawałnicę, ale to wcale nie znaczy, że ja się wycofałem, za stary nasz szef, zmęczony, rep po prostu, a tu nowa ekonomika, komputery, futurologia wkracza, kapujesz, nowe siuchty też będą, głodne, pazerne, nowy pic na wodę, nie bardzo sobie z tym nasz poczciwy szefunio da radę, a ja osobiście czuję się w formie znakomitej, ciągle na wybiegu, celuję, przymierzam, węższą, jakie warunki, taki start, kapujesz... – przerwał.

Głos kierowcy, pana Władzia, usłyszeli.

Opowiadał pan Władziu: – ... ta wycieczka to jeszcze nic, po płaskim całkiem przyjemnie się pochodziło, dobrze czasem nogi pogimnastykować, jeszcze dla mnie, ciągle za kółkiem, ale pamiętam, jak w MPC jeździłem i była wycieczka na dwa dni do Zakopanego, nawet szybko się zajęchało i daliśmy sobie w gaz, w hotelu, a potem knajpa, zaraz, „Watra” się nazywała, do spodu poszliśmy, mało kobiet było i każdą tak obtańcowaliśmy, że następnego dnia jak na szczudłach chodziły, no właśnie, w planie była wycieczka w góry, trzeba iść, każdy zresztą myślał, przejdziemy się kawalek gdzieś na piwko i koniec, ale z nami był jeden Ruski, ważna figura, gość samego ministra, taki pod sześćdziesiątkę, też zdrowo gorzałkę pompował, idziemy w te góry, dochodzimy na taką polanę, gdzie hotel stoi, i każdy już miał dość, ale ten Ruski nic, tylko chce wyżej, co zrobić, gość przecież, telepiemy się pod górę,

każdy ledwie dyszy, a ten Ruski jak czołg, nawet nie sapał za bardzo, część z naszych w polowie odpadła, inni zębami zgrzytają, ale idą, no bo wstyd tak wysiąść przy gościu, mówię państwu, to była Golgota, jakoś doszliśmy, góra z krzyżem, tak, Giewont, to Zakopane w dole takie malutkie, a ten Ruski tak stoi, rozkraczył się, był w krótkich gatkach, czyli dynamówkach, pot z czoła wyciera i powiada, nu tak wpięrod!, taki twardziel, ledwie mu wytłumaczyliśmy, że dalej już nie ma drogi – zakończył kierowca, pan Władziu.

– Tak to jest – przytaknął jeden z najstarszych pracowników – święta prawda, tacy to ludzie silni na Syberii, był taki jeden, dziesięciu mu nie mogło dać rady... A piją jak smoki... – Ktoś zanucił smętną rosyjską pieśń o poszukiwaczach złota. Następnie czastuszki.

W czastuszkach najlepszy okazał się kierowca, pan Władziu. Znał przeróżne, śmieszne tańce... Aż rozochocony na dobre, zaczął: – Bo mój diadia nie kaleka, zabił...

– No, no... – w porę przyhamował go Dyrektor.

Przy czastuszkach były też nieudolne zaloty przewodniczącego rady do jednej z kobiet. Pochlął sobie i do jej piersi się rwał. Ale ta niewiasta z sekretariatu bardzo ostra. Trzepnęła go w łeb. Zaraz obwisł, przyjął już swoją dawkę alkoholu i miał dość.

Następnie śmieszna sprawa z żoną inżyniera Pajaka. Również podpila sobie i naraz, tak ni stąd, ni zowąd, na rękach stanęła. Parę metrów przeszła i upadła. Wszyscy zdziwieni. Inżynier Pajak coś mamrocze.

Ona wstała, włosy pełne liści, trawy, i mówi: – Czasem czuję się, jakby mnie coś unosiło jak na skrzydłach, naprawdę, najczęściej jak za miasto wyjedziemy, woda, las, tylko mąż strasznie wolno prowadzi wóz, mówię wam, kochani, przyroda, piękno, tak jakoś się czuję, chodzę sobie na rękach, tra-la-la... – zanuciła ta niemłoda już kobieta.

Inżynier Pajak wściekły. Daje jej znaki. Ludzie chichoczą.

A ona uparcie: – Bo ja to jestem pogodna, tylko mąż po nocach nie sypia, to nie jest normalne, jęczy, biedaczek, coś go prześladowuje...

W tym momencie inżynier Pajak już nie wytrzymał i dość brutalnie odciągnął ją od towarzystwa.

Zaraz inżynier Dopierała rozładował tę nieprzyjemną sytuację wznosząc toast za jej popis akrobatyczny.

– Efektowny i lekki – tak to nazwał. Wódki jeszcze nie brakowało. Raz po raz ktoś wyciągał piersióweczkę i polewał. Biesiada trwała dalej.

Inżynier Dopierała, który w zasadzie pić nie lubił, też nieźle sobie pociągał. Przepijał prawie do każdego. Szybko opróżniał przykrywkę od termosu i na zakąskę zapalał papierosa. Później zdobył musztardówkę i z niej się raczył.

– No to zdrowie szanownego kolegi... – nagabywał natarczywie inżyniera Jundziłła. A przecież nie lubili się cholernie. Jundziłł nie odmówił. Uśmiechnął się krzywo i wypili.

Potem dosiadł się do tych z sekretariatu i kadr. Kawaly opowiadał. Kobiety popiskiwały. Jemu już mocno świeciła się twarz i głos coraz bardziej podnosił. Coraz bardziej pieprzne kawaly. Brudzia wypił z panem Wichrowskim. Obejmować się zaczął z kadrowcem. Jeszcze później prosto z butelki pił. Akurat ktoś sobie nalewał. Inżynier Dopierała cap, wyrwał mu butelkę. I łapczywie się przyssał. Wszystko wytrąbił. Butelkę odrzucił za siebie w krzaki. Podszczypywać zaczął przewodniczącego rady, który spał smacznie. Wrednie szczypał w policzki i ciągnął za uszy. Chichotał radośnie. Ale stary tak mocno ścięty, że ani drgnął. Więc znudziła mu się ta zabawa. Wstać spróbował. Niesporo mu to szło. Dwa razy na ziemię upadł, aż wreszcie dźwignął się jakoś.

Tak stał na szeroko rozstawionych nogach i chwiał się. Wodził wzrokiem po zebranych.

– Wódki dajcie! – wrzasnął. Dyrektor przyjrzał mu się ze zdziwieniem. Ktoś podał mu kubeczek.

– Chciałbym... – zaczął rozciągliwie inżynier Dopierała, przezywany Tylko do Przodu, a słowa mu z gardła ciężko się wydobywały, niewyraźne takie, bełkotliwe – toast wzniesić, znaczy idzie mi o to, żeby...

Nie bardzo go słuchali. Każdy czymś innym zajęty. Rozbawieni wszyscy.

Pięść zacisnął i do góry podniósł.

– Toast... – powtórzył – istotny, we wspólnym dążeniu, żeby wyniki nam... trud i wysiłek... znaczy wspaniała perspektywa... – tak powiedział i dalej słów mu zbrakło. Patrzył przed siebie i nic. Takie przesunięcie w głowie, nawet fizyczne uczucie tego przesunięcia, jakby te klepki, co trzymały szczelnie w ukryciu wszystko, co zatajone, ważne, a nie wypowiedane nigdy, nagle puściły i tamto ze spodu wylazić zaczęło nachalnie, ta świadomość przesunięcia przez chwilę, bo potem już był to tylko niepoohamowany żywioł. I bach, kubeczek wódką napełniony z rozmachem o ziemię cisnął.

– Ta woda bezsensowna! – zaryczał. – Te toasty zapieprzone, bzdura cholerna, puste, śmierdzące słowa, mowa-trawa, trociny zgniłe, co to znaczy, to nic nie znaczy! Czy wy nie rozumiecie!

Biesiadna wrzawa gasnąć zaczęła. Patrzyli na niego zdumieni. I słuchali już pilnie.

Tak tą mową-wazeliną smarujemy ozory, buzi, buzi, cacy, cacy rodacy, a w plecy szpilę, tak, szpilę, do samego serca... I ciągle te mowy zaśmierdłe, na każdą okazję odgrzewane w try-miga, słodko, szczęśliwie, wspaniale, coraz lepiej, jak to tam kiedyś bywało, w pańskie ręce, panie bracie, dopraszam się łaski wielmożnego pana, a w ślepiach sztylety, i tak się zezem obmacują, jeden drugiemu już dół kopie... – prawie zawył, psio jakoś, przenikliwie. – Do you understand... – nie wiadomo do kogo się zwracał, bo tak oczyma nieustannie toczył po zasłuchanym kręgu biesiadników, a jakby nic nie widział – sprawiedliwość, wiara, wszystko to z dymem poszło, cholernie dawno minęło, ja też, psiamać, te studia, ten angielski, słuchawki, konwersacja, te szczebelki pieprzone, stopień po stopniu, wskaźniki i parametry, projekty i prototypy, a tu trzeba tylko sposobem, od tyłu go, nelsonem sukinsyna, aż mu kręgi zachrupią...

Nogi mu się ugięły, z trudem złapał równowagę, a po chwili jedną nogę wysunawszy, zaciekle zaczął przewracać te wszystkie butelki, termosy, półmiski, salaterki, kubeczki, miseczki rozstawione na serwetkach.

– Bzdura! – wrzeszczał. – Bzdura! – I przesunawszy ciężko butem po tej piknikowej zastawie, załkał: – I am innocent!

Wszyscy usta szeroko rozdziawili, durność chwyciła wszystkich i tak na niego patrzą. Co dalej powie...

Ale inżynier Dopierała, przezywany Tylko do Przodu, już nic więcej nie powiedział. Coś nim we wnętrzu zatargało, skulił się, wyprostował, znowu skulił. Policzki wzdęły mu się niebezpiecznie i jeszcze tylko zdążył usta dłonią przycisnąć. Odbiegł na stronę.

Wtedy to w oczach Dyrektora zamigotało coś jak satysfakcja, kpina. Być może istotne jakieś spostrzeżenie zanotował sobie na przyszłość.

Pan Wichrowski skrzywił się z obrzydzeniem i spojrzął na Dyrektora. On zawsze z nim trzymał. A kierowca, pan Władziu, roześmiał się gromko.

– Złamało go – powiedział.

I zapatrzył się w strzeliste nogi Marioli. Siedziała ta Mariola bezwstydnie. Nogi wysoko uniesione, a spódniczka króciutka, czyli mini, i wszystko tam widać.

– Zdarza się... – podjął po chwili kierowca, ocknąwszy się z zapatrzenia – jeden był taki ze mną w wojsku i założył się, że litra wypije pod treściwą zakąskę w godzinę, chlapanął tylko połówkę, żarł przy tym jak wilk, no i zwrócił wszystko, ja tam zakąszam jak najmniej... – zakończył.

Jesienne słońce chowało się już za ścianą wysokiego lasu po drugiej stronie wzgórza. Żółte liście poszarzały w tym zanikającym świetle dnia. W pobliskich krzakach słychać było stęka-

nie i jęki. To rzygał inżynier Dopierała. Miłosierny Prawiczek zatroskał się i poszedł tam w krzaki z termosem herbaty. Leżał inżynier Dopierała, przezywany Tylko do Przodu, na zeschniętych liściach, nogami wierzgał, tak mu trzewia targało, za brzuch oburącz się trzymał.

Podsunał mu Prawiczek termos.

– Gorzka... – powiedział – pomaga...

– Chwilowa niedyspozycja – inżynier Dopierała spróbował uśmiechnąć się dziarsko. – Tylko do przodu... A kierunek określają... – ale nie dokończył, znowu zamotało mu w brzuchu i krztusić się zaczął. Równocześnie kierowca, pan Władziu, nacisnął klakson w autokarze. Koniec grzybobrania.

Pracusie

– Dominujący jest kolor szary... – ciągnął Kazik.

– Szary? – zdziwił się Czarny.

Kazik siedział wygodnie na kozetce obitej zielonym pluszem, z oparcia wyłaziło włosie, wyskubywał to włosie i rozrzucał po podłodze. W kuchni panował nieład: na stole ścinki materiałów, nici, krawieckie nożyce i niedojedzony pikling. Bury spasiony kot buszował między tym wszystkim.

I jego właśnie wskazał ręką Kazik, dalej łuk nią zatoczył, ogarniając w ten sposób mroczne, zamazane wnętrza izby. Następnie wyciągnął rękę w stronę okna. Dzień był dżdżysty, z ponurym, mętłym światłem, gruba jak pakuły warstwa chmur, gołe drzewa, uliczna pompa, gromadka dzieci podrzucająca szmacianą piłkę, w dalszym planie drewniane i murowane domki, pokraczne, byle jakie, a w oddali masywny zarys fabrycznej budowy.

– A tak... – podjął Kazik – nawet choćby słońce, to znaczy i latem też, nic to nie zmienia, wszystko szare, rozmazujące się i nijakie, kleiste i mętne, oczywiście, mój drogi, to nie kwestia daltonizmu czy obsesyjnego umiłowania koloru szarego, jest to pogląd na świat, odczytanie świata, a więc odbiór wynikający z wewnętrznych przemyśleń, no i z doświadczeń, samo przez się to wynika. Bo choćbym nie wiem jak chciał, ta obłąająca szarość nie ustępuje, nachalnie ogarnia, a wszelkie ruchy i działania w tym jak szczurze, odpychające prześlizgiwanie...

Czarny trochę zainteresował się tym wywodem, przestał pieścić ułożoną misternie fałeczub nad czołem i za ręką Kazika wodził oczyma po świetle.

– Każdy kolor, kolor, ma się rozumieć, jako przenośnia w tym wypadku, najbardziej wesoły, dynamiczny, szarzeje mi od razu, zaraza szarości jest niepokonana, przykładowo: piękna dziewczyna, piękne uczucie, duża emocja, biegania, spotkania, słowem życie jak na skrzydłach, niby słonecznie i wspaniale, czysto i cudownie, ale weź pewien skrót perspektywiczny, no, przymierz się uważnie, od razu łysieje to i zapluskwia się, obłązi, zwycięża szarość, kapujesz? – trzepnął opasłego kocura, który nachalnie zabierał się do pozostawionego na stole piklinga.

Radio u sąsiadów zagrzmiało nagle muzyką ludową, obertasy jakiegoś z przytupem, piskliwe głosy chórzystek – oj, dana, dana... – Czarny otrząsnął się z zamyślenia jak pies wyskakujący z wody.

– Z tobą traci się chęć. Cholera! – powiedział. – Traci się chęć!

– Na co?

Czarny wymownie ogarnął przestrzeń przed sobą. W tej chwili wyglądał tak, jakby i jemu poszarzało wszystko: i to z przeszłości, i to z teraźniejszości, a nawet z przyszłości ewentualnej też.

Kazik natomiast stracił ochotę na dalszą gadaninę i apatycznie przeglądał książki ciasno poutykane na etażerze stojącej przy kozetce. Książek też nie lubił, były dla niego nudą i naiwnym oszustwem, zawsze przecież proponowały jakąś przygodę, dramat, napięcie, a w to już nie wierzył. Więc tylko dłonią przesunął po zakurzonych grzbietach.

– „... Skrzypki jesiennej szloch nieodmienny, ta sama nuta nudą osnuta serce męczy...” – zacytował Czarny z emfazą wiersz głośnego poety w kiczowatym przekładzie.

I zarechotał. Kazik też. Rechotali tak długi czas, delektując się nasilaniem tego sztucznego, obrzydliwego jak darcie zbutwiałych łańców śmiechu.

*

Dziewczyna jechała z daleka. Rozchodziło się jej o ważną sprawę. Nie chciała mieć dziecka. A rzecz była już znacznie posunięta naprzód. Tam dokąd jechała, są dobrzy od tego specjaliści. Tak mówiły koleżanki, te oblatane, z GS-u czy z innych biur. Zawsze to podkreślały, w Warszawie, ho, ho... Tam ponadto miała znajomego. Kiedyś przyjechał do tej wioski, gdzie mieszkała. Znali się kilka tygodni. Pamiętała go jeszcze bardzo dobrze. Wysoki, wygadany i śmiały. Czarny, tak kazał na siebie mówić. Podobał się jej i imponował. Więc wybrała się w tę daleką podróż. Piechotą, potem autobusem, wreszcie koleją. Porządnie zaniepokojona. Na stacji i kilka razy w drodze, rozejrzawszy się wokół, ukradkiem obmacywała brzuch. Czujnie, z wyteżoną uwagą. Na to wszystko przeznaczyła parę tysięcy. Pieniądze trzymała w lakierowanej torebce, ukryte w służącej do puderniczki i szminki kosmetyczce. Zdobyła te pieniądze przemyślnym sposobem. Jej ojciec miał gospodarkę. Wyznała mu, że zrobiło się jej manko w sklepie. Ojciec nie bardzo chciał dać, ale pod wpływem matki dał wreszcie. Do tego, co dał, dołożyła jeszcze swoje oszczędności. Więc ten dość gruby zwitek banknotów wyczuwała palcami przez materiał kosmetyczki. Znała wartość gotówki i cel, na który była przeznaczona, przejmował ją złością. Ale nie widziała innego wyjścia przecież. Przed wyjazdem wysłała do Czarnego list. Rozmyślała o tym liście w pociągu. Czy doszedł? Czy Czarny przeczytał? Czy będzie czekać na dworcu? Kilka razy otwierała torebkę i dotykała kosmetyczki. Banknoty szeleściły. Znała wartość gotówki i podczas jazdy wcale nie spała. Bacznie spoglądała na podróżnych. Miejsce przy oknie zajmował wojskowy z dwoma belkami na pagonach. Próbował nawiązać z nią rozmowę.

– Czy dym pani nie przeszkadza? – Wyciągnął papierosy i uśmiechał się do niej.

Zbyła go wrogim milczeniem, pełna urazy do wszystkich chłopów w ogóle. Ten z belkami był niebrzydki i postawny.

Wstał.

– Czy to pani nie przeszkadza? – powtórzył i otworzył okno.

Pokręciła tylko głową. Do przedziału wpadło chłodne powietrze nocy. Odetchnęła głęboko. Ten chłodny powiew rozproszył nieco natarczywą senność. Turkot i świst. Iskry sypią się z parowozu. Pośepny las, czarno i mżysto, strużki deszczu na szybie.

*

Czarny zaszedł do ciotki i otrzymał list od wsiowej dziewczyny. Sam był w kłopotach. Z ciotką pokłócił się i już od paru dni nocował na strychu lub w pralni, poszukując jakiegoś sublokatorskiego kąta. Więc wziął tę kopertę zaadresowaną kulfoniastym pismem, rozerwał i przeczytał tekst na kratkowanym papierze, zaczynający się od tradycyjnego: „W pierwszych słowach mego listu pozdrawiam Cię i donoszę Ci, że ja czuję się dobrze...” – a dalej wszystko przeczyło temu samopoczuciu. Słabo ją pamiętał i tylko rozśmieszyła go ta afera z brzuchem. Zaraz zresztą humor popsuł mu wrogi jazgot ciotki, wyszedł trzaskając drzwiami. Jeszcze na dodatek to wredne spojrzenie prywaciarza Zaremskiego. Zapasiony, w non-ironie, pochylał się nad maską swego Wartburga. Pieścił i chuchał ten wóz. A zza maski świńskie oczka obślizgiwały Czarnego. Jakby kpiąco, z wyższością. Odchodził Czarny czym prędzej. W trakcie drogi wymyślił sobie historyjkę, taką dla żartu, trochę też, żeby podnieść się na duchu. Nawiedzały go nieraz słodkie wizyjki. Karcił się nimi jak pies. Wcale niezłe dla odpoczynku. Oglądał wczoraj kolorowy magazyn amerykański, „Playboy” czy coś. Pełno tam pięknych dziw reklamujących papierosy, koniaki i samochody. Olśniewające twarze, ciała, przedmioty. Elegancki, daleki świat. Więc z tego magazynu ilustrowanego świetne tworzywo do bajeczki. Równocześnie przypomniał sobie „teorię szarości” Kazika i ogarnęła go złość.

Ciotka, wypełzła starucha, jaszczur pomarszczony, emerytka za siedemset, każdy grosik starannie oblicza, jej głos – do roboty się weź – prześladuje Czarnego jak kościelny dzwon... I taki szary właśnie ciągnie przypomnień... W tamtą sobotę sąsiad przechrzął tygodniówkę, bitwa z babą, dzieci płaczą, baba wrzeszczy – za co będziemy żyć! – sąsiad rozwała graty w pijackim szale. A ten cwaniak kaprawy, co gwizdnął dwa tysiące ze sklepowej kasy, upił się od razu, forszą rzucił, milionera oczy. Potem dostał rok. A znów Zaremski, non-ironowiec ohydny, długi czas chwalił się, że przechrzął w knajpie osiemset złotych, zakąski wyliczał, wódkę, gatunki i ilość, dania gorące też pamiętał – było nas trzech – pryskał śliną – każdy tyle wyłożył...

– Karaluchów wymiary – pieklił się bezsilnie Czarny – żadnego rozmachu...

Tym bardziej bezsilnie, że w kieszeni miał dokładnie piętnaście złotych. A twarz mu się dopiero wtedy wygładziła, kiedy dla ukojenia pogrążył się w tej kolorowej bajeczce... Jedzie wspaniałym krążownikiem szos piękna kobieta. Czarny stoi sobie, oparty o latarnię. Ot tak, jakby dzisiaj, pomięte porteczki, wytarta, postrzępiona marynarka, gęba nie dogolona, bo stara już żyletka i skrobie tylko cholernie, a nie zbiera zarostu. Więc taki jak dzisiaj Czarny, bohater melodramatu. A samochód z kobietą – wizją amerykańskiego pisma ilustrowanego – przystaje nagle tuż przy nim. Miękki wizg opon, tak to się mówi, szelest sukni, woń perfum oszałamiająca. I już tylko samiczość nie do pokonania w oczach kobiety. Bezbrzeżna, pełna oddania. Ruch ręką wiotką, zaprasza go, po prostu sprawa bez słów, namiętność i nic więcej. I tak tymczasem amerykańskiej bajki niesiony jak na skrzydłach, Czarny powtarzał sobie: – Jeb mnie! Jeb mnie!!

Takie haselko sobie wymyślił. Niby tak go tamta zagraniczna, piękna i bogata, wabiła.

Z tym refrenem poszedł do Kazika. List od wsiowej dziewczuchy z daleka zgniótł w kłęb i wetknął niedbale do kieszeni.

*

Z Kazikiem przyjaźnili się od dawna. Obaj byli jak flaki i to ich najmocniej łączyło. Taka w nich była nieruchawość jakaś, niechęć i przemożne poczucie nudy. Ta nuda wypełniała ich niczym dwa balony i również ogarniała od zewnątrz. A dzwoniła przy tym nieustająco. Ten dźwięk nudy towarzyszył im wszędzie. Przeważnie siadywali po kątach, ćmili papierosy i milczeli. Albo gadali niemrawo, słowa jak klej, ple-ple-ple, żeby czas jakoś opędzić. Lubili tak wysiadywać na werandzie parterowego domku, w którym mieszkał Kazik. Z mieszkania dochodził terkot singera, bo ojciec Kazika, krawiec, pracowicie spędzał swój czas.

– Ten terkot nawet niezły – zauważył kiedyś Czarny. – Jednostajny i cichy, jakby otulał. Otulał i koił.

– Hmm – mruknął Kazik.

Terkot wtedy ustał. Głowa ojca w drzwiach. Poczciwe oczy, szeroka, prosta twarz. Bo ojciec czasem martwił się o los swego syna, starego byka przecież, już po trzydziestce.

– Wziąłbyś się za coś – tak powiedział wtedy ojciec, nieśmiało i cicho.

Bo ojciec uwielbiał ciągle jedynaka. Uwielbiał za odmienność, wykształcenie, urodę i ciągle marzyła mu się nie byle jaka perspektywa przed synem.

– Jestem popsuty od środka... – odpowiedział Kazik – jak podziurawiona dętka, kapujesz, niby wentyl zakręcony, ale co z tego, wszędzie dziury... Lubił to porównanie. A czasem wspominał, jak to dawniej parę i ochotę do życia miał wielką, ludzie go szanowali, a on wierzył gorąco w to, co robił.

– I co z tego? – kończył tę gadkę-żółć. – Rozwalila się piramida moich wartości, wstrząsowa sprawa, jedni spadli na cztery łapy, innym przetrząciło łapy, i tak to jest. Słaby się po tym zrobiłem, bez żadnej chęci i ambicji...

Był to fakt. Taką cenę zapłacił za młodość. Miał wtedy gorące serce i wyobraźnię na wielkie czyny. Potrzebowano takich jak on. Był gotowy na wszystko. Oddanie potęgowała waga

zadania i poczucie męskiej, twardej odpowiedzialności. Tak dojrzewał w tej robocie, bali się go ludzie, a skąpe pochwały przełożonych – nieźle, nieźle dajecie sobie radę – największą były radością.

Kiedy sobie popił, to wspominał też, jak po tym wszystkim nagle, niczym łańch wytarty został porzucony. Jeszcze wtedy się nie dawał, próbował fach jakiś zdobyć, ścisły fach, więc do szkoły technicznej się zapisał. Pierwszy raz wszedł do klasy, klasę pamiętał doskonale, żółte ściany, jakieś arkusze z wykresami, portrety dostojników państwowych, tablica, ławki. Tak wszedł z teczką i nagle wszyscy wstali. Patrzył na nich zupełnie zbaraniały. A oni, ci uczniowie, sądzili, że to nauczyciel.

– No to fajnie – wtrącał Czarny – po prostu cieszysz się szacunkiem, autorytet jak aureola w ślepią bije... – śmiał się wrednie.

– Tfu! – spluwał Kazik – za stary już byłem, żeby coś od nowa zaczynać... Przekreślona szansa... zaraz zaczął wstawiać.

I tak popsulo mu się i rozlało wszystko. Coś tam jeszcze próbował studiować, gdzieś tam pracował. Ale już żadnego ciągu w tym nie było, przerywał, rzucał, znowu zaczynał. A jad jakiś paraliżował każdą aspirację. Trochę jednak zazdrościł Kazik tym, co się nie dali, ale też drwił z nich nienawistnie.

– Niech się wysilają... Aż przyjdzie taki czas, że powietrze z nich też wyjdzie. Sam smród i kopeć tylko zostanie... I czekał na takich, którym powinie się noga. Lubił takie „meldunki z trasy”, jak to nazywał, zbierać... Ten poszedł do pudła, tamtemu serce wysiadło, tego żona puściła w trąbę... Ręce zacierał. Oczy mu błyszczały. Towarzysze jego młodości, też tacy, jak on wtedy, zapaleńcy, tyle że potem nie odpadli od gry, trzymali się dalej, mieli ambicje i dążenia.

– A jednak!... Nie wytrzymali ciśnienia! – cieszył się prawie dziecinnie. Nowi przybywali na to śmietnisko popsutych mechanizmów.

Z rzadka również (na razie, ale posypie się to wnet jak z rogu obfitości) dowiadywał się, że ktoś z tamtych umarł. Czyli że na zawsze wysiadł. Współczuł:

– Tak się szarpał biedaczek, chciał mieć to, tamto, być tym, tamtym... I do czego się doprowadził.

Lubił bywać na pogrzebach i wdowie czy rodzinie kondolencje składał z bolesną twarzą, głosem głębokim, świetnie modulowanym. Wtedy Czarny patrząc na niego strach jakiś i podziw odczuwał. Niejasny, mroczny. A jak popił sobie Kazik z okazji pogrzebu właśnie, to tamte stare dzieje wspominał, tracił wtedy nieco na ironii i dystansie, mgiełka sentymentalna go ogarniała, romantyczne to było i ostre, ta przeszłość stracona, poczucie władzy, ręce zaciskał, bo wspomnienie wciągało, mimo woli wciągało, w teren jeździł i niczego się nie bał, szeryfem prawie był w tym wspomnieniu, preria młodości, przekonywał i groził, bali się go ludzie, ojciec i matka też.

– To był święty ogień, rozumiesz, każdą cenę bym płacił... – Naraz posepniał. Miał wtedy młodą, ładną żonę. Dopóki działał i rozkazywał, otoczony szacunkiem i strachem, oczy żony też pełne podziwu i oddania. I dziś widział te oczy doskonale.

Wieczorem, kiedy kładli się do łóżka, błyszczały jak latarki. A potem przyszedł czas, kiedy zmieniło się wszystko. Takich jak on wielu. Wyszli na światło dzienne i stanęli rozglądając się niepewnie. Nic ich już nie chroniło, nikt im już nie ustępował. Był młody, gorący, i nagle pozbawiono go wiary. I poczucie przegranej narodziło się w nim. Z tym ciężarem więc ruszył w życie. Uczył się wieczorami, a w dzień pracował. Marna praca, marne pieniądze, ot, popychel był z niego, pokorny i cichy, nic nikomu o swej przeszłości nie wspominał. Tylko żonie skarżył się żałośnie jak pies skopany. Miał do niej zaufanie. Było to jedyne oparcie, które mu pozostało. I wtedy naraz jej oczy zaczęły być obce, obojętne. Jak dzwonek alarmowy to spostrzeżenie w nim. Ale jeszcze się nie zorientował. Zmęczony przecież, zatyran, zajęty upartym grzebaniem w swej przeszłości... A ona coraz częściej wychodziła gdzieś wie-

czorami. Wracła późno, jeszcze bardziej daleka, obojętna... Jakieś listy, karteczki, kwiaty, coraz więcej sygnałów... To wspomnienie ciągle w nim jak ropiejąca rana. Zaczął ją śledzić. Ten odruch: podpatrywać, czaić się, skradać, ten odruch przekształcony w zażartą grę, kiedy to: – czujność obowiązuje, czujność przede wszystkim – teraz żalosna parodia dawnych umiejętności skoncentrowana na osobistej sprawie. Być może ostatnia to była mobilizacja. Wiele dni poświęcił temu... Skradał się za nią wieczorami, wyczekiwał pod pocztą, gdzie pracowała, posuwał się krok w krok, wchodziła do sklepu, czekał ukryty za węglem, jest w kawiarni, stawał w bramie i palił papierosa za papierosem, napięty, czujny jak pies gończy, po co to robił, nie wiedział, już była mu obca, już przecież coś spaliło się w nim, ale brnął uparcie w tej parodii osaczania, snuł się za nią jak cień... Aż wreszcie dotarł po śladach do tego mieszkania-pointy. Stał pod drzwiami, słyszał chichot, szelesty, westchnienia, cisza, nie, hałas nieznośny, pozór ciszy jedynie, bo teraz skrzypi coś, znowu westchnienia, krótkie, częste, głębokie, długie, przenikające jak prąd. Zaczął walić w drzwi. Zaparł się. Zatrzeszczały. Ale nie ustąpiły. Wtedy zaatakował z rozbiegu. Walnął ramieniem raz, drugi. Trzask, huk. Otworzyły się szeroko. Stał na progu. Ona leżała w łóżku z mężczyzną. – Kurwo!! – wykrzyknął.

Zaśmiała się obco, pogardliwie. I dalej tak leżała, do połowy obnażona. Tamten mężczyzna wstał leniwie. Przeciągnął się. A w nim nagle załamało się wszystko. Stał się jak flak, pusty i bezsilny, cała energia zgasła bez śladu. I kiedy otrzymał pierwszy cios pięścią w twarz, nie próbował nawet osłonić się, tylko tak stał żałośnie i niemo. Drugi cios. Śmiech żony. Wtedy wyszedł. – Kurwo, kurwo – szeptał, ale to już siebie tak nazywał.

Więc teraz, ile razy to wspominał, posepniał, dygotały mu ręce i unikał wścibskiego spojżenia Czarnego. Nikomu o tym nie mówił.

No, niezupełnie, owszem, mówił o tym, nie ukrywał tego, ale tylko tak powiadał: – No i wtedy jeszcze skurwiła mi się baba...

Ojciec, prosty człeczyna, też smutniał, przejęty sprawami jedynaka. Wzdychał i cmokał. Nie rozumiał jego zajadłego gadania pełnego niedomówień, ale czuł, że ból jest w tym ostry i ruina jakaś, już nie do remontu.

A z przeszłości niedawnej Kazik chętnie takie zdarzenie opowiadał:

– No i rozumiesz – już z uśmiechem, lepszy nastrój, równowaga wracała powoli – lecieć miałem wtedy do Gdańska i na lotnisku spotkałem swego dawnego zwierzchnika, w tamtych latach to była figura, stary wyga, trzaskałem przed nim kopytami, a on mnie uczył, jak żyć dla wielkiej sprawy, na takich jak my, powiadał ten mój mistrz, stoi wszystko, my to fundament, słuchałem go jak Boga, a później dowiedziałem się, że on łapówki brał – śmiał się Kazik – łapówki, tak, tak, żona trzy futra, biżuterii kupę, smród był z tego wielki, trząśł się jak galareta i o litość skomlał, więc jestem ci ja na lotnisku, wychodzę na płytę i kogo ja widzę, humoreska, mój szef kieruje wózkiem bagażowym, tak, tak, w kombinezonie, spocony, podjechał tym wózkiem pod samolot, dźwiga torby, walizy, toboły, a ja byłem w garniturku, wełna dobrej jakości, biała koszulka, teczuszka, miałem niezły okres, energię i tak dalej, pieniążki wtedy przez jakiś czas zarabiałem, tak więc na siebie popatrzyliśmy i nastąpiło rozpoznanie, ale nieme, rozumiesz, tylko oczy, tak zagapił się na mnie stary bojownik wielkiej sprawy, upiór przeszłości, łeb znad tobołów uniósł, a ja mu się w gębę roześmiałem, warczały silniki, wirowały śmigła, ta rozległa przestrzeń lotniska, jakiś samolot ląduje, jakiś startuje, ładna sceneria tego spotkania, nie powiem...

Więc obijał się teraz Kazik po życiu i nic mu się specjalnie nie chciało. Ani dziwek, ani pieniędzy, ani kariery. Czasem tylko coś z trudem wymyślił, żeby się rozgrzać i zabawić, ale energii miał tylko na chwilę. A oczy miał złe, ostre jak stary jastrząb, ale nawet zły za bardzo nie był, popiół i żużel, wygaszone palenisko, tak to sam nazywał.

Słuchał go Czarny i tylko głową kręcił. On nie czuł się jak dziurawa dętka. Tylko uważał raczej, że jego czas jeszcze nie nadszedł, też inną miał naturę, lisią i pokorną. Nic go nigdy za bardzo nie brało po prostu. Więc kiedy tamte lata Kazik z niejakim żalem wspominał i tak

powiadał: – Ja wierzyłem i oni mi musieli wierzyć, kapujesz... – to Czarny słuchał ze znużeniem.

– Bajer... – drwił – są ludzie do bajeru i tacy, co za Boga w żaden bajer nie uwierzą...

– I co masz z tego? – mówi Kazik – nic!

– Na razie czekam – odpowiadał Czarny.

Czarny w nic nie wierzył. Właściwie niezupełnie. Czarny wierzył w duże pieniądze.

– Pieniędzy... – wymawiał pieszczotliwie. Ale bez ryzyka. Więc czekał. Był ostrożny, zęby miał drobne i ostre, w ruchach uniżoność i zwinność.

– Ty to jesteś szakal... – mówił do niego Kazik – albo kojot stepowy, drapieżnik na padlinę, no, może być coś żywego jeszcze, ale bezbronny już i słaby...

Czarnemu najchętniej marzyła się jakaś baba. Nawet brzydka, ale mocno forsą nadziana.

– Jak skarbonka! – śmiał się zachłannie i plugawie.

– Też jesteś podziurawiony – oceniał go Kazik – tylko inaczej...

– Każdy huj na swój strój – zgadzał się obojętnie Czarny.

On inny miał rodowód. Już od dzieciaka, ojciec, zgorzkniały i zmęczony człowiek, sączył w niego swą wiedzę doświadczonego niewolnika: – Nie wierz nikomu i w jaskrawo oświetlone miejsce się nie pakuj. Trzymaj się cienia, pamiętaj! – I Czarny to zapamiętał.

A w przypadku Kazika porównanie z dętką to wcale nie była kokieteria. Czasem prawie słyszał, jak z psykaniem ucieka z niego ochota do życia.

– Słyszysz, słyszysz? – zwracał się do swego kompana.

Czarny, znużony już tą rozmową, starannie wycierał swoje wieczny mokre dłonie w chusteczkę.

Kazik patrzył na niego ze wstrętem, ale bez złości. Potrzebował go jednak, jeden drugiemu jakiś pomysł podsunął i tak leciały dni.

Ojciec Kazika, krawiec, spodniarz jego specjalność, słuchał tego bełkotu i nic nie rozumiał. Przyczynę znajdował w wykształceniu syna i jakoś podtrzymywało to w nim nadzieję.

– Jednak mógłbyś wziąć się za coś – powtarzał.

Wracał do kuchni. Terkotał znów singer. Tyrał stary jak muł w kieracie. Nieraz przyglądał się Kazik ojcu z zazdrością. Takiemu to całkiem nieźle, wstaje o świcie i tak od świtu już przy robocie, kończy o zmroku, a czasem, jak coś pilnego, to nawet głęboko w noc, słucha radia, pogada z sąsiadami, chlupnie kielicha i koniec, niezmiennie, od lat zadowolony, pogodny, kroi spodnie, śpiewa, fastryguje, prasuje, śpiewa, nawleka nić do igły, śpiewa... Ale krótka to była zazdrość. Bo ciągnąc ten sznur ojcowskiego żywota, dalej nieuchronnie widział nicość, jak szubieniczny powróż ten ciąg, rozmazywało się wszystko i nic z tego nie wynikało.

– No, choćby ja jako suma ojcowskich wysiłków – śmiał się – cóż za rezultat... Albo to oszczędzanie, parę książeczek PKO, może kilka lub kilkanaście złotych świnek, mnie to przypadnie w spadku, rozpuszczę, przetracę, przerzygam... zero wychodzi z tego równania...

Czarny reagował z powagą realisty.

– No, no, nie tak ostro, żelazne zdrowie mają twoi starzy.

Matka też jak kamień pradawny w życie wrosnięta, niezmienny rytm, ojcu pomaga, w ogródku grzebie, od zajęcia do zajęcia, czas szczelnie wypełniony.

– Kaziu, źle wyglądasz – z troską podsuwała mu żarcie.

A kiedyś zbudził się o świcie, szaro, zimno, matka prasowała jego koszulę, patrzył na nią długą chwilę, skupiona, poważna, przesuwiała starannie żelazkiem. Jednak czuł wobec nich jakiś podziw. Nie umiał tego jednoznacznie rozstrzygnąć, pewien niepokój w tym był przecież. I w związku z tym ciągle stosował rozmaite testy.

– Czujesz beznadziejność? – zwrócił się raz dla zgrywy do ojca.

– Co mówisz? – nie zrozumiał stary.

– Nowa piosenka – odpowiedział Kazik – mogę cię nauczyć.

– Jaka? – zainteresował się ojciec, który bardzo lubił śpiewać.

Kazik wymyślił na poczekaniu.

– Dierbień, dierbień kaługa, laska polska krótka, choć długa, plecie i nic nie wyplecie, bije i nie zabije. Nazywa się Beznadzieja...

– Głupia jakaś – uznał ojciec i popatrzył na niego podejrzliwie. Ale Kazik zachował powagę. Tylko Czarny opuścił wtedy głowę i przygryzł wargi.

– Nowoczesna – odparł Kazik.

– Mało się na tym znam – rzekł niepewnie ojciec.

Kazik z ciekawością popatrzył na niego. Jak na stwora osobliwego, żyjącego we własnym, bez szczelin najmniejszych świecie.

Kiedyś ojciec nie miał przez dłuższy czas roboty. Jak się wtedy męczył. Cholernie. Nie mógł spać, stracił humor, nie śpiewał i na wódkę z sąsiadami też stracił ochotę. Tylko tkwił w oknie i jałowym wzrokiem patrzył przed siebie. Radio, ten stały towarzysz ojca, też wyłączono wtedy. – Robota i zdrowie... – tak zawsze powiadał ojciec – jak to stracisz, to już tylko do piachu...

Terkocze singer. Śpiew singera jak hymn stałości i ładu.

Kazik wyszedł na podwórze. Czarny, chichocząc, ruszył za nim.

– Robisz w konia tego swojego staruszka – śmiał się – dobrana z was para...

Kazik milczał. Usiadł na schodkach. Czarny też. Nic nie mówili i siedzieli.

– Pójdę do Dudzika... – przypomniał sobie Kazik kłopot Czarnego – może u niego znajdzie się dla ciebie kwatery...

*

Przed rudą Dudzika gołębnik, obok klatki z królikami. Plunął na głupią króliczą mordę wychylającą się z klatki. Zwierzątko bez przerwy poruszało nosem. Czerwone oczy bez żadnego wyrazu. W głębi kłębiły się małe króliki. Zapukał. Nikt nie odpowiadał. Jeszcze raz. Cisza. Nacisnął klamkę. Drzwi nie zamknięte. Stał w progu. Trzeszczała podłoga. Ciemno i duszno. Dopiero po chwili dostrzegł Dudzika. Siedział przy stole. Dłonie wspierały głowę. Drzemał? Myślał? Diabli go wiedzą... Stary uniósł głowę. Przywitali się. Dudzik rękę miał spracowaną, twardą jak zelówka. Kazik poczęstował go papierosem. Stary osadził w szklanej lufce, przypalił zapalniczką z karabinowej łuski. Siedział okrakiem na taborecie, patrzył na ścianę z wielkim oleodrukiem przedstawiającym łabędzia i nimfę w gondoli. A może nie patrzył na oleodruk, tylko na fotografię nieboszczki żony, zawieszoną wyżej. Kazik przedstawił sprawę z Czarnym.

– Po prostu chodzi o sublokatorski ką – zakończył – to mój przyjaciel, solidny, będzie płacił terminowo.

Dudzik milczał. Oczy martwo wlepione w ścianę.

– Urzędnik – dodał Kazik.

Dudzik wysunął nogę w gumiaku, wzrok oderwał od ściany, popatrzył na but. Pochylił się i sapiąc zaczął ściągać gumiak z prawej stopy.

– Gorąco... – mruknął – guma odparza... – Stopa w brudnej onucy. Porusza palcami. Robaczkowy ruch. Głaszcze stopę. – Urzędnicy... – mówi w zamyśleniu – też lepsza swołocz.

O co mu się rozchodzi? Trudno zrozumieć tego burkliwego dziada.

Kazik też zapatrzył się na stopę w brudnej szarej onucy.

– Trzeba go pierwszej zobaczyć – znowu odezwał się Dudzik – co za jeden, jak wygląda...

Wysmarkał się w palce, smarkowinę strzepnął na podłogę.

– Przyzwoity... – rzekł Kazik – skromny, cichego usposobienia.

Dudzik był sam już od miesiąca. Pokoik na górcie wolny. Ale stary miał przykre doświadczenie. Ostatni sublokator nie zapłacił mu za dłuższy czas i wyniósł się po cichu.

– Już lepiej trzymać zwierzaki – powiedział Dudzik – więcej warte od ludzi...

Kazik rozejrzał się po izbie. Myszkował wzrokiem za babskimi ciuchami. Ale nic takiego nie zobaczył. Przypomniawszy sobie ostatnią babę Dudzika. Gruba i obwisła. Mówiła przez nos, cienko i bełkotliwie. Też kiedyś przespał się z nią. Wrednie i ukradkiem. Wykorzystał czas, kiedy Dudzik popijał z ojcem. Baby! Francowata słabość Dudzika. Jedna dała mu syfa w prezencie, druga okradła. Taki stary cap. Zawsze ma pełne ręce roboty. Mało to dziewczuch, które chcą urządzić się w mieście. Łazi Dudzik tu i tam. I zgląda. Najczęściej na dworcu. Wypatrzy jakąś, obliże się lubieżnie i drzwi swojej nory otwiera. – Proszę, proszę, gołębeczko...

Dudzik ziewnął rozdzierająco. Monotonnie cykał zegar. Więc właściwie sprawa chaty dla Czarnego pozostała bez odpowiedzi. Jeszcze te łapy Dudzika, z egzema, łuszczące się, czerwone plamy. Jak obdarty ze skóry królik. Pożegnał się z dziadygą i wyszedł. Długo i ze wstrętem wycierał dłonie.

Idąc posłyszał za sobą bełkot i brzęk butelek. Obejrzał się. Kudłaty śmieciarz z workiem na plecach kolebał się pijackim, człaplwym krokiem. Bełkotał do siebie i śmiał się, odsłaniając różowe bezzębne dziąsła. Kazik przystanął i popatrzył na niego z pewną ciekawością.

W jakiś sposób interesowała go beztroska i minimalizm tych obdartusów skretyniałych, zajmujących się zbieractwem i opitych denaturatem. Smród i zapicie takiego życia, jakby odruchy i instynkty tylko. Taka bełkotliwa, kosmata i cuchnąca branża.

Tak patrzyli obaj. Nagle śmieciarz wybuchnął śmiechem życzliwego kretyna. Wtedy Kazik zażartował. Podał włóczędzie papierosa zapalonego filtrem. Obdartus zaciągnął się chciwie i nic, nie poczuł po prostu swądu tłącej się waty. Wydmuchiwał dym i uśmiechał się błogo. Kazik już obojętnie minął włóczęgę. Tamten pożegnał go ukłonem pełnym wdzięczności.

Taki to był ten świat Kazika, maleńki i bez wydarzeń. I na nic również nie liczył. Nie marzył o niczym i nie kipiał bezsilnym gniewem. Często wystawał przy oknie i patrzył. Niby patrzył, bo nic nie widział. Wzrok utkwiał w krzaku jakimś, płocie, latarni czy dachu...

Raz, kiedy to akurat płynęła ulicą cizba robotników wracających z pierwszej zmiany w fabryce pras, ojciec stanął obok syna i też patrzył. Ale inaczej. Była w tym patrzeniu starego jakaś tęsknota za życiem syna tak samo regulowanym rytmem pracy i tak samo zabezpieczonym. Kazik ocknął się i zobaczył ojca. Patrzyli chwilę na siebie. Czytali ze swoich oczu.

– Muły – powiedział syn.

– Kto? – spytał ojciec.

– Zwierzęta takie – odpowiedział i w tym momencie zakipiało w nim, coś jak złość, wściekłość – ...z gatunku pociągowych, raz wprzęgnięte, już tak chodzą bez końca...

Ojciec, spłoszony gniewnym głosem syna, odszedł od okna. A Kazik pomyślał przez chwilę o tej niemożności, co tak go dopadła. Właściwie nie od razu. Czas długi to dojrzało. Zrazu małe szczeliny, luki, zwolniony rytm, coraz więcej niechęci i nudy, szarość rozpościerała się z wolna. Aż wreszcie ogarnęła szczelnie i wszystko już zdusiła.

Ledwie, ledwie tli się coś, dymek mały, nikły strumyk życia. Ale nie narzekał. Miał rozmaite doświadczenia, umiał porównywać i nie widział nic lepszego.

*

Choć był raz taki ranek. Otworzył oczy i nie dowierzał. Przepelniała go jasność niezwykła i pogoda ducha, a też radosne oczekiwanie na nadchodzący dzień. Patrzył w okno. Dzień taki sobie, zza chmur trochę słońca, drzewa takie jak zwykle; ten sam brzydki widok. Ale inne to jednak, rześkie, pociągające, pełne czegoś niezwykłego, jakby po remoncie albo nowe to wszystko. Znowu zamknął oczy i znowu otworzył. To samo. Jakby się bania z radością i nadzieją rozbiła tego ranka. Więc leżał w łóżku (bał się jednak wstawać) i patrzył z ciepłym wzruszeniem na ojca, który krzątał się przy krawieckiej robocie, na matkę pochyloną nad kuchenną blachą. Też jacyś niezwykle mu bliscy, potrzebni, jakby od nowa również przez niego zobaczeni dzisiaj.

Takie miał tego ranka przenikliwe i ostre spojrzenie, a tylko wszystko co najlepsze odkrywał. Jeszcze nie wstawał. Przedłużał ten moment. Było to trochę jak powrót do dzieciństwa; do takiego wspaniałego czasu, jeszcze bez doświadczeń i rozczarowań, kiedy oczekuje się każdego dnia z chłonnością życzliwą i niespokojnym, ale porywającym wyobrażeniem wszystkiego. Dziwił się ciągle i nie dowierzał. Ale tak jednak było. Trwało to. Jakieś marzenia-plany roily mu się w głowie, jakiś wielki, wspaniały czas był przed nim, wszystko jeszcze do zaczynania. Równocześnie przypuszczał podejrzliwie, że na pograniczu jawy i snu jakiegoś złudnego jest jednak. Ale to okno ciągle wypełnione młodym, wesołym światem, wnętrze kuchni też przytulne, zachęcające. I wstał. Sekundy to trwało. Odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka. Prysło to nagle. W jednej chwili. Stał przy łóżku i było tak jak zwykle. Zatarła się cała bajka przebudzenia. Poszarzał świat. Nic, już żadnej urody, nadziei i niepokoju. Drażniła go pracowitość rodziców. Przygniatał ten sam od lat widok z okna. I graty w kuchni. I ohydny sytość drzemiącego w otwartym piecyku kocura. I wrzask z radia. Każdy szczegół prawie. A po chwili nic już z tego przebudzenia nie pamiętał. Jak pajęczyna najniklejsza rozproszyło się tamto sprzed chwili. I pierdnął. Czym obraził matkę i ojca.

*

Spotkanie z Tym, Który się Urządził, było w jego najbliższym wspomnieniu niemałą satysfakcją. Szedł ze spodniami do jednego z klientów ojca. Poczował się czasem do takiej drobnej pomocy. Przecież żywili go starzy, miał spanie, drobny grosz na wydatki i ani słowa wyrzutu. Niósł więc te spodnie owinięte w szeleszczący papier. Głowę opuścił nisko i włókł się ociężale. Nagle ktoś trzepnął go w ramię. Zadygotał i uniósł głowę wyrwany z jałowej bierności tym uderzeniem. Za nim kolega z dawnych lat. Tłusty teraz i po chamsku elegancki. Uśmiechnięty i czerwony na pysku.

– Co za spotkanie! – wykrzykiwał. – Dwóch starych druhów po tylu latach! No, powiedz, byku, jak tam twoje sprawy?

Równocześnie omiatał wścibskimi ślepiami jego ubranie, buty, twarz; zatrzymał wzrok na tym pakunku w szeleszczącym papierze. Sposobem forsiastych i urządzonych czytał z jego wyglądu wszystko. I nie czekając na jego odpowiedź gadał i gadał. Życie swoje opowiadał z lubością. Była to chytra, szczurza wspinaczka po szczeblach. Cięgi i kopniaki, innym, słabszym, też dawał cięgi i kopniaki, uśmiechał się przymilnie, to znów szczerzył złowrogo zębi-ska, całował i kąsał, tak pełzał uporczywie. Jego twarz promieniała. O zarobkach teraz mówi. Mruży porozumiewawczo oko. Wtedy w Kaziku energia się obudziła. Dłoni tamtego z uścisku już nie wypuścił. Sprężył się i zmobilizował, poruszył wszystkie ospałe rezerwy w sobie: dłoń tamtego cisnął coraz mocniej. Więc siłą uścisku tłamszona mowa-chwalba zamierała na ustach tamtego, już tylko urywane zdania, i już tylko urywane słowa.

– Co ty... – wyjąkał wreszcie, zamrugnął oczyma, ich radosna niebieskość zmętniała, zaskoczenie i ból, coraz więcej bólu w tych oczach wybałuszonych teraz z lekka. A Kazik na koniec kopnął go z rozmachem w kostkę. Starym, niezawodnym sposobem. Tamten skulił się i zakwiczał. Wtedy upuścił jego mięką, gorącą dłoń. Ruszył i nie obejrzał się nawet. Chichotał. Cieszył się. Najbardziej z tej swojej energii. To było coś. Dawało możliwość zabawy czasem. Więc rezerwa na przyszłość właśnie.

Nie bez próżności opowiedział to zdarzenie Czarnemu. Czarny wyraził aprobatę.

– Od czasu do czasu... – taką wygłosił sentencję, spróbował po angielsku, uczył się trochę tego języka, z rozmaitych, jak mówił, względów, więc powiedział początkowo – from time to time... – ugrzązł w poszukiwaniu dalszych słów i już zwyczajnie dokończył – trzeba kąsać tych psich synów, bo inaczej oni nas zagryzą...

Zastanowił się potem i popatrzył na Kazika z wyrzutem. Być może pomyślał o tamtym urządzonym facecie, że mógłby się przydać jednak na coś.

*

Często prześladowała Kazika bezsenność. Wielogodzinna i wyczerpująca. Przewracał się na posłaniu, palił papierosy i rozmyślał dla zabicia czasu. Wlokło się to jego myślenie nijako i bezbarwnie, obrazy, strzępy obrazów, pomieszana chronologia, luki w pamięci, dorabiał i przekształcał fakty. Więc raz bywały to dziewczyny, z którymi sypiał. Przypominał takie najważniejsze. Przeżycia, emocje i pragnienia kiedyś z nimi związane. Ale żadna nie ożywiła go teraz. Sunęły korowodem jak zjawy, bez ciała i twarzy. A i jego emocje z tamtych lat też już zatarte w pamięci, mało wyraziste i pozbawione iskry. Więc próbował wyobrazić sobie taką, co pojawi się jeszcze i zmusi go do wysiłku, ożywienia. Ale opornie mu to szło. Nie wiedział wcale, jak ma taka wyglądać. Budowa wizerunku szwankowała, składał właściwie ze strzępów tamtych poprzednich. Był to twór martwy, jak z wosku. Innym znów razem dzieciństwo rozgrzebywał. Zgraja łobuziaków, wyprawy na forty, bijatyki i biegi, zniechęcony nauczyciel, Globusem go przeżywali, łysy i zły, zakradają się nocą pod jego dom, smarują mu kłamek świństwem z szamba. Wzywał też podczas tych bezsennych nocy na pojedynek swego prześladowcę z tamtych lat, Rudego. Bał się go niegdyś okropnie, Rudy wyczuwał jego strach, dokuczał mu wymyślnie, rewidował kieszenie, zabierał pieniądze i drugie śniadania, kazał za siebie odrabiać lekcje, ciągle w nim był strach przed tą szyderczo wykrzywioną mordą Rudego i jego zimnymi, szklistymi jak u ryby oczyma. Nawet i teraz wzburzało go to nieco, raniło ambicję, staczał pojedynek z Rudym, pierwsze uderzenie, drugie, prał go bez litości, nakładał na palec pierścionek żelazny w kształcie diabełka, orał tym pierścionkiem twarz Rudego, wycie, krew... Gasła jednak szybko ta sprawa, nie chciało mu się dalej ciągnąć, więc wrzucał Rudego do śmietnika pamięci. A innym znów razem pejzaż dzieciństwa rekonstruował: komórki i strychy, opuszczony ogród, odkrycie niemieckiego składu amunicji w starych kazamatach, żółte kostki trotylu, wielobarwny proch, kształt tego prochu, laseczki, kostki, ziarna... Mało go właściwie ta przeszłość wzruszała, tęsknoty żadnej do minionego nie czuł. Najgorsze w bezsenności były głucha cisza i strach. Więc już wołał byle czym obracać jak patykiem w wyobraźni. Zabawiał się w przypuszczenia, kim mógłby być, żeby mu się ta dętka cholerna nie podziurawiła. Rozważał rozmaite warianty. Żaden go jednak nie pociągał. Używał nawet do tego infantylnej scenerii przygodowych powieści. Zdobywca czegoś tam, odkrywca szczytów górskich i bogactw ukrytych w ziemi, egzotyka i westernowy tumult. Albo ciągłość wyprowadzał z dawniejszego życia. Utożsamiał się z jakimś urzędowym i wysoko postawionym w hierarchii. Takie to było układanie mozaiki lub jak domino, kostka do kostki, coraz bardziej tandetna ta zabawa, zmęczona wyobraźnia, jałowa i głucha, dziwy, luki, coraz częściej, raz po raz już mętnie, coraz mgliściej, poszarpana, kleista, monotonna maż jakaś, ciepłe błocko, duszno, nijako, próżnia, zasypiał...

*

Zapach książkowej starzyzny. Butwiejące, pożółkłe papiery. Druk dawny, pisownia też archaiczna. Bardzo lubił tę dawną pisownię. Tak jakby odrealniała zapisane zjawiska i ludzi.

„Jestto... – widział te słowa wiekowe, jak śmieszne hieroglify – historia, encyklopedia...” Bo właśnie z tej swojej bambusowej etażerki wyciągnął „Encyklopedię Ogólną Wiedzy Ludzkiej”, księgę bez początku i końca, bo dużo kartek wydartych, wydaną w 1870 roku. Do tej lektury dołożył jeszcze „Kalendarz Ziemiański”. Kartki kruszyły się jak wyschnięte ziele. Przerzucał na chybił trafił. Czytał:

– ...Australia... Torbacze... „Są to prymitywne ssaki, u których samica ma na brzuchu podpartą przez parę osobnych kości torbę ze skóry i sierści, niby kieszeń, ku której otwierają się sutki. Otóż samica rodzi swe małe po bardzo krótkiej ciąży w stanie nader niedojrzałym,

wsuwa je do torby i raz na zawsze wkłada im sutkę do pyszczka. Jeszcze o wiele pierwotniejszymi ssakami od torbaczy są stekowce. Są to w dzisiejszym świecie jedyne ssaki jajonośne. Z nich pochodzi dziobak (ormithorhynchus anatinus)...”

Dzisiejszy świat? To znaczy kilkadziesiąt lat temu, prawie sto. A teraz może inne jakieś odkryto, może jeszcze pierwotniejsze? – zastanowił się bez ożywienia.

„...Tubylcy australscy mają cerę ciemnobrązową, czyli jak się mówi pospolicie, czarną, tak jak Murzyni. Ale Murzyni afrykańscy mają włosy kręte jak korkociągi, a w poprzecznym przekroju płaskie jak wstążki, tymczasem włosy tubylców australskich są w poprzecznym przekroju jak włosy europejskie...”

– Czarny ma włosy kręcone, zbadać ich przekrój – powiedział półgłosem.

Bawiły go te opisy. Te włosy jak wstążki. Powaga zdań zwietrzałych.

Potem natrafił na Księstwo Warszawskie i tam o generałowej Zajączkowej. Więc generałowa, starucha na mężczyzn łąsa, kazała sobie z Paryża wypchane biustonosze przywozić, kilkanaście par różnego rozmiaru.

„...a do 80 roku życia zachowała urodę. Nie piła bowiem piwa, kawy, herbaty ani wina, tylko wodę zdrojową. Spała na materacu safianowym, zamiast mydła używała bułki pszennej, bez jaj i masła pieczonej. Myła się zaś w wodzie ze śniegu marcowego, albo deszczowej, z korzeniami pietruszki gotowanej. Co wieczór i rano 3 migdały obrane z łuski żuła i tą masą smarowała sobie twarz, której nie zmywała, tylko ścierała cienkim płótnem. Strzegła twarzy od słońca i wiatru, które płeć grubą czynią...”

Widział lubieżną, wstrętną staruchę zapuszczającą zachłanne macki po uroki życia. Poruszać zaczął szczękami, jakby żuł obrane z łuski migdały.

Kartkował dalej i drobnymi łykami popijał herbatę.

„...rodzina Sanguszków w Sławucie. Książę Roman, powstaniec z 1863 r., ze śladami na rękach i nogach po kajdanach. W rodzinie tej karzeł był ulubiony, Jakubciem nazywany. Razu pewnego dzieci wózkami od kul bilardowych go wioząc, wywróciły na zakręcie. Karzełek potłukł się boleśnie i leżał długi czas, pojękując smutno. Stary książę Eustachy, niegdyś adiutant księcia Pepi, sadzał Jakubcia przy stole koło siebie i trącał się z nim kielichem. A kiedy umarł, tablicę mu na grobie z napisem wystawili: «Imć pan Jakub Sawicki przyjaciel kilku pokoleń Sanguszków»...”

Historyjki jak kleik na chory żołądek, senne, bajczarskie. A w „Kalendarzu Ziemiańskim” znów o bohaterskim emisariuszu, Rufinie Piotrowskim, który uciekł z Syberii i księgę swych peregrynacji napisał. Kilka razy już to czytał i zawsze z ożywieniem, uśmiechając się do siebie.

Dał Rufin dyla z katorgi w zapusty. A że był łysy, to perukę dla niepoznaki sobie wyprawiał z kozłej skórki z sierścią, obwiązał ją chustką, pozorując ból zębów, „a długie jej włosy, ciemnorudawe, dobrze rozczesane, najdoskonalej naśladowały włosy ludzkie”. W swojej wędrówce przez Azję i kawał Europy oko miał na wszystko i oto co między innymi zauważył: „pierogi jęczmienne, bardzo smaczne, które robią takim sposobem, mąkę rozrabiają na ciasto, ale nie na wodzie, tylko na mleku kwaśnym, zapewne dla smaku i rozrostu, ciasto tak zakwaszone z wieczora przez noc podchodzi i rośnie. Następnie nakłada się to ciasto jęczmienne rzadkie na rozwałkowane żytnie, którego brzegi zewsząd są podniesione, tak zgotowane ciasto smaruje się masłem albo posypuje rozartym serem, poczem wsadza się do gorącego pieca. Tak upieczone pierogi są białości nadzwyczajnej i smak mają przewyborny, póki są gorące. Warto by i u nas spróbować tym sposobem pieczenia jęczmiennego ciasta... – pisał dzielny uciekinier w kozłej peruce – gdybym był gospodarzem, nie zaniedbałbym tej próby.”

– Interesujące... – powtarzał Kazik – interesujące...

Pukanie do drzwi. Otworzył niechętnie. To przyszedł Czarny.

*

Czarny starannie czyścił paznokcie.

– Żeby ten Dudzik – powiedział – nie pomyślał, że ze mnie jakieś barachło czy coś...

Kazik pokiwał obojętnie głową. Właściwie kłopoty mieszkaniowe Czarnego przestały go już obchodzić. Nudziły też te głuche, pełne dziur milczenia pertraktacje z podejrzliwym Dudzikiem. Jakaś satysfakcja była również w zmarnowanym wyglądzie Czarnego, który noce spędzał byle gdzie i przychodził do niego rankami umyć się, zeżreć coś i wyprać non-ironową koszulę.

Więc tak przytakując Czarnemu bez zainteresowania, spacerował po przekątnej pokoju. W przelocie otworzył szafę i sprawdził górną półkę, gdzie matka pod bielizną lubiła trzymać pieniądze. Ale nic nie znalazł.

– Wycwaniała się moja stara – stwierdził – zmieniała schowek.

Czarny poprawiał fałę nad czołem i z zadowoleniem oglądał się w lustrze.

– Możliwie wyglądam – mruknął.

Jeszcze miał szansę. A te kilka siwych włosów, które zauważył, wyrwał od razu. Trochę go to zaniepokoiło. Bruneci szybko siwieją. Jak się świństwo posypie, to w żaden sposób nie będzie można zatrzymać.

– Kapusiowska biologia – powiedział – nic nie ukryjesz...

Kazik przyjrzał mu się z kpina. Zafrasowana nagle twarz kumpla. Bo Czarny wyraziście wyobrazził sobie proces starzenia i zafrasował się nieco.

– Za mało tu rozmachu... – zrzędzić zaczął. – Krecia polityka... centymetr po centymetrze... co to za wspinaczka... dobre dla liliputów... ani się obejrzysz i już pogrzebowa parada...

Są jeszcze wyścigi. Ale tego hazardu nie lubił. Miał znajomych kombinatorów, bał się z nimi zaczynać. Zbyt duże ryzyko. Pamiętał ciągle brata. Widmowa przestroga. Szczególnie ten ranek, kiedy go wyprowadzali. Matka dała mu trzy kotlety na drogę i ciepły sweter. A Czarny patrzył cały czas spod koca. Dygotał i patrzył. Brat wypalił jeszcze papierosa, dwa razy pocałował matkę w rękę i wyszedł. Za nim ci dwaj. Chrząst żwiru pod stopami. Cisza i tylko płacz matki.

– Albo żeby czapkę-niewidkę mieć... – zapragnął głośno Czarny – nikomu nie wpaść w oko i robić swoje.

– Za mało rozmachu?... – szydził z niego Kazik. – Ty do rozmachu w ogóle się nie nadajesz... Rozmach jak duża, głęboka woda, a ty dajesz sobie radę tylko na płyciźnie.

Czarny wykorzystał jego ożywienie i tak niby w roztargnieniu ściągnął ze stołu kawał kiełbasy, spojrzał niepewnie na Kazika i zaczął jeść żarłocznie.

– Bo jesteś pluskwa – ciągnął Kazik.

– Pluskwa... – nie obraził się Czarny – może i pluskwa, a ty co?...

– Ja... – odpowiedział po namyśle Kazik – to dopiero jestem pluskwa!... – Ciągle chodził po przekątnej pokoju. – Zresztą wszystko jedno... Osobiście nie widzę żadnych różnic...

Czarny znowu zerkał na kiełbasę.

– Po mojemu... – Kazik zmarszczył czoło, zastanawiał się z powagą, właściwie myślał głośno – sądząc ze wszystkich znaków na niebie i ziemi, ani ty, ani ja już nie mamy lotów... żadnych...

Czarnego to stwierdzenie przygnębiło. Przestał się interesować kiełbasą.

– Co za różnica między nami... – słyszał głos kolegi – tyle że ty śniesz o czekaniu...

– I będę czekał... – przerwał porywczo Czarny. – Bo i co... – Popatrzył w okno i twarz mu się naraz zmieniła. Ten niezmienny brzydki widok przed nim. Panorama, tak to nazwał kiedyś Kazik. Nasza panorama, tak powiedział dokładnie. Drewniane domki, dachy pokryte papą, papa rozłazi się jak liszaj, kury grzebią w śmietniku, budka z lodami zamknięta – skończył się czas na lody, jakiś jaskrawy plakat na płocie. Pijaczek manewruje wzdłuż płotu, nogi miękkie

jak z plasteliny, przytrzymuje się sztachet, obsuwa, raczkuje jak niemowlę. W oddali rusztowania i czerwone mury jakiejś budowy. Martwy ten widok ożywił się nieco.

Ulicę przechodzi młoda kobieta, pcha przed sobą wózek z dzieckiem. Pijacek unosi się z ziemi, pokrzykuje coś do niej.

– Bo i co... – powtórzył Czarny i nic już w nim błazeństwa ani unizienia – mam poderwać jakąś taką, niby miłość to się nazywa, ciu-ciu, zakochane słowiki, brzuch jej urosnie, z brzucha dzieciak jak rekin, żarłoczny, wrzeszczy, harujemy, harujemy, mebelki, dywaniki, foteliki, wreszcie mieszkanko w nowym budownictwie, kłitka taka, duszno, tłok, ryk, smród, tak już do końca... – aż wzdrygnął się. – Wolę nic nie mieć... – wybelkotał po długiej chwili, a wzrok jego, rozbiegany i spłoszony, to uciekał od tego widoku za oknem, to znów wracał tam jak prowadzony na smyczy.

Kazik wybuchnął śmiechem. Znał doskonale ten paniczny, obsesyjny u Czarnego lęk dusznych, małych nor w nowym budownictwie. Lęk obieżyświata przed pułapką. Nieraz patrzył Czarny przerażonymi oczyma na te bloki-ułe poznaczone gęsto otworami okiennymi i balkonami.

– „Małe mieszkanko na Mariensztacie...” – zanucił Kazik – pamiętasz, był kiedyś taki szlagier, akurat dla ciebie.

A Czarny wciąż przeżywał wizję duszenia się: tracił skrzydła, wpychano go do klatki, dusił się pod szczelnym kloszem. Spociły mu się dłonie.

– Mam ja z tym... – wyciągnął chusteczkę.

– Nadwrażliwość – stwierdził Kazik ironicznie.

Czarny ocknął się wreszcie z ponurego zamyślenia. I przypomniał sobie o liście od wsiowej dziewczyny z brzuchem. Wyciągnął z kieszeni pomięty papier, wygładził i pokazał Kazikowi.

Kazik przeczytał uważnie.

– Trochę pieniędzy ze sobą bierze... – rzekł po namyśle – a również stwierdzić można z tekstu ogromny niepokój, stan depresyjny, że tak powiem, choć nieporadną stylistyką wyrażony... A co za jedna? – zwrócił się do Czarnego.

Wsiowa – odparł tamten. – Kiedyś, dawno temu, zajmowałem się nią od strony erotycznej...

Kazik ponownie przeczytał list. Kratkowany papier, tłusta plama, pełno błędów.

– Można będzie wymyślić jakąś zabawę – uśmiechnął się lekko.

– Ale to chytra sztuka – zwątpił Czarny – chytra i bez polotu...

– Spróbować można – rzekł Kazik. Jeszcze nie miał żadnego pomysłu. Ale przyszła mu nagła ochota zanurzyć się w życie, wymyślić jakąś zgrywę, czymś pokierować i coś doprowadzić do jakiegoś końca. – Tylko trzeba sprytnie... – dodał – inteligentnie, precyzyjnie, nie szarżować i bez żadnych skrupułów, oczywiście... Zrozumiano?

Czarny przytaknął skwapliwie. We wszystkim ulegał Kazikowi, potrzebował kogoś, komu można ulegać.

*

Kiedy późnym wieczorem siedział Kazik przy oknie, starzy spali, światła w innych domach już wygaszone, to gdzieś z pobliza posłyszał grę na gitarze i zawodzenie, cienki, załamujący się głos brzmiał jak spowiedź, skarga, wyzwanie. Już kilka tych głosów, chór taki. Był to śpiew młodych. Poruszył się nerwowo. Nieruchawy spokój przysł od razu. Patrzył w ciemność. Dźwięk gitary niósł się donośnie, głosy też. Wyobraził sobie tych młodych, długowłosych i brodatych, dziwacznie ubranych, takich dziesiętnastolatków najwyżej. Siedzą na podłodze, może i dziewczyny z nimi, wino, kłęby dymu, hałas, śmiech, może tańczą... Ogarnęła go złość. Zobaczył od razu taką hordę młodych, szarańczę. Wynurza się zewsząd. Dep-

cze wszystko i zmiata. Pogardza wszystkim i szydzi. Nie chce żadnego porozumienia. Odtrąca ze wstrętem... To ich życie ledwo, ledwo zaczęte, czyste i dumne, bez żadnych garbów i skrzywień, prosta droga w przyszłość, oni jak lawina na tej drodze, głosy ich dźwięczne sły-
szał, śmiech obcy i drażniący, ich oczy takich jak on nie widzące, gdzieś przez niego czy po-
nad patrzą, on dla nich jak szkło lub martwa bryła tylko, ta energia w nich i ochota do życia
aż kipi i huczy, rozsadza, ponosi... Sam poczuł się naraz robakiem ohydny, pełzającym...
Więc życzył im najgorszego. Zazdrościł równocześnie. Nie mógł też odejść od okna. Słuchał i
wypatrywał w ciemności. Ale nic nie widział. Palił papierosa i słuchał. Aż wreszcie zmęczył
się. Położył się do łóżka. Rankiem przecież czekała go razem z Czarnym ta sprawa z brzu-
chatą dziewczuchą. Ale nie miał jeszcze żadnego pomysłu. Wciąż tylko myślał o tych młodych.

– Gnojki... – wiercił się na posłaniu.

*

Świt odsłaniał zmęczone, świecące twarze podróżnych w przedziale. Jednemu splywała
ślina kątem ust, inny wiercił się i oddychał bulgotliwie nosem, stara baba rozkraczyła się jak
ropucha. Wszyscy kołysali się w rytm turkotu kół, a kiedy pociąg hamował lub nabierał szyb-
kości, opadali na siebie jak manekiny, bezwładni, martwi. Mijane latarnie z nagłą obrzucały ich
swoim światłem, zniekształcając upiornie rysy twarzy albo zupełnie zacierając ich kontury.

Dziewczyna, która jechała z daleka, nie spała ani chwili, ścisnęła torebkę między kolana-
mi, dłonie też zacisnęła na niej. Oczy piekły, bolała głowa, raz po raz atakowała zdradziecka
senność, prostowała się z trudem, tarła kułakiem oczy; nie dawała się uparcie. Podejrzliwie
śledziła tego wojskowego z dwoma paskami na pagonach, gdyż niekiedy mijane światło stwa-
rzało pozory, że nie śpi on wcale, a tylko patrzy chytrze i wyczekująco na nią właśnie.

Zaczynała się już przedmiejska zabudowa, skończyły się pola i lasy, coraz częściej duże
skupiska murowanych domów, baraki, fabryki, kominy, rusztowania, stacje i parowozownie.
Patrzyła z niepokojem na ten obcy pejzaż. Widok ten mieszał się z odbiciem własnej twarzy
w szybie. Podbite oczy, komin fabryczny, zniekształcony nos, jakiś dźwig, szklany dach,
znowu oczy, w odbiciu tym również niewyraźny kontur twarzy wojskowego. Zaczęła się mo-
dlić po cichu. Już dojeżdżała do miasta.

*

Stanęli na skraju peronu. Powietrze było wilgotne, wiało trochę. W oddali przez mgłę
przebiegały czerwone i zielone światła semaforów.

...ten Dudzik... – Kazik przypomniał sobie wyprawy starego na dworzec – nocą człap,
człap. Dwie sylwetki. Jedna oblapująca drugą. To Dudzik wraca z dworcowych łowów. A
pewnego ranka ojciec wysłał go z marynarką dla Dudzika. Czarna, z przedwojennej setki.
Szmata właściwie, ale stary domagał się przeniecowania. Stanął pod drzwiami. Usłyszał z
wnętrza jakieś szmery, kwiki, posapywania. Ostrożnie uchylił drzwi. Ona, ta ostatnio wyło-
wiona przez Dudzika, imieniem Jadzia, leżała nago na łóżku. Stary na klęczkach przy niej.
Kazik chrząknął i wszedł do izby. Dziewczyna zapiszczała i owinęła się kocem. Dudzik wstał
ociężale z klęczek. Obojętny jak zwykle. Tylko wierzchem dłoni otarł usta. Wstrętny to był
gest. Starannie obejrzał marynarkę. – Prima... – powiedział. A biała noga dziewczyny wysta-
wała spod koca. Dudzik spojrział na nogę, potem na Kazika. Powiesił marynarkę na krześle.
Mrugnął do Kazika, a dziewczynę szczypnął w udo. Zapiszczała...

– Ten Dudzik – powiedział Kazik – to wielki spec na wiejskie dziewczuchy... a wygląda jak
skorpion...

Czarny popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Wprawiam się w erotyczną koncentrację – wyjaśnił Kazik powód mówienia o Dudziku.

Światła semaforów utopione we mgle jak oczy starego łowcy. Siąpił deszcz. Spacerowali. Pociąg przyszedł z opóźnieniem.

– Ona – szepnął Czarny.

Podbiegł do wagonu. Pomagał wysiąść jakiejś dziewczynie. Kazik ruszył za nim.

– Mój kolega – przedstawił go Czarny – razem byliśmy na medycynie...

Duża, piersiasta dziewczucha. Dłonie miała szerokie, czerwone, z krótkimi palcami, w jednej trzymała torebkę.

– Dawno się nie widzieliśmy... – zaczął Czarny słodkim głosem – ładnie wyglądasz, nic się nie zmieniłaś...

Mruknęła coś niezrozumiale. Zerkała podejrzliwie na Kazika.

– No i co tam słyhać... – ciągnął Czarny.

– Po staremu – odpowiedziała.

– U mnie też pomału... – Czarny wrednie począł naśladować głos dziewczyny, powolny, bezbarwny.

Ruszyli do wyjścia. Kazik szedł za nimi. Ona ciężko przetaczała biodrami. Kawał baby. Chód kaczkowaty i ciężki jak kufer zadek. Czarny szeptał coś jej z ożywieniem. Potakiwała. Była wyraźnie spłoszona. Na pewno tym swoim brzuchem. Przechodzili przez dworcową poczekalnię. Kazik rozejrzał się z ciekawością. Dawno już nie był tutaj. Tłok. Zaduch. Taki ciężki, oszałamiający dworcowy smrodek. Odrapany sufit, mętne światło dnia skąpo dostawało się do wnętrza, dym i kurz. Na ławach gęsto zalegali podróżni. Senni i zmęczeni, ścisnęli swoje toboły, niekiedy podrywali się gwałtownie, wsłuchując się w głos z megafonu. Czarny przystanął. Oszlone drzwi dworcowej jadłodajni.

– Pójdziemy do restauracji – zaproponował – Józia jest pewnie głodna, taka podróż przecież.

– Nawet oka nie zmrużyłam... – odezwała się dziewczyna – całą noc...

– Dlaczego? – zdziwił się Kazik.

– Czuwałam – odpowiedziała ponuro – różni się przecież włóczą.

Dużo wolnych stolików. Kolejka piwoszków przy bufecie. Syk ekspresu. Szczęk kufli. Usiedli pod lustrem. Dziewczyna zerknęła w swoje odbicie. Obciągnęła bluzkę. Piersi, duże i miękkie kolebiące się kule, wystąpiły jeszcze wyraźniej. Kazik ożywił się nagle. Oczy mu rozblęły i uśmiechnął się do niej. Spojrzała na niego. Spojrzała w lustro. Znowu na niego. Kazik niedbałym gestem bywalca przywołał kelnera. Zamówił wino, dwie herbaty i pieczeń wieprzową. Czarny popatrzył na niego z niepokojem. Obaj nie mieli przecież pieniędzy. Ale Kazik nieznacznym gestem wskazał dziewczynę. Ona jest ich kasą. Dziewczyna jadła żarłocznie, mlaskała głośno.

Czarny napełnił szklanki winem.

– Ja chyba nie...

– To nie ma nic do rzeczy... Wino i ta twoja sprawa. Kompletnie nic nie szkodzi... – uśmiechnął się Czarny. Uśmiech miał ładny, wzbudzający zaufanie. Cała jego wredność chowała się za tym uśmiechem doskonale.

– A dobrze zrobi... – wtrącił Kazik – rozgrzeje...

Więc ujęła ostrożnie szklankę, odginając najmniejszy palec. Sączyła drobnymi łykami. Ale wypięła do dna.

Czarny znowu napełnił szklanki.

Kazik pił chciwie. Miał chęć. Jakaś energia, mała jeszcze i niewyraźna, już kielkowała w nim. Po picciu, wiedział, ta energia rozbudzi się jeszcze bardziej i wszystko będzie prostsze, łatwiejsze. Butelka już pusta. Stuknął w szkło.

– Pan będzie łaskaw – zwrócił się do kelnera – jeszcze jedno takie samo.

– Najlepsze jest wino „Samos” – wtrącił Czarny i roześmiał się z tej gry słów.

– Nie mamy takiego – odparł kelner.

Dziewczyna starannie zgarniała widelcem resztki kartofli i marchwi z talerza.

– Takie wino gronowe tylko wzmacnia krew... – tłumaczył jej z ojcowską powagą Czarny – ciała czerwone rozmnożą się... a w twojej sytuacji nie ma nic bardziej ważnego jak czerwone ciała...

Ostłoniła dłonią usta, ostatni palec odgięła wytwornie jak przy picciu, zapałką dłużyła w zębach. Czoło miała niskie, lekko pofałdowane i nos z siodłem.

Wszystko w jej twarzy było byle jakie i nie zwracało uwagi. Kazik obserwował ją nieznacznie. Ta nijakość w połączeniu z bujnym, rozrośniętym ciałem zainteresowała go właśnie. Patrzył na nią zimno, uważnie, jak na zwierzę w klatce. A z tego cielska bucha ciepłym niczym z pieca. Na pewno.

Czarny usadowił się wygodniej.

– Wnioskując z listu... – zaczął – przypadek twój jest dość skomplikowany. Zadawniona sprawa, zbyt późno postanowiłaś...

Dziewczyna spojrzała wstydliwie na Kazika. Czarny machnął niecierpliwie ręką.

– Nie ma co ukrywać... – rzekł – to mój przyjaciel, też świetny diagnosta, a zresztą to żaden wstyd, konsekwencja ludzkiej fizjologii po prostu...

Kazik przytaknął. Z trudem zachowywał powagę. Jej wstydlivość rozśmieszyła go. Ożywił się. Zaczynał mu już świtać pewien koncept, mglisty jeszcze, ale niezły chyba...

– Taki stan zastarzały... – perorował Czarny – kiedy rozwój embriona mocno jest już zaawansowany, nazywa się w nomenklaturze medycznej... – zaczerpnął oddechu – leucatis entilis, lecz przy wnikliwej analizie i odpowiednich zabiegach można jeszcze...

– Jak to?... – przerwała drżącym głosem – to niby nie da się rady?...

– Tego nie powiedziałem – rzekł Czarny – leucatis entilis... – Smakował te wymyślone przez siebie, rzekomo łacińskie słowa.

Dziewczyna nie spuszczała z niego oczu.

– Jak to było? – zapytał surowo Czarny.

Zaczerwieniła się, znowu zerknęła na Kazika.

– Przecież już ci mówiłem... – rozeźlił się Czarny – to mój przyjaciel, też medyk, wzajemnie konsultujemy się w skomplikowanych przypadkach...

Kazik skłonił się wytwornie.

– Ano, zwyczajnie... – szepnęła.

– W jakiej sytuacji? – zapytał Czarny.

Z polotem zaczął tę zabawę. Szczere uznanie w oczach Kazika. Dziewczyna pytania nie zrozumiała.

– Gdzie to nastąpiło? – wtrącił Kazik.

– Ano, za PGR-em... – wyjaśniła, opuszczając głowę – tam na górze w dębinie, wiesz, gdzie to jest...

– Ile razy było powtarzane? – Czarny patrzył na nią intensywnie.

– Eh... – zrobiła się czerwona na twarzy, zaczęła się wiercić niespokojnie – parę razy, może trochę więcej, obiecał się żenić, później kręcił, kierowca z PGR-u... obiecał się żenić – powtórzyła.

– Więc... – wtrącił nagle Kazik – stan jednak zadawniony... nauticus clinicus... tak brzmi nazwa tego stadium w naszej nomenklaturze... – już przejmował pałeczkę w sztafecie z tą dziewczyną w swoje ręce – oczywiście obecny rozwój medycyny, a szczególnie odkrycie profesora Smitha, już temu potrafi zapobiec, ponadto jeszcze metoda doktora Kudła, jego gimnastyka ginekologiczna w stylu szwedzkim, jak również terapia wstrząsowa, mikrofały, aparaty Biggera... – płynęło mu to lekko, bez oporu, terminy, nazwiska; przydała się staroświecka encyklopedia, którą tak lubił czytywać w puste dni – tyle że nieco komplikacji, badania wstępne, ustalenie reakcji organizmu, niezawodne kleszcze Lindego, odsunięcie tkanki łącznej...

Dziewczyna wytrzeszczyła te swoje wodniste niebieskie oczy, palce lewej dłoni zacisnęła na przegubie prawej. Już porządnie zbombardowana lawiną tego bełkotu.

– Reasumując, jest możliwość likwidacji...

Odetchnęła z ulgą, tak jakby wypuściła z siebie złe powietrze, czad czy coś...

– Fakt... – przytaknął Czarny – diagnoza nasza ma niewątpliwie charakter optymistyczny, nie potrzebujesz się zanadto obawiać... Pamiętam... – zaczął Czarny.

Ale Kazik przerwał mu władczym ruchem ręki. Miał już pomysł, nie chciał dłużej czekać.

– W takich przypadkach... – powiedział – stosujemy serię zastrzyków Sztejnów, zawierają one antropoceutynę, następują ruchy mięśniowe, aż wreszcie kończymy zabieg niezawodnym...

– Wiele to będzie kosztować... – przerwała mu nagle i jej spojrzenie zatrzymało się po lewej stronie talerza; spoczywała tam jej lakierowana bordo torebka.

– Sprawa do uzgodnienia ze specjalistą – Czarny wyrwał się pierwszy z odpowiedzią.

– Seria zastrzyków natomiast... – podjął Kazik, poruszył ustami, udawał, że coś oblicza – około tysiąca złotych.

Dziewczyna pokiwała głową. Poruszyła bezgłośnie ustami, chyba coś obliczała.

A Czarny, tak nagle wysadzony z przodownictwa w grze, sprężył się znowu i zmobilizował resztki swej inwencji i fantazji. Podjął jakiś medyczny watek, dużo lewej łaciny, troska w głosie i gestykulacja.

– Pamiętam... – perorował – to zdarzyło się podczas mej praktyki w szpitalu Przemienienia Pańskiego. Właśnie przywieziono przypadek taki jak twój... – zawahał się chwilę, ale pamięć miał niezłą, płynnie powtórzył to, co przedtem wymyślił: – Leucatis entilis, tylko czasowo bardziej zaawansowany, niestety, to było już stadium rozwoju wyższego...

Kazik patrzył na niego pobłażliwie. Ale nawet potakiwał. Niech gada. Bo sam właśnie obmyślał następny strzał.

A dziewczyna, i tak już niezłe skołowana, dostała wypieków. Twarz koloru buraka. Nafaszerowana jak bomba tuż przed wybuchem. Znieruchomiała. Tylko jej krótkie odmrożone palce lekko drgały. Kazik przyglądał się tym palcom z zainteresowaniem. Takie ruchliwe czerwone robaki. Nagle wstała niezgrabnie. Pęcznieją policzki. Załzawione oczy, pierś szybko faluje.

Czarny usłużnie wskazał toaletę. Ruszyła tam w pośpiechu.

– Pewnie puści pawia... – zauważył Kazik.

– Antropoceutyna... – zachichotał Czarny – aleś to wymyślił!

– To przyszło mi do głowy... – powiedział Kazik – od antropologii i ceresu...

Pełen zazdrości rehot Czarnego.

– Ty też niezłe się starałeś – przyznał łaskawie Kazik. Ogarnęła go przyjemna fala ciepła. Postacie ludzi zamglily się, wszystko zatarte, dalekie, jakby nierealne. Od sąsiedniego stolika dolatywały strzępy rozmowy.

Siedzieli tam trzej kolejarze.

– No to ja bach, wyczułem go, musi mieć...

– Więc mówię: będzie to kosztować trochę więcej...

– Ja tak samo, daj jeszcze, mówię, dołoż.

– No to ja jedną kartę, drugą, trzecią, starczy, patrzę, pasuje.

Dwaj kolejarze przekrzykiwali się i gestykulowali. Trzeci z nich, chudziutki i zapity, słuchał smętnie. Coś próbował wtrącić. Tamci wcale go nie słuchali.

– A który z was szklanę zgryzie! – chudziutki wstał z krzesła.

Tamci nie usłyszeli. Spierali się o coś dalej.

– No! – wykrzyknął chudziutki – tak jak chleb, kawałek po kawałku!! – Chwycił ze stołu szklanę, otworzył szeroko usta. Rozległ się przykry chrzęst łamanego szkła. Pracowicie poruszał szczękami. Szklanka zmniejszała się szybko. Już tylko dno z ostrymi jak kły strzępa-

mi... W kącikach ust tego chudziutkiego pokazał się biały szklany miąż. Niemordowanie przetaczał szczękami, a oczy miąż pełne triumfu.

Dwaj jego towarzysze już nie gadali. Patrzyli z zainteresowaniem.

Czarny pełen podziwu dla tego gryzonia.

– Ja też tak gryzłem kiedyś... – powiedział w zamyśleniu – nie szkło, skąd, gwoździe, teraz wszystkie zęby mam poplombowane, z głupoty, przez te gwoździe...

Kazik ocknął się z błogostanu. Sztuka ze szklanką nie zainteresowała go wcale.

– Nie rozpraszaź się po marginesach – przywołał Czarnego do porządku. – Te zastrzyki będą ją kosztować tysiąc złotych, pojmujesz?

– Tysiąc... – powtórzył Czarny – przecież nie ma żadnych takich zastrzyków, jak to nazywałeś, Szejnów. I po co w ogóle jej zastrzyki, przecież skrobanka tylko...

Kazik uśmiechnął się drwiąco.

– Nic nie pojmujesz?

Czarny nie pojmował.

– Rzecz w tym – zaczął tłumaczyć Kazik – że ona orzeł intelektu to na pewno nie jest... raczej z rodziny torbaczy albo stekowców, kapujesz, to takie ssaki niskiego rzędu... więc przy takim przeciwniku nie trzeba się wysilać na wyrafinowane pułapki... bardzo to proste... Kupi się byle co, choćby sól fizjologiczną, kosztuje grosze...

– No i co z tego? – nie kapował jeszcze Czarny.

– Wtedy z tysiąca złotych wydajesz te grosze na sól fizjologiczną, a reszta zostaje dla nas...

Czarny nareszcie zrozumiał. Wpatrzył się w Kazika z podziwem. Zaślniły mu oczy.

– Reszta dla nas!

– Zastrzyki potrafisz robić? – zapytał go Kazik.

– Jasne! – głos Czarnego zakipiał zapałem. Już był jak zgłodniały wilk.

Kazik przeciągnął się. Dobry był ten dworcowy nastrój. Bieganina, głos z megafonu, za oknem sapanie parowozów. Atmosfera dalekich dróg, nieznanego...

– My też robimy sobie podróż – Kazik przeciągnął się jeszcze raz.

– Wraca – szepnął Czarny.

Dziewczyna wróciła z toalety odświeżona, wargi umalowane jaskrawą szminką, włosy nad czołem zwilżone, lśniące.

– Bardzo ładnie pani wygląda – Kazik podsunął jej szklankę z winem.

Zawahała się.

– Nic nie zaszkodzi... – namawiał Czarny – kompletnie nie ma żadnego styku, wino i ta twoja sprawa, a nawet pomaga, lepsze krążenie krwi, tłumaczyłem ci już... – Sam też pociągnął ze swojej szklanki. – Pamiętasz... – spojrzał na nią powłóczyście – tam u ciebie piliśmy dużo wina.

– Zawsze przychodziłeś z flaszką – potwierdziła. Przez chwilę twarz jej rozluźniła się, ale szybko znowu spochmurniała.

Kazik widział pod stolikiem jej masywne uda obciążone spódniczką. Jak filary jakieś. Wytrzymałość i siła. Drażniła go ta dziewczucha. Taka wsiowa rozłożysta kobyła ze zmachanym brzuchem.

– Trzeba będzie pojechać do lekarza i kupić te zastrzyki – odezwał się.

Akurat kelnerzy wyprowadzali tego chudziutkiego, który gryzł szkło. Ciągnęli go za rękę. A on zapierał się i wierzgał.

– Żeby tylko chciał odstąpić... – zafrasował się Czarny – to nowy amerykański środek, trudno dostępny...

– Znasz go przecież – rzekł Kazik – na pewno pójdzie ci na rękę.

Dziewczyna patrzyła na nich trwożliwie. Oczy miała wybałuszone, ciężkie myśli rozsa-
dzały jej czaszkę.

– Pieniądze mam... – powiedziała – starczy...

Czarnemu zaświeciły się oczy, szybko opuścił głowę.

– W ogóle... – westchnął – głupio się stało, my jesteśmy chwilowo bez gotówki... Niestety...

– Ale zrewanżujemy się pani za dwa dni... – wtrącił Kazik – jak podejmiemy pensję w instytucie...

Zbliżał się właśnie kelner.

– Daj... – szepnęła Czarna – nie wypada, żebyś ty płaciła za mężczyznę...

Pod stołem otworzyła torebkę, gmerała w kosmetyczce, wsunęła w dłoń Czarnego kilka banknotów.

Kazik ucieszył się. Więc zdobyli jej zaufanie.

– Skarbonka – powiedział w przestrzeń.

Czarnemu to określenie trafiło do przekonania i zmrużył szelmowsko oko.

*

Szaro, taka pogoda już od paru dni, jeszcze mokro po nocnym deszczu. Podążali ulicą od dworca. Kazik i ta wsiowa dziewczyna. Przyciskał jej ciepłe ramię. Prowadził z galanterią zalotnika. Omijał zrećnie wodę we wklęsnięciach chodnika. Przepuszczał ją przodem i chronił przed poszturchiwaniem zabieganych przechodniów. Ona czasem zerknęła na niego. Tak z boku. Krótko i uważnie. Podobał się jej. To czuło się wyraźnie. Kazik odpowiadał na to jej spojrzenie mechanicznym uśmiechem. Myślał o czymś innym. Jasne światło w nim.

Widział jakąś taką drogę oświetloną ostrym reflektorem. Pod górę wysoką ta droga. Miał więc tę rzadką chwilę pełnego zadowolenia, miraż po prostu. Olbrzymiał w swojej wyobraźni. Znajdował się najwyżej, a wszyscy jak robactwo sunęli dołem. Śledził ich ścieżki i obmyślał, w jaką pułapkę wpędzić to ślepe mrowie. Księżycowa sceneria w nim. Ale sekundy to trwało jedynie. Gra wyobraźni sprowadziła się do rzeczywistego wymiaru. Drobną, wszawą i wredną zabawą. Ona, ta wiejska dziewczyna, obok niego, prymityw i strach, siodłowaty nos, połamane korbówkami włosy, szeleszczący ortalion. Zobaczył też siebie: marna jesioneczka, powypuchane spodnie i twarz zmięta i nieświeża...

Zaraz jednak otrząsnął się z tych skojarzeń, znowu był rzeczowy i skoncentrowany.

– Czy nie za szybko idziemy? – zwrócił się miłym, życzliwym głosem do dziewczyny.

Zaprzeczyła.

– Tylko tak jakoś dziwnie... – odezwała się – pierwszy raz tu jestem, hałas, tyle ludzi...

– Dość duże miasto... – przytaknął – przeszło milion mieszkańców, ale można się przyzwyczaić, nawet polubić... ten tłum jak las, anonimowy, niby patrzą, a nie widzą, trącają się, a nie czują cudzego ciała wcale, więc po jakimś czasie jak w lesie, samotnie, ścieżkami... – Tak mówił i rozmyślał równocześnie o dalszym biegu wydarzeń. Bo umówili się tak: Czarna pojechała po zastrzyki, a spotkanie wyznaczili sobie wieczorem w poczekalni podmiejskiej kolejki.

Na myśl o tych fikcyjnych zastrzykach pojawił mu się na twarzy krzywy, zły uśmiech. Ale zaraz się wygładził, powrócił do czulego, zalotnego grymasu.

– Pokażę pani miasto... – powiedział miękko – jego zabytki i osobliwości... Warto to obejrzeć... I oderwać się od niewesołych myśli. Nie warto zaprzętać sobie głowy...

Po raz pierwszy uśmiechnęła się. Do niego właśnie. Był w tym uśmiechu pewien wdzięk. I zalotność też. Zanotował to spostrzeżenie w pamięci. Może się przydać. Jeszcze nie wiedział na co...

Knajpa, do której zaprowadził Kazik tę dziewczynę z daleka, nazywała się „Oaza” i znajdowała się w peryferyjnej dzielnicy miasta. Lubił tu niegdyś przychodzić. Dziś też nic nie było zmienione. Drzwi zaskrzypiały przeraźliwie, tak samo jak dawniej. Mroczne, brudne wnętrza. Stoły przykryte ceratą, na ceracie kałuże piwa. Garbaty szatniarz. Jazgot pijanych głosów. W głębi na podwyższeniu rzępoliła cygańska orkiestra. Tak samo jak dawniej kipiało to wnętrza wodą i bełkotem. Niewiele kobiet. Te nieliczne obłapywane zachłannie przez mężczyzn.

Usiedli w kącie przy szynkwasiu. Bufetowa podniosła na nich pusty, zmęczony wzrok.

– Żeby to wszystko udało się szczęśliwie załatwić – odezwała się nagle dziewczyna.

– Załatwimy... – Kazik pogłaskał ją po ramieniu. Patrzył na nią poważnie, głęboko. – W ogóle za dużo się przejmujesz... A nie powinnaś... Należy zdać się na nas... Z zaufaniem i bez żadnej obawy... Już przecież wszystko na właściwej drodze... Godziny to rozstrzygną, pomysły, najlepsze środki, jakie zna medycyna... parę godzin tylko... – tak mówił ciepłym, miękkim głosem, jak czarodziej. Karmił otuchą. Słuchała go chciwie. Potrzebna jej była taka gadanina. Ciepła, czuła jak puch. Patrzyła też w jego twarz chciwie. Machinalnie potakiwała.

Zamówił ćwiartkę wódki i dwie sałatki.

– Tylko świeże – zaznaczył. Bardzo lubił sałatki, takie z różnymi jarzynami i majonezowym sosem.

Już nie zaprotestowała na widok wódki. Obojętnie przyjęła napełniony kieliszek.

Zapatrzyła się w okno. Zapadł już wieczór. Nieliczni przechodnie podążali spiesznie. Wiatr smagał bezlistne gałęzie drzew. Kazik ogarnął dziewczynę krótkim, badawczym spojrzeniem. Przysunął się bliżej. Skupił się i sprężył.

– Lubię noc... – zaczął jak wizjoner.

Zalatywało od niej potem, rozgrzana, duża. To ciało działało na niego coraz silniej.

– Czasem – ciągnął – w nocy wszystko przechodzi, noc jak ukojenie... Dzień na przykład przygnębiający, taka studnia bez dna, to jasne światło tak okrutnie obnaża, przenika. Czekam tylko na wieczór. Spada ciemność... Całun... – tak mówił i badał odbiór – ... całun, rozumiesz?... Latarnie tylko świecą. Nic nie widać... Bezpiecznie. Sam też jestem wchłonięty. Już pod namiotem bezpiecznym ciemności. Nikt nic nie widzi. Krążymy jak ślepy. Każdy w swoim świecie... Okrucieństwo ustępuje. Taką porą dobre staruszki dzieciom bajki opowiadają...

Podsunał jej kieliszek. Oczy miała wołowate, wodniste, teraz intensywnie wpatrzone w niego. Tak jakby złapana w pajęczynę tych słów. W melodię jego głosu.

– Pij... – zaszeptał przenikliwie – tobie też będzie lepiej...

Wypiła posłusznie.

– Nie każdemu to mówię. Głupcom ani słowa. Nic by nie zrozumieli. A z tobą tak mi jakoś, jakbyśmy znali się od dawna. Czujesz to, prawda?

Z przejęciem pokiwała głową.

– Wiesz przecież, co to samotność – ciągnął – ból, porzucenie... Samotność gorsza niż śmierć. Pustynia. Wiesz, co znaczy potrzebować kogoś... Znowu przytaknęła z naiwną gorliwością. Mówił więc dalej, gorąco i dziwnie. Wpatrzony w nią intensywnie. Oczy błyszczały mu drapieźnie. Był to jego stary sposób na dziewczyny. Dziś wydobyty z lamusa. Ogarniać mową. Czadem mowy... Tylko czy ta wsiowa aby ma odbiór na to? Zaniepokoił się trochę.

– Ale gadasz... – szepnęła dziewczyna – tak jakoś...

Pogładził jej dłoń, przesuwał palcami wyżej i wyżej, grube ramię, jeszcze wyżej, delikatnie, powoli, miękka bulwa piersi. Nie bronila się wcale.

– Nieczęsto chce mi się tak mówić do kogoś... – Patrzył na nią. Sondował. Nagle zaczęło mu bardzo zależeć na tym. Wciągnął się. Gorąco biło od jej ciała jak z chlebowego pieca. Gniótł już jej piersi. Coraz zapalczywiej. Ona wpatrzona w niego.

– Józia – powiedział przeciągle. Pierwszy raz wymówił jej imię i śmiać mu się zachciało. To imię tak bardzo nie pasowało do gry. Jak dysonans to imię. Ale zdusił śmiech. – Józia – powtórzył.

Rozchyliła usta. Gładzić poczęła jego dłoń gmerającą pod bluzką. Cisza i tylko jej oddech. I jego też za chwilę. Wzburzony, nierówny. Sam już nie wiedział, czy to naprawdę, czy tylko gra...

– Ty to jesteś... – usłyszał głos dziewczyny – dobry sobie.

Spojrzał podejrzliwie. Podziw czy niechęć? Ale jej oczy pełne były ciepła.

– Wyjdziemy stąd – zdecydował.

Płaciła sama. Nawet słowem jej o tym nie wspomniał. Kiedy tylko dostrzegła kelnera w pobliżu, od razu wyciągnęła torebkę. Więc skinał jeszcze na Cyganów. Otoczyli stolik i zarzępolili z całej mocy. Spodobało się to dziewczynie. Słuchała przytulona do niego.

– Tylko nam grają – powiedziała z podziwem.

– Najgorsze... – zaszeptał – że mieszkasz tak daleko... Niedługo wyjedziesz i w ogóle...

Też tym się przejęła. Opuściła głowę.

– To... – powiedziała gwałtownie – tak jakoś się złożyło, nie myśl, że ja z każdym, niby miał się żenić, przecież z byle kim bym nie poszła...

Szli ulicą wśród posepnych ruin i ruder. Była to najmniej odbudowana część miasta.

Gruzy, wysypiska, kikuty kamienic... Gdzieniedzie zabłąkane światełka w oknach. Jak świece na cmentarzu. Czeluści bram, piwniczne okna. Cisza. Tylko przenikliwe miauczenie parzących się kocurów. Krótki, basowy poryk jak bulgot i zaraz długie zawodzenie, rozkosz, nienawiść, radość... A ponad tym wszystkim jasno oświetlony, monumentalny masyw Pałacu. Biały jak kość w tym świetle.

Przed nimi zamajaczył mur i wieże kościoła. Weszli na kościelny podwórzec. Dziewczyna nie pytała o nic. Zaciszne miejsce. Kościół wśród starych, wysokich drzew. Pod murem stopy cegieł i rusztowanie. Żwir zgrzytał pod stopami.

– Takam zafrasowana – dziewczyna nagle przystanąła i wysmarkała się hałaśliwie.

– Będzie dobrze, zobaczysz... – popchnął ją lekko pod mur.

Westchnęła. Ale ciągle posłuszna. Zaszli za rusztowanie. Rozejrzał się. Cicho. Ani głosu, szmeru, nic... Objął ją mocno i pocałował.

– Nie martw się... – szeptał – nic się nie martw...

Przytuliła się do niego ufnie i jakby z nadzieją. Ciężka i duża. Aż zatoczył się pod tym ciężarem. Ale wytrzymał. Oparł się plecami o rusztowanie i już szarpał coraz zajadziej jej ciuchy. Szorstkie ręce, uda też szorstkie. Miękkie, rozległe ciało. Żądza narosła w nim gwałtownie.

– Mogą zobaczyć! – wykrztusiła. Ale nie próbowała go odepchnąć nawet. Tak już przyklejony do siebie.

– Skąd! Tu nikt nie przychodzi... – zachrypiał.

Przestała się opierać. Żwir chrzęścił pod stopami. Żwirowy hałas. Coraz gwałtowniejszy, nieznośny. Potem oparł się o mur. Oddychał nierówno. Wytarł spoconą twarz. Trąciła go w ramię.

– Ty to jesteś!! – zachichotała.

Nie patrzył na nią. W skroniach stukotało zmęczenie. Zapalił papierosa. W pobliżu rozległo się kocie wycie. Tak blisko, jakby tuż, tuż. Wzdrygnął się. Tylko on i kocury. Co za paskudny wieczór. Ona zachichotała znowu. Uszczypnęła ją w zadek.

– Ale masz cielsko!

– Jakie? – zapytała zalotnie.

– Możliwe. – Odrzucił papierosa. – Pójdziemy. Czarny już na pewno czeka.

Ruszyli. W świetle pierwszej latarni spojrzął na nią uważnie.

– Lubisz tę robotę – powiedział.

Zakryła mu dłonią usta. Pogroziła filuternie palcem. Zaraz twarz jej ściągnął grymas niepokoju.

– Czy aby kupił te zastrzyki?

Burknął coś niezrozumiale. Nie chciało mu się w ogóle gadać. A po chwili zapytał wrednie: – Czy naprawdę nie chcesz mieć dziecka?

– To już lepiej powiesić się... – powiedziała ponuro.

– Fakt... – przytaknął – dla panny na wydaniu dziecko jak kula u nogi.

– No – powiedziała skwapliwie.

*

Czarny siedział na ławce przed budynkiem poczekalni. Dostrzegł ich już z daleka. Podbiegł uśmiechając się triumfująco. – Mam! – powiedział.

Wyciągnął z kieszeni pudełko z zastrzykami. Dziewczyna z napięciem wpatrzyła się w to pudełko. A Czarny odczekał chwilę, następnie pokazał strzykawkę.

Kazik kaszlem zamaskował śmiech.

– Miałem duże trudności – mówił Czarny. – Bardzo duże. Reglamentowany środek. Właściwie tylko na zlecenie klinik i instytutów. Dewizowa sprawa. Ale jakoś poszło. Musiałem go na koniak zaprosić...

Kazik ciągle kaszlał. Czarny spoglądał na niego podejrzliwie.

– Długo was nie było... – wlepił w Kazika wyczekujące spojrzenie.

– Spacerowaliśmy – odparł Kazik.

Ona nic nie słyszała, ciągle zafascynowana tym pudełkiem z zastrzykami w dłoni Czarnego.

Czarny niecierpliwie czekał na dalsze wyjaśnienia. Ale Kazik nie uczynił nawet najmniejszego gestu. Milczał już. Niech się Czarny męczy. Niech podejrzewa. Niech nic nie wie na pewno. Poczuł się w tej chwili jak reżyser jakiejś pełnej rozmachu improwizacji. Naciska guziki, pociąga za sznurki, kurtyna idzie w górę, skaczą kukielki, znikają, znów wyskakują.

– Więc trzeba teraz... – zastanowił się głośno – wynaleźć jakieś lokum dla niej. Tam wykonamy serię zastrzyków...

– Ile? – zapytała szeptem.

– Trzy – odpowiedział.

Dalej zastanawiał się. Oni patrzyli na niego. Rozkoszował się sytuacją. Wreszcie ruszył. Oni za nim. Puścił ich przodem. Czarny z galanterią ujmuje dziewczynę pod rękę. Coś jej tłumaczy. Czarny w przypadku tej dziewczyny z daleka trenuje. Trenuje w oczekiwaniu na Fortunę. To taka wprawka dla niego.

– Zdobywca fortuny... – powiedział półgłosem Kazik. – I napluł Czarnemu na płaszcz. Znowu zubożał. Wygaszenie i nuda. Z niechęcią popatrzył na masywny zad dziewczyny. Podrygiwał w ruchu jak galareta.

– Bierzemy taryfę – zdecydował.

Zatrzymali się przy postoju taksówek. A kiedy wsiedli do samochodu, Czarny ukradkiem przychylił się do Kazika i zaszeptał: – Miałeś coś z nią?

Kazik nie odpowiedział. Usiadł koło szofera. Oni na tylnym siedzeniu.

– Mam dobre miejsce – powiedział Kazik – taki prywatny hotelik...

Bolały go nogi, najbardziej pod kolanami. I głowa też. W ustach kwaśny, przykry smak. Nawet papieros nie smakował.

Ten „hotelik” to była po prostu melina znana Kazikowi z dawnych libacji. Właścicielka pamiętała go jeszcze i była życzliwa nad wyraz. Nie chciała nawet sprawdzać dowodów. Prowadziła słabo oświetlonym korytarzem, pełnym gratów i szeleszczących tobołów. Ściany z odrapaną farbą, jak liszaj. Stary, zatechły smród. Ale pokój okazał się czysty i przytulny.

– Po znajomości... – powiedziała właścicielka i popatrzyła domyślnie na Kazika.

Twarz miała zniszczoną, pokrytą szminką i pudrem, włosy rzadkie i rude.

– Życzę państwu dobrej nocy! – Już wychodząc, oślizgłym spojrzeniem obmacała dziewczynę.

Przy drzwiach stało żelazne łóżko, a naprzeciw szeroki tapczan, okryty kapą, z laleczką-Murzynkiem, usadowioną w rozkroku na jaskrawej poduszce.

Dziewczyna zawinęła kapę, usiadła na tapczanie.

– Miękki – stwierdziła.

– W ogóle... – dodał Kazik – miło tu i przyjemnie...

– No to... – zaczął uroczyście Czarny.

Pudełko z zastrzykami postawił ostrożnie na stole. Otworzył opakowanie. Delikatny brzęk szklanych ampułek. Dziewczyna patrzyła z przejęciem. Nieruchome niebieskie oczy. Czarny celebrował swoje czynności. Równiutko ułożył ampułki. Sprawdzał działanie strzykawki.

– Niezła... – stwierdził. – Wygotujemy... – zrobił pauzę – i pstryk!! Wprowadzi się środek do organizmu...

– Dużo tych zastrzyków? – zapytała dziewczyna.

– Cztery – odparł Czarny.

Kazik szturchnął go ostrzegawczo. Sam jej powiedział, że trzy przecież. Żeby nie zaczęła podejrzewać czegoś. Na szczęście nie zwróciła na tę różnicę uwagi. Zafascynowana ponuro strzykawką.

– Nie bój się... – pocieszał ją Kazik – to nie będzie wcale bolało...

– A potem? – zapytała.

Kazik poklepał ją po policzku, opuścił dłoń niżej, gładził po szyi. Czarny patrzył zawistnie. Więc gładził ją jak właściciel. Właśnie żeby podrażnić Czarnego.

– Potem... – podjął jej pytanie – będzie świetny specjalista... Krótki zabieg i po dramacie...

Teraz wyglądała na uspokojoną. Przez chwilę poczuł podziw dla niej za ten spokój. Niepewność, tak przecież wyolbrzymiona przez nich, ta jej żalсна łatwowierność, do tego w perspektywie jeszcze fizyczny ból, a ona jak skała. Zdewaluował zaraz to uczucie podziwu. Spokój krowy tylko...

– Trzeba będzie uregulować należność za pokój – nie przestawał gładzić jej po szyi.

Jak zwierzę potrzebujące ludzkiej opieki przyjmowała jego pieszczotę. Bez słowa otworzyła torebkę, z torebki wyjęła kosmetyczkę.

– Starczy dwieście złotych – powiedział po krótkim namyśle.

Czarny pierwszy wyciągnął rękę po pieniądze. Pozwolił mu na to. Wyszli na korytarz. Liszajowata ściana jak mapa. Wyspy, półwyspy i oceany. Z pobliskiej kuchni dochodził kobiecy śpiew.

– Rozliczymy się... – odezwał się Czarny. Wyciągnął z kieszeni pomięty zwitek banknotów. – Zastrzyki, strzykawka, minus... – Podzielił pieniądze. – Mała premia... – powiedział. – No nie! – Czujnie wpatrzył się w Kazika. – Ty już coś z nią? – zaszeptał.

– Nie bój nic... – odpowiedział Kazik wymijająco – ja myślę za dwóch...

Czarny świdrował go podejrzliwym spojrzeniem. Dręczyła go ta niepewność w sprawie dziewczyny.

– Cierpliwości.. – pocieszył Kazik – coś wymyślę, zobaczysz...

Czarny nie przestawał spoglądać na niego złym już w tej chwili wzrokiem. Bo nagle ogarnęła go gwałtowna fala niechęci do przyjaciela. Zapieklej i zadawnionej. Za wszystkie kpiny, pogardę i wredność. Tak patrzyli na siebie. Czarny pierwszy opuścił głowę. Wyglądził starannie banknoty i schował do kieszeni.

Po chwili zaczął chichotać niepowstrzymanie.

– Co ci?... – zdziwił się Kazik.

– Zawsze jak to sobie przypomnę... – wykrztusił Czarny z trudem pokonując śmiech – to po prostu nie mogę... – I wyjaśnił przyczynę swojej wesołości.

W wojnę uczył się na prywatnych kompletach. Podczas dużej pauzy hurmą wybiegali wszyscy na podwórze i ustawiali się w kolejce do wychodka. Przepychali się dla draki. Raz Czarny popchnął mocniej i z wychodkowego tłoku wyskoczyła jak z procy dziewczyna. Wpadła do odkrytego szamba.

– Jak ona w tym pływała... – mówił Czarny – ... nazywała się Kwiatkowska. Najlepiej ją pamiętam z tamtych lat.

– Niewybredna humoreska – uznał Kazik.

Poczuł ochotę na wódkę. Ruszył więc tym śmierdzącym, zawalonym gratami korytarzem w poszukiwaniu właścicielki.

*

Biały pośladek. Na nim czerwone punkciki. Z zimna może... Biel poznaczona tymi punkcikami. Włochata dłoń Czarnego wata pac... Drganie strachliwe ciała. Mięśnie sprężają się pod skórą. Chichot Czarnego. Czyżby wciąż o tej koleżance z szamba rozmyślał?... Jeszcze raz Czarny wata pac... Jego dłoń z igłą. Znowu drganie ciała. Igła wchodzi w głąb. Tłok strzykawki powoli opada.

A Kazikowi snuła się taka kabała w wyobraźni. Traktat powolny i zabawny. Rzecz o ewolucji, tak sobie to nazwał. Pociągnął łyk wódki i przymknął oczy.

...Było się kimś. A teraz torbaczem albo stekowcem. Lepiej stekowcem. Stekowiec niższy jeszcze. Ssak bardzo niskiego rzędu. Droga odwrotna. Opadanie właśnie. Inaczej niż zwykle. Od wysokich form do podstawowych. Więc tą drogą... Jak to mogło wyglądać? Przedstawić to sobie. Ranek albo wieczór. Świat taki jak zawsze. Huczą samochody, ekrany telewizorów pełne tańców, piosenkarzy, polityków... Filmy i teatry. Czyjeś zaklęcia i miłosne uniesienia. Obrazy z całego świata przed oczyma wyobraźni. Uczeni odkryli coś niezwykle doniosłego. Na przykład rakotwórcze wirusy. Układ probówek, retort i aparatów. Radość ludzkości. Rak pokonany. Artyści tworzą coraz bardziej wyrafinowane dzieła. Kolory i skojarzenia szokujące i sugestywne. Unoszą się wielkie odrzutowe potwory. Bucha ogień z rur. Napęd atomowy powszedni jak drzewo w kominku. Ludzie spacerują w zaciszu parków. Policja strzeże gmachów państwowych. W małych mieszkaniach wypełniających wieżowce-ule zapalają się światła. I właśnie w jednym z takich mieszkań narodziny stekowca. Musi być początkowo obumieranie. Uczuć, myśli, słyhać to wyraźnie, odpływ, wysychanie, jakby tam w środku kończyło się to podstawowe źródło ludzkich niepokojów, możliwości, marzeń... Być może ten odpływ zaczął się już znacznie wcześniej... Ale dziś właśnie... dziś właśnie narodziny ostateczne. Koniec czegoś i zarazem początek czegoś. Wyjścia na świat właśnie. I tak jak żużel czy stara skóra giną gdzieś, odpadają niezwykle ważne dotąd, fundamentalne sprawy. Więc misterium narodzin odbywa się dziś. Przedtem coś toczyło to wewnątrz niezauważalnie, tak skradało się po złodziejsku, jak mozolne uderzenia kropel wody w pozornie litą skałę... Przegląda się w lustrze. Akt odsłonięcia, można powiedzieć, pierwsze spojrzenie. Niby tak samo. Ale i w twarzy coś. Ruchliwość jej wyrazu, zmarszczki i grymasy, ból, rozpacz, radość, nadzieja – ustępuje to wszystko. Rogowaczna jakaś zasłania czy wypełnia dotychczasowe wyzłobienia, zaciera i zniekształca. I choć jest to jedna z milionów twarzy, już nie ta sama.

Zwierzęcość w niej jakaś, nie, potworowatość raczej. Bo proces odwrotny, proces cofania się, pociąga za sobą wynaturzenie właśnie, bo nie jest to cofanie się w ład elementarny, ale zniekształcanie, zwyrodnienie... I wtedy ogarnia poczucie osamotnienia, niebolesne jednak, ale spokojne, nieodwołalne stwierdzenie po prostu. Oto istota powtórnych narodzin. I uformowany już ostatecznie stekowiec rusza w wąwozy ulic, strumienie światła, jazgot samochodów, ludzki kłęb wypełniający bramy, placówki, zaułki... Już obcy. Obojętny. Stracił więź. Nie czuje też żadnego pokrewieństwa. A jeśli już, to minimalne. Płazy, gady, ludzkie istoty, wszystko mu jedno. Tylko snuje się wśród nich. Zna ich mowę, słabości, porywy... Ale nic więcej. Tak ocierając się o nich, zderzając się z nimi, oczyma utrwała swą odrębność...

I rusza stekowiec na żer. Świat zmienił się w pradawny matecznik puszczy, grzęzawisk, rozpadlin i strumieni. Słońce lub księżyc oświetla tę krainę łowów. Ścieżki są wąskie, zdradliwe, dostępne tylko dla obeznanego ze zwyczajami tej głuszy drapieżnika. Więc tą ścieżką w parnym, kłębiastym gąszczu sunie stekowiec-drapieżnik. Czy głód nim powoduje, czy żądza krwi? A może nienawiść do innych żyjących? Albo jakieś tęsknoty i zazdrości? Wspomnienie dawnego życia. Ładu i wspólnoty. Może nie wszystko obumarło? Może zawiść, nuda, żal? Mniejsza o to... Skrada się, pełźnie wśród traw lub sprężystymi skokami po gałęziach... A ta dzika okolica może też być ziemią taką jak dotąd, pełną osiedli, fabryk, szkół, teatrów i parków. Wśród gęstwy ludzi właśnie. To nie ma znaczenia. Tak samo skrada się niezauważalnie. Wypatruje, węszy, znowu sunie... Nad jeziorkiem małym, śródleśnym, basen to również być może wśród gmachów nowego osiedla – ktoś siedzi pogrążony w zadumaniu. Może być słońce, księżyc, gwiazdy, wszystko jedno. Ta twarz siedzącego czy siedzącej łagodna, szczęśliwa. Jakaś błoga harmonia w wyrazie, właśnie ład, harmonia... I wtedy stekowiec jednym skokiem! A uzbrojony jest w kły albo pazury, a może jedno i drugie. Więc chwycił ofiarę. I już we wściekłości naglej szarpie, gryzie, rozdziera w strzępy. Ból, krew... A wreszcie jeden mocny cios. Ofiara zanurza się w trzęsawisko pokryte cienką warstewką ni to mchu, ni to ziemi, rozsuwa się ta zdradziecka zasłona, bąbelki powietrza, ciamkający dźwięk bagiennej głębi, nie ma już nic... Wstaje świt albo zapada noc. Znużony łowca i samotnik podąża do swego legowiska... Błąkając się po tym obcym, dalekim świecie dotarł stekowiec do miejsca, gdzie w centrum jakiejś wielkiej zabudowy na placyku porośniętym trawą, w słońcu, a też w scenerii festynu czy wesołego miasteczka, koczowali młodzi, młodzi właśnie, już nie dzieci, a jeszcze nie dorośli, z puchowym, pierwszym zarostem na policzkach, o czystych, jasnych twarzach, chłopcy i dziewczęta. A też starannie jakoś dobrani, bo uderzali harmonią ciał, szlachetnością rysów i świetlistością spojrzeń. Bawili się na tym placyku bez troski, obejmowali, całowali, śpiewali i tańczyli. Ruchy mieli lekkie i zwinne, głosy dźwięczne, melodyjne, miłe dla ucha. Otaczał ich tłum gapiów. Wśród nich znalazł się więc stekowiec. I wtedy złość w nim zawrzała. Złość i wrogość. Potrzeba sparszywienia tej młodości czystej. Już widział tę młodość pokrytą liszajem najszpetniejszym. A zbliżał się do nich powoli jak śmierć. Oni zaś, jak ptaki radośni i swobodni, nie przeczuwali zarazy. Tak zbliżał się więc stekowiec, a uroda tego miejsca powoli zanikała. Brudne, ołowiane chmury przesłoniły słońce, trawa pokryła się czarnym, tłustym pyłem, zrudziała i rzadka. A ludzie otaczający młodych zmienili się w robaczywe rojowisko kalek i potworów, zaś starość i gnilny proces rozkładu począł też pożerać twarze młodych, odbierał oczom blask, ruchom sprężystość, zniekształcał ciała, złościł twarze szpetnymi grymasami. Cieszył się stekowiec. Była to chwila pełna uroku i ożywienia...

... A co będzie z rozmnażaniem? Rozmnażanie to istotna rzecz. Ale stekowiec tak już przecież obumarł, nawet w żądzy czy potrzebie przedłużania gatunku... Nie dręczy go to, ani nie rozgrzewa i nie boli... Albo nie może znaleźć drugiego stekowca płci odmiennej... Czy to znaczy, że stekowiec jedyny w ludzkim społeczeństwie? Co będzie w przyszłości? Coraz więcej stekowców. Ta zdegenerowana ameba to przyszłość gatunku właśnie. Ale o łączeniu miłosnym nie będzie żadnej mowy. Partner nie znajdzie partnerki. Tylko obumarłe, głuche

mijanie się. Krażenie bezcelowe... I chęci też żadnej na zbliżenie. Puste spojrzenia. I czas zbliżający się do końca. Bo koniec przewidziany. Obumieranie roślinności. Według praw natury tym razem. Potem proch tylko. Proch po stekowcach. Rozpraszany przez wiatr. I z tego prochu nic już nie będzie. Żadnego następstwa. Bezżyteczność pyłu. Pyłu rzuconego wiatrem... Krażyć będzie stekowiec wśród wydm, pogorzeliisk, zwałonych drzew, zwietrzałych skał i ruin. Szukać będzie miejsca. Chce się ułożyć już. Na ostatni odpoczynek. Rozgrzebuje piach, ciepła szorstkość drobin, osypywanie się żwiru lub błotnista, czarna ziemia rojąca się od żarłocznych robaków. Mozolnie grzebie swoją jamę. Rozgląda się i porównuje. W głuchej ciszy tego zakończenia widać inne sylwetki, też pochylone pracowicie, też grzebią nieporadnie. Powoli wsuwając się do swojej jamy, jeszcze widoczny do połowy, już tylko głowa, nic więcej nie widać, stekowiec układa się znużony i nie ma w nim rozpaczy ani tęsknoty. Tylko zwierzęce, bezgraniczne znużenie. Czarna, kleista magma pamięci, nic się nie przypomina, żadnych kształtów, obrazów, żadnego głosu, nic... A głos przyszłości?

Ocknął się ze swojej bajkowej drzemki Kazik. Przeciągnął się i zapalił papierosa. Pamiętał wciąż ostatnie, retoryczne pytanie: – A głos przyszłości?...

Mały krąg światła z nocnej lampki. Zasunięte story w oknie. Biała plama ciała. Pośladek. Czerwone punkciki. Kropelki krwi. Wata. Też z kropelkami krwi...

*

Już było po zastrzykach. Po tej soli fizjologicznej. Wymęczyło to dziewczynę. Czarny niby taki macher medyczny, a kłuł niezbyt umiejętnie. Wyskakiwała mu igła, ponawiał... Więc dziewczyna stękała i pojękiwała.

– Jezu... – powtarzała.

Głos miała cienki, drżący. Teraz była zmęczona. Leżała na brzuchu. Pokorne psie oczy. Już zupełnie w ich mocy. Wodziła za nimi tym psim wzrokiem. Oni siedzieli przy stole. Już głęboka noc. Czarny poziewał. Kazikowi szumiała w głowie wódka, wraz z wódką ta bajka o stekowcach jeszcze... Bębnił palcami w blat stołu. Dzwoniła nuda. Napotkał wzrok dziewczyny.

– No i jak? – zapytał. – Bardzo bolało?

Zaprzeczyła.

– Ale taki złapał mnie strach – szcęknęła zębami. Wlepiała w niego niespokojne oczy.

– Sztejnny... moja droga... – zaczął Czarny – te zastrzyki, które ci zaaplikowaliśmy, są najnowocześniejszym środkiem, a wynalezione zostały w szpitalu onkologicznym w USA, stan Montana, przez doktora Bramsona, laureata Nobla, za ten środek właśnie, wyobraź sobie, za to, co dostałaś przed chwilą, wiesz, ile lat nad tym pracował, dziesięć lat, a składa się ten antybiotyk... – zastanowił się chwilę – z hydrocortizonum, hydantoinum i mentolum aeucaliptusum, to rewelacyjny środek, Nobel, pomyśl, największa nagroda w świecie, tyle tysięcy dolarów za te ampuleczki właśnie...

Przewróciła się na wznak. Oddychała ciężko. Pewnie i tą mową skołowana jeszcze bardziej. Piersi falowały pod koszulą. Dwa cielaki, białe i duże, pchały się do przodu. Wtedy Kazikowi przyszła do głowy pewna myśl.

Podszedł do tapczanu i pochylił się nad dziewczyną. Przygotowywał następny akt inscenizacji. Stanowczym ruchem ściągnął koldrę i dłonią dotknął jej brzucha. Wstydliwie osłoniła miejsce niżej. Czarny aż uniósł się na krześle. Płynna mowa urwała mu się nagle, zatkał się tym widokiem.

– Należy zbadać stan mięśni... – powiedział Kazik – bo właśnie idzie o rozluźnienie... – Przesuwał dłonią po jej brzuchu.

– Taki wstydn... – wymamrotała.

– Żaden wstyd... – odparł – tylko masaż...

Czarny wiercił się niespokojnie. Obmacywał wzrokiem brzuch dziewczyny.

Kazik zmęczył się wkrótce tym masowaniem.

– Starczy.

Jej oczy ciągle nieruchomo wlepione w niego. Chwila litości w nim. Zagasła zaraz. Była tylko obiektem dla niego i niczym więcej. Usiadł z powrotem przy stole. Zamyślił się.

– Niebawem wybierzemy się do specjalisty – rzekł – ciach, ciach, wyczyści ci wszystko...

A ona przysnęła nagle. Rozrzucone na poduszce ręce, otwarte usta. Posapywała lekko.

– Kłoda... albo zwierzę... – uznał.

– Sama biologia tylko – przytaknął skwapliwie Czarny.

Z otwartego okna buchnęła młodzieżowa muzyka. Wycie, zawodzenie. Kazik drgnął, uderzony tym hałasem. Podszedł do okna. W studziennym podwórzu ta muzyka rozchodziła się jak grzmot. Bombardowała spokój nocy. Kiedy tak słuchał pełen niechęci, w tym podwórzu-studni narodził się równocześnie inny głos.

– „Tango nocturno... w taką noc złą i chmurną... – niosło się z płyty nastawionej na cały regulator – a za oknami gra wiatr...”

Śpiew ten rozniósł się jeszcze potężniej. Zagłuszył prawie zupełnie muzykę młodych.

– Nie lubię sentymentalnych szlagierów – posłyszał słowa Czarnego.

– A ja lubię... – Też nie lubił. Ale wołał to od wrzasku młodych. Bo zaraz zobaczył tę lawinę młodości, tę falangę gnojków, niepokonaną i obcą. – Oni dopiero zrobią porządek – powiedział nagle.

Sam się zdziwił. Dlaczego to powiedział? Wychylił się z okna i wpatrzył w niebo. Śpiewak skończył swoje słodkie trele. Big-beatu też już nie słyhać. Równowaga. Noc była pogodna i pełna gwiazd. Ogarnęła go tęsknota do tych dalekich gwiazd. Gwiazd-światów. Innych. Nieporównywalnych do niczego. Przypominał gwiazdne konstelacje. Orion. Wielki Wóz. Plejady... Czarny stanął obok Kazika i też patrzył. Milczeli. A w górze ten daleki, nieosiągalny świat gwiazd. Obudziła się w Kaziku rozpacz. Otworzyła swoje zimne łapy i dusić go zaczęła. Było to jakby wyobrażenie przyszłości. Z całej siły ścisnął ramię Czarnego. Czarny osłonił twarz jak przed biciem. Kazik opanował się zaraz. Zduślił lęk i rozpacz.

– Nic... – wyjaśnił – za dużo wypilem...

Czarny przyglądał mu się trwożliwie.

– Szajba mi odbiła – dodał.

Wrócił do stołu. Ona spała twardo. Nie obudziła jej muzyka, wrzask, śpiew, nic. Rozczochrane, połamane karbówkami włosy. Rybio otwarte usta i pełne, grube ramiona obejmujące poduszkę. Popatrzył na nią wrogo.

– Zbiera siły... – powiedział i znowu był tym starym, złym jastrzębiem goniącym resztkami.

– Pyknął bym sobie... – Czarny uśmiechnął się wstydliwie. Pożądliwym wzrokiem ogarnął tę dziewczynę z daleka.

– To sobie pykaj – odpowiedział Kazik – pójdę połazić trochę.

Zapragnął nagle chłodnego, rzeńskiego powietrza nocy.

*

Kiedy wrócił, już szarzało. Dziewczyna nie spała. Patrzyła na niego jakby zawstydzona. A Czarny siedział rozwalony na łóżku i uśmiechał się szeroko, pokazując białe, zdrowe uzębienie. Więc chyba poszło mu wszystko według pragnienia.

– Byłem u specjalistki... – powiedział Kazik.

– Specjalistki? – powtórzył Czarny.

– Tak. Dużo lepsza od tego ginekologa, którego początkowo miałem na myśli. Pewniejsza...

– Byłeś? – dziewczyna zdziwiła się. Jej oczy pełne niedowierzania.
Kazik kiwnął niedbale głową. Nie chciało mu się gadać dalej.
– Ona jest bardzo zaprzyjaźniona z kolegą – wtrącił spiesźnie Czarny – studiowali razem... Chyba podkochiwała się w nim skrycie... – Czarny był tylko w podkoszulce i spodnie miał nie dopięte. – Ta specjalistka... – ciągnął – dużo lepsza właściwie... Z większą praktyką. Bardziej doświadczona...
– Lepsza – powtórzyła dziewczyna.
– Bezwarunkowo – potwierdził Czarny. Zapiął spodnie, mrugnął do Kazika i słowa popłynęły mu już potokiem. – Skuteczność gwarantowana. Bóle szybciej przechodzą. To pewna ręka. Mocna, a delikatna zarazem. Silna jak u mężczyzny, a przecież kobieca jednak. Stosuje pewien niezawodny środek...
– Jaki? – wyszeptała dziewczyna.
– Roztwór alkaliczny z bromianem sodu i manganem... – Zaspokojone pragnienie wyraźnie podziało mu na formę. Złotousty teraz.
– Dużo lepsza... – ziewnął Kazik. – A też tańsza. – Zastanowił się. – Aha... Daj pieniądze, bo ja jej będę płacił...
– Z góry ona chce? – zdziwiła się dziewczyna.
Kazik wyciągnął rękę. Na pytanie nie odpowiedział. Czarny chrząknął zakłopotany. Obawiał się, że dziewczyna straci zaufanie. Ale Kazikowi było wszystko jedno. Zmęczony łązęgą po mieście. I senny. Ona wahała się tylko niedługą chwilę. Spod poduszki wyciągnęła torebkę, z niej kosmetyczkę. Spojrzała pytająco na Kazika.
– Tysiąc – powiedział. – Sama widzisz, pięćset oszczędzamy, bo ten ginekolog bierze tysiąc pięćset...
Odliczała banknoty, starannie śliniła palec, badała, czy papierki nie zlepiły się czasem.
Kazik wetknął pieniądze do kieszeni.
– Prześpię się trochę – zdecydował – a potem finita la comedia.
– Co? – nie zrozumiała.
– Koniec zabawy – wyjaśnił.
Zrzucił buty, ściągnął marynarkę, rozpiął spodnie. Nie krępował się jej wcale. Dla niego już jej nie było tutaj. Tylko w kalesonach i koszuli stał przez chwilę na środku pokoju. Skarpetki miał dziurawe, widział swoje wylazące palce. Czarny przyglądał mu się z niepokojem. Dziewczyna przymknęła oczy. A Kazik mały żart wyszykował dla Czarnego. Pochylił się nad tapczanem. Trącił ją w ramię.
– Posuń się – mruknął.
Przesunęła się do ściany. Włazł pod kołdrę. Rozgrzana pościel, jej ciało obok. Obojętność w nim zupełna. Nic już nie chciał od niej. Tylko chichotał sobie z tego żartu. Zaniepokojone ślepia Czarnego. Właśnie te ślepia. To go rozbawiło najbardziej.

*

Oczekiwali na nią w garmazeryjnym sklepie. Panował tutaj półmrok i na suficie mrugała popsuta jarzeniówka. Dwóch w kombinezonach posilało się tatarem. Starszy facet chciwie ciągnął piwo. Sprzedawczyni ważyła pasztet.

Kazik rozejrzał się uważnie. Nikt na nich nie patrzył. Zręcznym ruchem wystawił z kieszeni szyjkę butelki, nalał do szklanek. Czarny skrzywił się z niesmakiem.

– Nie lubię tak bez przerwy żłopać.

– Pij, pij... – burknął Kazik. Sam też nie bardzo miał chęć, ale wódka jednak ożywiała. Co prawda, na krótko, ale i tak... – Trzeba zawsze być pijanym, winem, poezją, czym chcesz – zacytował uroczyście.

– Poezji ci się zachciewa... – Czarny zatkał nos i pociągnął łyk wódki.

Sprzedawczyni przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Takie, szanowna pani, są teraz lekarstwa... – skłonił się w jej stronę Czarny – śmierdzące...

– Znam ja was, pijaków – warknęła kobieta za kontuarem.

– Taka skrobanka... – zafrasowanie poznało twarz Czarnego – to jednak ryzyko... Zawsze coś nieprzewidzianego może wyniknąć...

– Gdzie tam... – zbagatelizował Kazik – po prostu zabieg, kosmetyczny zabieg i nic więcej... I będzie mogła zaczynać abarotno... – roześmiał się nieprzyjemnie.

Z okna widać było bramę, do której przed godziną wprowadzili dziewczynę. Przemknął psiak z podwiniętym ogonem. Goniły się dzieci. Dom szerniał i ospowaty, ze ślepyimi oknami ostatniego piętra. Energiczny stukot butów. Przechodził milicjant. Czarny odprowadził go nieufnym spojrzeniem.

– Ile by nam dali za to? – zwrócił się naraz do Kazika.

– Za co?

– No za ten numer z dziewczyną...

– Nic. Nie ma żadnych dowodów... A z dowodem... – Kazik zastanowił się – to chyba oszustwo, wyłudzenie, drobna sprawa, nie za dużo...

– Chciałbym – powiedział Czarny – rozpoznawać od razu wszystkich tajniaków... bez tego to każdy mi podejrzanie wygląda... Nie mam orientacji...

– A ty innym tak samo... – roześmiał się Kazik. – Każdy śmierdzi każdemu...

Czarny zapatrzył się w tę bramę naprzeciw.

– Ponura rudera.

– Dom jak dom – odpowiedział Kazik. Kroił białą kielbasę, tryskał z niej sos, smarował musztardą. I przez chwilę ogarnęła go tęsknota za dzieckiem.

...Własny dzieciak. Ta sama krew... To jakby podana w sztafecie pałeczka... Ale jaka to pałeczka! Ogarnęło go zniechęcenie. Co mu można podać? Wyobraził sobie, jak rodzi się potwór, nóżki jak patyczki i wielka głowa kretyna.

– Za dużo ryzyka – powiedział półgłosem.

– Co? – zapytał Czarny.

Wzruszył ramionami. Ta tęsknota już w nim umarła.

– My tu sobie kiełbasę, a jej tam w środku. kleszczami...

– Jakby wrywali trzewia – dodał Czarny.

– Wytrzyma – rzekł Kazik. – Ona jest jak skała.

– Dobra z niej dziewczucha... – uznał Czarny. – Głupia i z forszą... Już prawie dwa dni żyjemy na jej rachunek...

– Ja ją rozpracowałem – powiedział Kazik.

Czarny milczał. Z nagłym zainteresowaniem wpatrzył się w okno.

– Nie przejmuj się – rzekł Kazik łaskawie – jak w przyszłości zdarzy się podobna zabawa, to rób zawsze tak, jak ja ci powiem, idę w lewo, idź w lewo, zacznę gadkę, kończ, mrugnę...

Nie dokończył, twarz Czarnego szerniała bowiem wściekle i mięśnie na szczękach zagrały mu gwałtownie. Szczerze mówiąc bał się trochę tych wybuchów złości, które czasem napadały Czarnego. Dlatego w milczeniu podsunął mu szklanę z wódką. Nie chciał przeciągać struny. Spojrzał na zegarek.

– Już czas.

*

Prowadzili ją ostrożnie po schodach. Twarz miała bladą i spoconą. Postękiwała. Stapała niepewnie, chybotliwie.

– Bolało? – zapytał Czarny.

Przytaknęła. Drzwi na parterze uchyliły się i wyjrzała stamtąd kobieta. Przypatrywała się im z nieskrywaną ciekawością. Kazik pokazał jej język. Speszona zatrzasnęła drzwi. Wyszli

na ulicę. Akurat zauważyli wolną taksówkę. Usadowili dziewczynę w pozycji półleżącej na tylnym siedzeniu. Wydała cienki jęk przypominający kwilenie.

– Coś ci się stało? – zaniepokoił się Czarny.

– Boli... – wystękała.

Już mieli ruszać, kiedy do samochodu podbiegł Murzyn.

– Wolny? – zapytał śmieszna, jakby dziecinną polszczyzną.

Szofer skrzywił się z obrzydzeniem. Odjechali.

– Żadnego czarnego za Boga nie wezmę – oświadczył szofer.

– Dlaczego? – zainteresował się Kazik.

– Miałem z nimi przykre zdarzenie. Wiozę właśnie dwóch takich, płacą, na liczniku wybiło 17, dają 20 w papierku, myślę, dewizowi, więc nie wydaję im reszty, a oni coś szwargoczą, nic nie rozumiem, nie chcą wysiadać, no i dacie panowie wiarę, zawołali milicjanta, o resztę z dwudziestu im się rozchodziło... Więc jak teraz wsiada taki, od razu licznik łamię, mówię: zajęty jestem, a jak nie zrozumie grzecznie, to powiadam: a spierdalaj, ty ludojadzie!!

Roześmieli się. Dziewczyna oczy miała zamknięte. Teraz właśnie z głębi jej dużego ciała wydobyło się bolesne stęknienie.

– Ludojadzie... – powtórzył Kazik.

*

Czarny ścielił tapczan. Ona siedziała na krześle. Wyglądała jak popsuty manekin. Pomogli jej zdjąć ubranie. Czarny sprawnie uwijał się koło spódniczki i pończoch. Spódniczkę powiesił na oparciu krzesła, pończochy rozwiesił na parapecie. Przy tych czynnościach jak szczur jakiś wyglądał. Ruchliwy, zwinny i drapieżny. Położyli ją na tapczanie. Chwilę leżała z otwartymi oczyma. Wodziła za nimi tym cholernym psim wzrokiem. Kazik otworzył puszkę pomarańczowego soku. Postawił przy tapczanie. Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Zgasił światło. Siedzieli w ciemności. Zaczął padać deszcz. Równe uderzenia kropel w szyby. A wkrótce jej równy, głęboki oddech. Usnęła.

– Przetrzył wszystko – mruknął Kazik. Głowę podparł łokciami. Wsłuchiwał się w siebie. Ożywił się nagle. – Myślisz, że nie zadawałem sobie nieraz pytania, dlaczego... Jasne, zadawałem... Dlaczego tak utknąłeś w miejscu? Dlaczego tak rzygasz na wszystko? Dlaczego tak w środku życia? Nie sposób na to odpowiedzieć... Chaos tak wielki w tym, sprzeczności tak splecione... Bo musisz wiedzieć: nic nigdy nie ginie... Sprawy drobne, kiedyś niewidziane, kiełkowały sobie po cichu, tak właśnie. Remanenty przeróżne... Rozrosło się to wszystko, pogmatwało i wypełniło całe bebechy, czuję to, kapujesz.. Tak jakby jakaś rakowatość kurewska, narośl od środka, kapujesz... Patrzę wstecz, przypominam... Żyło się, sukcesy, klęski, doświadczenia rozmaite, a potem jakiś osad pozostał, jak kamień w czajniku, zarósł cały czajnik, choćbyś walił młotem, osadu tego nie rozbijesz...

Wyskrobana dziewczyna spała twardo. Czarny tylko udawał, że słucha. Wreszcie ziewać zaczął głośno, ostentacyjnie. Ale Kazikowi na słuchaczu nie zależało. Ot, tak sobie chciał językiem pobrechać. Żółć z niego płynęła jak potok, nieskładna, chaotyczna, z głębi. Taki monolog donikąd w ciemności.

– No, rozumiesz, mógłbym tak jak inni ekspansywnie, dynamicznie, ale nie chce mi się, nie mogę, tym nawet już się znudziłem... – zatoczył ręką po pokoju.

Dziewczyna poruszyła się na tapczanie. Stęknęła głośno.

– Pst... – zaniepokoił się Czarny.

Ale nie obudziła się.

– Mógłbyś jednak zaprzestać... – powiedział z ironią Czarny – to znaczy tych zwierzeń, już lepiej coś do śmiechu, ja, pamiętam, kiedyś jako inżynier występowałem, jednemu ciemnia-

kowi niby kosztorys i plan budowy miałem sporządzić, poważna dyskusja, suwak logarytmiczny w kieszonce... – wybuchnął śmiechem.

– Trzeba podzielić się zarobkiem – odezwał się Kazik.

Zapalił światło. Zamrugali powiekami. Czarny uśmiechał się głupawo. Kazik wyciągnął pieniądze. Pieniądze zaoszczędzone na skrobance. Dziewczynie przecież powiedział więcej, specjalistka wzięła mniej. Różnica właśnie dla nich.

Co do grosza podzielił się z Czarnym.

– Świetnie to wymyśliłeś – powiedział Czarny.

– Nieźle – ucieszył się uznaniem kolegi.

Popatrzył na dziewczynę. Było jej chyba gorąco. Przewracała się na pościeli. A może z bólu tak? Kołdra zsunęła się. Białe, grube udo. Noga odwalona niedbale. Druga też. Skrzyżowała je teraz. Czarnemu zaświeciły się ślepia.

– Znowu ci się zachciewa? – zakpił.

Czarny zawstydzził się i opuścił głowę. Kazik wstał i przeciągnął się.

– Więc jesteśmy w porządku. – Podszedł do tapczanu. Pochylił się nad dziewczyną. Utrwalał w pamięci jej obraz. Perkaty nos, wargi w ryjek złożone, bulgot z głębi, ślina bąbelkiem w kąciку ust, włosy skłębione jak mierzwa. I stopy, grube i płaskie, wyłażą spod kołdry. Wszystko trzeba zapamiętać. Dziwną miał twarz w tym patrzeniu, bo jakby wyjedzoną i pustą, równocześnie jednak przez policzki przechodził grymas jak prąd. A wargi były okrutne, pełne, pomarszczone i ciasno pozlepiane. – Jesteśmy w porządku... – powtórzył.

Czarny przytaknął skwapliwie, ale za chwilę jego czoło pomarszczyło się w wiele bruzd. Też podszedł do tapczanu.

– A może coś się jej stanie, jakiś krwotok, rozumiesz? – Był wyraźnie zaniepokojony.

Kazik wzruszył ramionami. Był już przy drzwiach. Cicho nacisnął klamkę. Czarny ruszył za nim.

Po omacku posuwali się tym śmierdzącym, zawalonym gratami korytarzem. Wyszli na podwórze. Ogarnęło ich chłodne powietrze nocy. Kazik odetchnął łąpczywie. Mokro, rzeško. W rogu widniała oświetlona czerwonym światelkiem biała figura Matki Boskiej.

– Gdzie teraz pójdziemy? – zapytał Czarny.

– Ja... – zastanowił się Kazik – chyba do encyklopedii wrócę.

... Już widział tę swoją starą księgę. Szelest żółtych kartek. Zapach zbutwiałego papieru. Ryciny. Na nic nieprzydatna, dawno zapomniana wiedza. Poczul nagle smak tego leniwego przeglądania starej księgi w brązowej cielejącej skórze... Mijał świętą figurkę. Dotknął jej łuszczącej się, mokrej powierzchni. Pokiwał głową i znowu odetchnął łąpczywie. Tak jakby oczyszczał się tym chłodnym mokrym powietrzem nocy.

– Parę złotych się ma... – rozważał głośno Czarny – może z tym Dudzikiem załatwię sublokatorkę...

Stanął w bramie. Czarny wybuchnął śmiechem.

– Ale z nas są pracusie! Porządni pracusie!

– Pracusie... – powtórzył Kazik. – No tak, możliwi... – Skurczył się przeniknięty chłodem. – Żeby nie ja... to gównno miałbyś z tego...

Patrzył. Na światła w oknach domów. Na sylwetki przechodniów w oddali. Na żółte refleksy z latarni utopione w kałuży. Słuchał klaksonów samochodowych. Stukotu butów. Czyjegoś śmiechu. Dalekich głosów... Szare wszystko, wstrętne i obłąające jakoś... Czarny obok. Chichotał wciąż. Wszystko było jak ścierwo. Splugawione. I sam poczul się jak ścierwo. Ale nie ból czy rozpacz w nim, świadomość tylko.

Podniósł kołnierz. Ruszył szybko. Czarny za nim. Zniknęli jak zjawy w mglistej, deszczowej ciemności ulicy.

Jan Łuczywek

PRZEBUDZENIE

Samo przebudzenie już było podłe. Skrzypienie i charkot w łazience, pisk jakiś w rurach. Taka nieustająca wibracja nie wiadomo skąd. Było jeszcze szaro. I tak leżał Jan Łuczywek z otwartymi oczyma. Żona pochrapywała, twarz wsunęła pod poduszkę, a palce zacisnęła na jego ramieniu. Uwolnił się z tego uścisku. Odsunął się od niej. To rozmamłanie: rozrzucone nogi, włosy w nieładzie i usta rybio rozchylone, cała ta nocna swoboda jej ciała; też drażniła go jakoś. Twardy miała sen. Stwierdził to z zawiścią. Od dawna już źle sypiał. Najgorsze to wczesne przebudzenie. Czy coś go gnębiło? Właściwie tylko uczucie rozmazanej nijakości w nim. Jak ten brudny jesienny świt. Nie mówił o tym z nikim. Ale czuł uciekający czas. I nic, ta nicość właśnie dokuczała natrętnie. Przypomniała mu się wojna. Młody był wtedy i na wszystko gotowy. Co prawda mało przeżył. Ale jednak... Ćwiczenia z bronią w starej cegielni. Przenoszą radiostację z punktu do punktu. Rewizja, a tu bibuła ukryta za podszewką marynarki... To było coś. Nawet ten czas powojenny, kiedy siedział dwa lata. Ciągle jeszcze w nim energia, ciągle jeszcze na coś oczekiwał.

– Spsiałem – powiedział szeptem.

I dla uspokojenia przepytał się z części parabellum. Nie zawiódł się wcale. Dotąd pamiętał do najmniejszego głupstwa. Już lśnił w dłoni czarny, oksydowany pistolet... Ten za ścianą nastawił na cały regulator adapter z płytą Grzesiuka: „Harmonia z cicha na trzy czwarte rżnie.” Kto to może być? Goli się, myje, zjada śniadanie i ciurkiem ten Grzesiuk. Lokator za ścianą. Przedtem mieszkał tam zwariowany starzec. Samotny, emeryt. Tamten ciągle pukał i dopytywał się z przestrachem:

– Byli już u państwa? – Wysuwał siwy łeb i myszkował spojrzeniem za jego plecami.

– Kto?

– Oni – odpowiadał starzec.

Umarł sobie cichutko. Dopiero po tygodniu odkryto. Siwe włosy, posiekana zmarszczkami twarz. Podobno zasłużony jakiś działacz, bojownik, ktoś w tym sensie. Odwrócił się do ściany i przymknął oczy. Wtedy przyszła proza życia. Ile dadzą premii? Premia już wliczona w domowy budżet. A jeżeli nie dadzą? Następnie zazdrość wobec tych, co wyjeżdżają za granicę. Zawsze coś sobie przywiozą. Pracuje w handlu zagranicznym, ale nie wyjeżdża nigdzie. Księgowość, najmniej atrakcyjny dział w ich centrali. Otworzył oczy. Pożółkła ściana i rozłazące się rysami pęknięcia na niej. Nie wyjeżdża, bo sprawa języków obcych. Nie zna. Choć wyjeżdżają tacy, co nie znają. Poczul niechęć do siebie. Znowu przymknął oczy.

*

Śniadanie jadł w pośpiechu. Już późno. Myślał, myślał, a te myśli jak mętna woda bez prądu, aż przysnęła naraz. Więc zaspał. Trochę zdziwiony. Żona zwykle czuwała nad jego wstawaniem. Tym razem nie. Popił łyk kawy. Wypluł zaraz.

– Świństwo cholerne... – powiedział ze wstrętem. Nie znosił kożuchów i żona dbała o to, żeby nie było ich w jego kawie. Tym razem też nie. Nawet nie odpowiedziała. Pochylona nad gazową kuchenką, wzdychała ciężko.

– Co się stało? – zapytał machinalnie.

Podeszła do stołu. Przyciskała szary brulion do piersi. Dziwnym takim, kurczowym ruchem. Potargana, szlafrok ohydny i lzy jej ciekną z oczu Jak ona wygląda? Co się stało? Przerzuciła kilka kartek szarego brulionu. Zaczęła czytać płaczącym głosem: – „Z zainteresowaniem śledzę sprawę tych zawodników z W. Oni trzymają się twardo. Najbardziej ten Bejer, pierwszy oskarżony. Czuje się w nim wodza. Co do tego nie mam wątpliwości. Wszyscy słuchają go i są solidarni. Choć on przecież bezsilny. Ale ciągle ma na nich wpływ. Nie boi się ten Bejer wcale. I niczego nie żałuje. W tym jest racja, bo jeżeli coś się zrobiło, to znaczy, jak się już poszło całością, to nie wolno potem cofać się, płaszczyć czy mazgać. Taka słabość rozkłada zupełnie. Dziewczyny też tak zeznają, żeby go nie obciążać. Robiła ta paka z W. numery dość głupie. Uważam zresztą, że wszystkie sprawy z dziewczynami są głupie, niewarte zachodu i wysiłku. Więc oni nie mieli jednak szerszej perspektywy. Żyłka i kolejka. Tylko w kolejce bawili się z dziewczynami, Bejer zawsze pierwszy. W sumie dość to ohydne. Wiem o tym od Anki, jej ojciec jest obrońcą któregoś z nich. Więc w tych zabawach rozmieniali się na drobne. Ale mimo to Bejer jest silny. Postawił na jedną kartę. I teraz wcale się nie rozkleił. To mi się podoba. Nic się nie rozkleił. A mogą mu przecież przypakować bardzo duży wyrok. Tak się szykują. W związku z tą aferą coraz częściej myślę o sobie, o swoim życiu. Najwyższy czas zaryzykować. Skończyć z tą jałową bezwolnością. Czekaniem nic się nie osiągnie. Nic nie przyjdzie samo przecież. Podjąć decyzję i skończyć z wątpliwościami. Wątpliwości paraliżują wszystko. Ci z paczki Stasia Kaskadera prują kioski, też w tym dużo ryzyka...”

Jan Łuczywek słuchał zupełnie ogłupiały. A głos żony coraz bardziej drżał, wibrował, rozryczała się już zupełnie. Jeszcze nic nie rozumiał.

Wtedy powiedziała: – Znalazłam to u niego na półce.

Złapał się za głowę. Kilka razy przebiegł po przekątnej kuchni. Powtarzał jak automat: – Prują kioski. Podjąć decyzję... – Wybiegł z kuchni. Chłopak jeszcze spał. Dziś idzie do szkoły na drugą lekcję. Dziecinna, łagodna we śnie twarz. Tylko te długie kudły. Wszyscy oni teraz mają długie kudły. Taka moda. Zaczął potrząsać nim gwałtownie. Szarpnął za te kudły właśnie.

– No! – zaryczał. – Co zaryzykować, powiedz, gieroju, kiosk rozpruć, zgwałcić w dziesięciu jakąś dziewczuchę, powiedz!

Za mężem przybiegła też żona. Wymachiwała tym szarym brulionem. Histeryczna twarz.

– Tego się doczekałam... – zawodziła.

– No... – powtórzył Jan Łuczywek przez zaciśnięte zęby. Wściekłość aż kłębiła się w nim. Taki ranek.

Syn popatrzył na szary brulion i przeniósł wyzywające, jakby ironiczne spojrzenie na ojca. Ziewnął, palcami jak grzebieniem przeczesał te swoje włosy, sięgające strąkami aż do ramion.

Tak patrzyli na siebie chwilę.

– Po pierwsze... – odezwał się spokojnie chłopak – nie należy czytać cudzych notatek, tak samo jak listów...

Jan Łuczywek przyznał mu rację i opuścił głowę. Dostrzegł te bardzo szerokie u dołu spodnie z welwetu, co wisały na krześle. Zobaczył też bluzę z niebieskiego płótna ponabijaną złotymi guzikami.

– A to skąd masz, gieroju?!... – zaszydził. – Za czyją forszę, ojca, prawda? Bojowy, zagraniczny strój!! – Zaśmiał się sztucznie, bo wcale nie było mu do śmiechu. Ale syn zbagatelizował szyderstwem wzruszeniem ramion.

– A co do ryzyka... – usłyszał jego chłodny, spokojny głos – to można jeszcze pałę glinie odebrać, albo coś więcej, powiedzmy, rozbroić go...

I roześmiał się. Wrogo, wrednie tak. W głosie chłopaka wyraźna drwina. Żartuje sobie, kpi.

Poderwał się Jan Łuczywek i chciał już palnąć. Wyciąć ojcowski policzek. Ale między nimi stanęła żona. Jej denerwujący, przenikliwy płacz. Tym sposobem baby reagują na wszystko. Zezłościł się na nią także. I spojrzął na ścienny zegar. Spóźnił się do biura jak nic. Wypadł z pokoju, w biegu narzucił płaszcz i już był na schodach.

– Szczeniak... – dyszał przeskakując po trzy stopnie – bezczelny szczeniak. – Było w tym oburzenie i podziw jakby zarazem.

Styl tego pamiętnika precyzyjny, rzeczowy. Umie się wysłowić, myśl swoją wyrazić, trzeba mu to przyznać, ma jednak swój styl. Tak pomyślał, bo sam nawet listy niechętnie pisywał.

Na podwórzu wśród tych szarych, ospowatych bloków, gdzie mieszkał, nikt się już nie śpieszył. Tylko starzy ludzie z psami. Psy przystawały pod rachitycznymi drzewkami i posiakiwały. Godzina porannych spacerów. Tacy, którym się nie śpieszy. Emeryci, a może jeszcze jacyś. Pozazdrościł im nagle. Kiedy dobiegł do przystanku, tramwaj akurat odjeżdżał. Spóźnienie rośnie. Jego zdenerwowanie też. A na przystankowej płycie rozłożył swój żebraczy kramik ślepiec. Siedział oparty o betonowy słupek, przed nim czapka na drobniaki, obok pies, kudłaty wilczur. Jan Łuczywek podejrzewał, że ten ślepy wcale nie jest ślepy. Patrzył na niego z niechęcią. Pracuje na litość. Barczysty, rumiany, w ciemnych okularach, z wypielegnowaną brodą. Ludzie omijali go ostrożnie, a on tak tkwił nieruchomo jak posąg. Rozbestwiony przywilejem litości, pomyślał Jan Łuczywek. I choć pora ranna, gorączkowa, jednak rzucali drobniaki do żebraczej czapki. Zarobić może taki... Zastanowił się Jan Łuczywek. Ale obliczeń już nie dokończył. Następny tramwaj. Z trudem zdołał wbić się do wnętrza. Gęstwa pasażerów. Potracają się i kopią. Przedarł się jakoś i dotarł do automatu kasującego bilety.

Trochę luzu. Ale głupie miejsce. Narażony na ciągłe dziurkowanie cudzych biletów. Stał tak blisko i nie mógł odmówić. Nawet specjalnie nie prosili.

– Czy mógłby pan... – I wtykali mu bilety.

Spróbował przesunąć się dalej. Ale drogę blokował typ w bułgarskim kozuchu. Zwalisty, rozparty. Rozmawiał z kimś hałaśliwie.

Płynęła idiotyczna opowieść jak bełkot: – Proszę ja ciebie, wracam do domu, po fajerant robiłem, no i wracam do domu, wchodzę, a ona, znaczy moja baba, w łóżku sobie leży, podchodzę do kuchni, w garnki zaglądam, a tam nic, proszę ja ciebie, puste gary, patrzę ja na nią, ona na mnie i mówi: chora jestem, to ja robię i nigdy jeszcze nie byłem na chorobie, a ona, proszę ja ciebie... – głos miał donośny, górował nad zgrzytem i dudnieniem tramwajowych kół – nic nie robi, tylko w domu siedzi, i chora, tego już nie wytrzymałem, dołożyłem jej po schabach – śmiał się tubalnie.

Zadowolony bawół. I kołysany pędem, zwał się raz po raz na Jana Łuczywka. A jego ogarnęła złość. Wreszcie odważył się i wparł kułakiem w te szerokie jak szafa plecy. Tamten obejrzał się. Czerwony, z wąsikami.

– Panie, uważaj pan! – patrzył na niego z góry, surowo i gniewnie.

– Przepraszam – wybałał Jan Łuczywek. Opuścił głowę, bo w oczach aż wrzała mu bezsilna nienawiść. I już musiał wysiadać.

KIEROWNIK NA SEDESIE

Dwadzieścia minut spóźnienia. Wybałuszone oczy Pąkowej. Stara szatniarka, we wszystkim skleroza, na spóźnienie jednak reaguje. Jak to mówi Kapłaniak o niej? Aha, pańszczyzniana dusza. Na szczęście, w biurze zamieszanie. Przyjechała jakaś delegacja z NRF-u. Poważni kontrahenci. Wszystko więc kręciło się dziś koło tych Niemców.

– Taki przystojny... jak Antony Perkins... – egzaltowała się młoda personalna.

Mężczyźni rozprawiali o samochodach, które stały na parkingu. Najwięcej zwolenników uzyskał nowy volkswagen, którym przyjechał ten podobny do Perkinsa.

– Kształt ma piękny, prawda, a jakie zawieszenie!!

W tym szumie nikt nie zwrócił uwagi na Jana Łuczywka. Nikłej postury zresztą, drobny i niepozorny. Przemknął się korytarzem. Akurat kierownik Pakulski, trzymając dwóch Niem-

ców pod rękę, stał przed gabinetem naczelnego. Jeden Niemiec palił cygaro. Drugi szczupły, elegancki. Może ten do Perkinsa... Pakulski szwargotał jak nakręcony. Niezłe znał język. Niemcy wybuchnęli śmiechem. Zapewne jakiś dowcip powiedział. Ten z cygarem klepnął go rubasznie. Pakulski odwzajemnił się tym samym. Patrzył Jan Łuczywek zza filaru. Mówią: ten Pakulski cwaniak, mocny u góry i umie dbać o swoje interesy. Małe, świdrowate oczka i dźwięczny śmiech. Ale oczka, zimne i skupione, nie biorą udziału w serdecznych grymasach twarzy. Jednak tylko krótką chwilę pozwolił sobie na to podglądanie. Pomknął dalej korytarzem.

W pokoju numer pięćdziesiąt jeden przy jasnych biurkach siedziało pięć osób. Dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Jan Łuczywek zasiadł za szóstym biurkiem. Kobiety piły herbatę i rozmawiały o czymś z ożywieniem. Mężczyźni przeglądali gazety. Jan Łuczywek zaczął pedantycznie rozkładać papiery i skoroszyty. Sprawdził dziurkacz. Ten dziurkacz zaciął się od pewnego czasu. Dzień dopiero się zaczął, a on już czuł się do niczego, zmęczony, wypluty taki. Rozmyślał o pamiętniku syna. Dziwne to. Zawsze pamiętnik kojarzył mu się z dziewczyną, z takim sentymentalnym podlotkiem tylko. Co kombinuje ten szczeniak? I ta obcość. Bo poczuł taki mur między sobą a chłopakiem. Jego słowa padały obok. Nie docierały wcale. I to spojrzenie, chłodne, pobłażliwe. W oczach: przestań bredzić po prostu. Wyraźnie to w oczach. Rozboleł go brzuch. Tak wściekle rznąć zaczął. Od razu musiał wstać i wybiec. Takim klusem, zgięty w pasie. Panie uśmiechnęły się. Domyśliły się pewnie, w czym przyczyna. Ale jemu było wszystko jedno. Ponadto koleżanki w pracy to jakby coś innego niż kobiety. Tak już się utarło.

Popędził korytarzem. Wbiegł do toalety. Pchnął drzwi najbliższej kabiny. Uchyliły się szeroko. A on znieruchomiał. Kierownik Pakulski siedział w kucki na sedesie. Ale spodni nie opuścił. Tylko siedział. Żyłki wystąpiły mu na czole, a w dłoni trzymał zwitek papierków i liczył. Ślinił palec i przesuwiał nim zręcznie. To były banknoty. Nowiutkie. Szelest przy tym liczeniu. Ale nie nasze. Innego koloru. Brunatnordzawe jakby. Obce. Na pewno obce. Patrzył Jan Łuczywek na dłoń kierownika. Ten zaś oczy na niego wytrzeszczył i schował dłoń za plecy. Zakolysał się przy tym na sedesie. Ale równowagę utrzymał. A oczy wytrzeszczone pozostały. W nich dużo błysków przeróżnych zamigotało. Osaczone oczy. Ale też jakby wściekle. I cisza w klozecie. Tylko woda kapiała z dziurawego rezerwuaru.

Ocknął się Jan Łuczywek z zagapienia.

– Przepraszam... – wybąkał.

Cofnął się i drzwi kabiny zamknął starannie za sobą. Bardzo cicho to zrobił. Wypadł z toalety jak z pożaru. A obraz ostatni, jaki mu pozostał: siedzi kierownik Pakulski szeroko rozkraczony na tym sedesie i te jego złe, zaciekle oczy. I ból brzucha ustąpił zupełnie. Postać chwilę za filarem. Musiał ochłonać. Widok stąd na drzwi męskiej toalety. Tam Pakulski pieniądze liczył. Obce. Chyba od tych Niemców dostał. U nich to się nazywa prowizja. Jeden stąd wziął już kiedyś taką prowizję. Ale miał grube nieprzyjemności. Już go nie ma tutaj. Podpatrzyli właśnie. Ta tajemnica odkryta w klozecie zaniepokoiła Jana Łuczywka. Pakulski to twarda sztuka. Niedobrze z takim mieć na pieńku. Zła sprawa. Już takiego pecha ma ze sracjami. Kiedyś damski z męskim pomylił. Też głupio. Ale nie tak jak tym razem. Wrócił do pokoju numer pięćdziesiąt jeden. Swoim odkryciem nie podzielił się z nikim. Znowu zaczął rozkładać papiery i skoroszyty. Potem składać.

ROZMOWY BIUROWE

Ostatnie muchy bzykały na szybach. Jesień. Z okien widok na budowę tego wielkiego hotelu. Dźwig sunie w górę. Hotel już wysoki, szybko pnie się do nieba. Budują Szwedzi.

– Niezłe to robią – odezwał się Jan Łuczywek.

Ale nikt go nie usłyszał. Znowu zabrał się do temperowania ołówka. Żyłka delikatnie ścinała strużki drzewa. Wyrząsał z temperówki na papier. Z papieru zsypywał do kosza. Lubił tę czynność. Jakoś uspokajała.

– Więc pytacie, moje kochane, co trzeba zabrać ze sobą... – zamyśliła się pani Maria, która w ubiegłym roku była na wycieczce pod piramidami – zaraz wam powiem... bardzo idą suszarki do włosów i grzałki, kryształ, to oczywista, ale trzeba uważać, celnicy zabierają, jeszcze papier fotograficzny bardzo atrakcyjny, w hotelu od razu kupią, koszule, w ogóle bielizna... – tak rozstawiała jak szpony palce jednej dłoni, dołączyła drugą – tylko za szybko nie sprzedawać, moje złote, należy porównać ceny, ci, co pierwsi obskakują, najmniej płacą, pamiętajcie dziewczynki, z rozwagą, aha, papierosy, przede wszystkim carmeny, woda kolońska „Prastara”, krem „Nivea”.

Dwie pozostałe kobiety z tego pokoju skrzętnie zapisywały wskazówki pani Marii. Szykowały się w przyszłym miesiącu na orbisowską wycieczkę do Egiptu właśnie.

Jan Łuczywek też wsłuchał się w to wyliczanie.

Nie lubił pani Marii. Rudo farbowana, wiecznie w pretensjach, głupi babsztyl i po prostu przekupa.

– Tylko uwaga na wielbłądy... – powiedział złośliwie – bardzo trzęsą, uprzedzam, zresztą pani Maria sama to odczuła.

Ale ona nie przerwała swego wywodu. Nawet nie spojrzała na niego. Tylko Kapłaniak zachichotał cicho.

– Jedna dentystka z Krakowa... – ciągnęła pani Maria – wzięła maszynę elektryczną do szycia, ryzyko, bo ryzyko, mogli zatrzymać na komorze, ale udało się jej i z wielkim zyskiem sprzedała. W takim przypadku może się zwrócić cały koszt... Aha, pamiętajcie, dziewczynki, tanie mają wyroby ze złota, najlepszy taki sklep w Luksorze, zaraz, zaraz... – zajrzała do swego notesu – ten złotnik Korosani się nazywa...

Stary Szydłowski, ostatni który używał satynowych zarękawków, uniósł ptasią głowę znad papierów.

– Mój syn – powiedział ponuro – spoczywa na tej afrykańskiej ziemi. Padł pod Tobrukiem.

– Dawne dzieje... – brutalnie zauważył Kapłaniak, przezywany Elegantem za przesadną skłonność do jaskrawych strojów.

Szydłowski wpatrzył się w niego nieprzyjaźnie, ale nic nie powiedział.

Jan Łuczywek znów przypomniał sprawę z synem.

– Ta dzisiejsza młodzież! – wybuchnął. – Tragiczny problem. Nie wiadomo, o co im idzie. Czytaliście o tych gwałcicielach? Po dziesięciu na jedną!!

– A one wcale nie narzekały – odezwał się Kapłaniak, przezywany Elegantem.

– Trudno się w tym połapać – rzekł Jan Łuczywek.

Kobiety z tego pokoju nadal były zajęte Egiptem. Coś obliczały. Obliczeniem kierowała pani Maria.

– Funt trzeba pomnożyć.

– Ciekawe, czy emerytury podniosą – zastanowił się stary Szydłowski.

– Przecież już podnieśli – zdziwił się Jan Łuczywek.

Nawet nie za bardzo skrzypnęły drzwi. A do pokoju wszedł kierownik Pakulski. Tak zawsze pojawiał się jak duch. Więc i tym razem tak samo. Kobiety rozbiegły się do swoich biur. Ale on nie skarcił żadnej. Wszyscy pochylili się nad papierami. Najgorliwiej Jan Łuczywek. Nawet twarz ukrył za księgą bilansową. Tylko Elegant zachował swobodę i skłonił się lekko, z przymilnym uśmiechem.

I kierownik Pakulski właśnie do niego od razu.

– No i jak, kolego – uśmiechnął się nieprzyjemnie – co z tym transparentem?

– Jak Boga kocham na chwilę tylko zostawiłem i odszedłem za swoją potrzebą...

– Za potrzebą? – kierownik Pakulski uśmiechał się coraz bardziej nieprzyjemnie. – A co z transparentem?

Kobiety zachichotały. Elegant rzucił im wściekle spojrzenie. Jak piskorz wił się za biurkiem. I nic już nie mówił. Jan Łuczywek też męczył się nielicho. Ta tajemnica klozetu parzyła go wprost. Więc jeszcze niżej pochylił się nad papierami. I niby objeżdża Eleganta kierownik, a dwa razy to swoje zimne, przenikliwe spojrzenie na niego rzucił. Jak sondę zapuścił. Przycisnął Jan Łuczywek ołówek do papieru. Trzask. Złamał się ołówek.

– Uważam, że sprawa jest niezakończona – kierownik Pakulski zawiesił głos i równie szybko jak wszedł, opuścił pokój. Dopiero wtedy Jan Łuczywek uniósł głowę. Westchnął ciężko. Elegant też był posepny. Patrzył tępo w ścianę.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie – stwierdził jakby z zadowoleniem stary Szydłowski.

A Janowi Łuczywkowi zrobiło się trochę lżej. Nie tylko on ma sprawę z kierownikiem. Kapłaniak też. Zawsze raźniej.

– Jak to cicho wchodzi – rozmyślał w głos o kierowniku Szydłowski – nawet podłoga nie skrzypnie, nic, te kroki tak stawia, pieska natura...

– Duszno tutaj! – rozłościł się nagle Elegant. Z hukiem otworzył drzwi. Stał w progu i oddychać zaczął łapczywie. Śmiesznie to wyglądało. Nie do okna, a do drzwi właśnie.

Drzwi ciągle otwarte. Okna też uchylone. Przeciąg więc. Krzywił się stary Szydłowski. Nawet ostentacyjnie pokasływał. Na przeziębienie podatny. Ale nic nie powiedział. Kapłaniak, przezywany Elegantem, wciąż wściekły. I tak stał w progu. Posłyszał stukot damskich butów. Wychylił głowę. To Elżbieta, sekretarka naczelnego. Przyglądał się jej Elegant z upodobaniem. Szła bardzo powoli, godnie. A kręciła tym kuprem. Zapomniał Elegant o transparencie i kierowniku. Posłał jej uwodzicielski uśmiech. Ledwo mu kiwnęła głową.

– Milutka – cmoknął.

Trzy panie równocześnie poderwały się od biurka. Już były w drzwiach. Patrzyły zawistnie na Elżbietę.

– Bardzo efektowna jednak – odezwała się najmłodsza z nich, od roku mężatka, Danusia. – Skąd ona na te łachy bierze? – powiedziała pani Maria. Patrzyła wrogo. – Same zagraniczne rzeczy – dodała.

Już od dawna plotkowano o tej Elżbiecie. Plotka głosiła, że z kimś bogatym romansuje. Badylarz, prywaciarz, różne były wersje.

– Szykowna, trzeba przyznać – stwierdził Elegant.

Pani Maria skrzywiła się z niechęcią. Jan Łuczywek przypomniał twarz tej Elżbiety. Spotykał ją czasem w bufecie, ale nigdy nie zwrócił szczególnej uwagi. Taka jak inne. Ładna, a ładnych tu wiele. Elżbieta.

– Sympatyczna – powiedział bardzo głośno i popatrzył na panią Marię.

Ale ona nie podjęła wyzwania. Milczała.

– Ciekawe, co jej narzeczony na to? – zastanowił się Elegant.

– A ma ona kogoś? – zapytał stary Szydłowski. Elegant kiwnął głową. Kobiety wróciły do swoich biurka.

– Kolego – stary Szydłowski wskazał drzwi.

Elegant zamknął bez sprzeciwu. Jan Łuczywek przez chwilę poczuł niechęć do wszystkich. Niechęć, wstręt. Nagle to przyszło. Jak szakale wszyscy, tak cieszą się każdą złą wiadomością.

Stary Szydłowski uśmiechnął się dwuznacznie.

– Podobno kierownik Pakulski też dołki pod nią kopie.

Jan Łuczywek skrzywił się z udręką. Znowu ten kierownik. Co zrobić? Powiedzieć Pakulskiemu, że nic nie widział? Jeszcze gorzej. Dać do zrozumienia, że potrafi zachować dyskrecję? Ale jak? Grzebał bezmyślnie w papierach. Potem wpatrzył się w okno. Szwedzki dźwig znieruchomiał nad szkieletem hotelu. Postanowił pójść do bufetu. Może kawa jakoś poprawi samopoczucie.

INCYDENT W SZATNI

Wielki obraz wisiał nad szatnią. Esy, floresy, jaskrawe plamy. Nowoczesne malowidło. Pierwszy raz dopiero zwrócił na to płótno uwagę. Niedawno powiesić musieli. Dyrektor przechwalał się kiedyś. W kręgach artystów posiada rozległe znajomości.

– Bohema... – powiedział – czyli cyganeria, wiecie, wszyscy lekko szurnięci.

Pewno malarz jakiś podsunął swoje dzieło i stary zakupił z funduszu kulturalnego. Interesujące, ile malarz dostał za to. Zadzierał głowę i krzywił się. Co daje patrzeć na takie coś? Dyrektor bardzo lubił o swoich znajomościach opowiadać. Na akademię pierwszomajową osobiście jakichś aktorów zapraszał. Na „ty” z nimi, z naciskiem tę poufałość podkreślał.

Przy szatni posłyszał szwargot obcej mowy. Niemcy. Ci sami, co przed gabinetem naczelnego. Tylko bez kierownika. Pakulski marki liczył. No, bo co innego? Ile dostał... Doszedł do marmurowego kontuaru. Patrzył na Niemców ciekawie. Ta stara Pąkowa paltoty im nakładła. Usłużna, uśmiechała się głupawo. Ile ona może mieć lat? Kraciastą kurtkę podbitą śnieżnobiałym futerkiem grubemu z cygarem podawała. Zagasłe cygaro w kąciku ust. Czy to samo, co przedtem? Pąkowa rękawy mu delikatnie podtrzymuje. Gruby kurtkę zapiął. Pogrzebał w kieszeni i banknot dwudziestozłotowy na blat rzucił. Zobaczyła papierek Pąkowa, twarz jej pojaśniała i naraz rękę przed siebie wyrzucając – Heil Hitler! – wykrzyknęła. Niemcy wybuchnęli śmiechem. Zaszwargotali między sobą. Gruby poklepał Pąkową.

– Gut, gut – powiedział.

Poszli sobie. Jeszcze się obejrzeli. Znowu wybuchnęli śmiechem. Jan Łuczywek do staruchy dobiegł.

– Wstydu, babciu, nie macie!

Nie usłyszała.

– Co, proszę?

– Hańba – wrzasnął Jan Łuczywek – tak się wobec Niemców poniżać!

– Dobre paniska – kiwała głową z uśmiechem.

– Jak mówicie?! – zezłościł się.

– A bo co? – nic nie rozumiała. Twarz jak mapa zmarszczek i bezzębne usta w idiotycznym uśmiechu.

– Już ja przypilnuję – rozgniewał się na dobre – jeszcze dziś dyrektor dowie się, jak Niemców się tutaj pozdrawia!!!

Wreszcie pojęła, w czym rzecz.

– Panie kierowniczkę, kochany... – rozplakała się – nie krzywdź wdowy...

– Już ja przypilnuję – powtórzył.

I pięścią pogroził. Pozostawił babinę pełną strachu. Coś płaczliwie za nim mamrotała. A jemu ten wybuch ulżył. Lepiej się poczuł. Odeszła ochota na kawę. Z pewną czułością nawet o starej pomyślał. Czas mógł się jej przecież pomieszać zupełnie. Wojna, po wojnie, jeden melanz dla niej.

PASAŻ LUKSEMBURSKI

Stary Szydłowski, który dotąd w milczeniu wystukiwał długą kolumnę cyfr na elektrycznej maszynie do liczenia, naraz znieruchomiał. Uniósł głowę i zagapił się w okno. Tam za oknem szwedzki dźwig sunął w górę.

– Tak sobie widzę... – zaczął stary głuchym głosem – a przecież nic tam nie ma... Absolutnie nic. Ale ja widzę. Akurat to było w pobliżu domu moich rodziców, parę kroków. Plac Teatralny do Senatorskiej i już, urocze miejsce, a jak deszcz padał, tłum tam się zbierał, pod szklanym dachem to miejsce, sklepy, restorany, kafejki, kina wokół, wieczorem aż skrzyło się

od świateł i reklam, młodzież sobie spacerowała, subiekci z Nalewek, laseczki i szapoklaki, dziewczyny urodziwe, kwiat młodzieży, tak sobie chodziliśmy, wolniutko, oczko się puściło do panienki, upatrzyłeś sobie jakąś i do niej w koperczaki, wcale nie łatwo, nie tak jak obecnie, trzeba było się nieźle wysilać, szarmancko, z ukłonem, podpierając się laseczką, kapelusz uchylałeś lekko, czasem oczko, potem do cukierni albo kinoteatru, filmy wtedy dawali. Greta Garbo, Joan Crawford, Muni, John Barrymore, albo nasi, Fertner, Cybulski, Bodo czy Węgrzyn, gwiazdy pierwszej wielkości, niepowtarzalne, popatrzeć choćby na wystawy, towary kolonialne, trunki, jakoś i wykwinł, tak to wieczór przyjemnie upływał. Pasaż Luksemburski – powiedział przeciągle – od Senatorskiej do Niecałej, niedaleko był Bar Amerykański. A teraz co? Ani śladu nie pozostało. Nic. Po wojnie wróciłem tam, rozglądałem się, nic, tylko gruzy. – Zdjął okulary. Przetarł chusteczką. Królicze, migające oczy. Przyglądali mu się zdziwieni. Zapadł w ponure milczenie. Siwy, zasuszony jak liść w starym zielniku.

Jan Łuczywek też przypomniał sobie pewien pasaż. Był wtedy chłopcem, zapamiętał dokładnie, ojciec zabrał go na spacer. Światła, tłum. Ojciec lubił to miejsce.

– Już wiem... – powiedział – Pasaż „Italia”...

– Był taki – ocknął się stary Szydłowski – przy Nowym Świecie... – Z pasją zaczął przyciskać klawisze na elektrycznej maszynie. Wyskakiwały wąskie paski papieru, pokryte liczbami. Oblicza czy tak tylko wali?

A Jana Łuczywka ogarnął smutek. Dziwny taki. Mgielka przeszłości. Szklany dach, mięło bezpowrotnie. Stracony czas, żal i gorycz.

Wiercił się niespokojnie na krześle.

– Inżynier Ossowiecki wszystko przewidział – odezwał się nagle.

Stary Szydłowski przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Tak patrzyli długą chwilę na siebie.

SEKRETNE REFLEKSJE

Brzuch go już nie bolał. Ale tu poczuł się najbezpieczniej. Zamknął drzwi na zasuwę, usiadł w kucki na sedesie, a spodni nie ściągnął. Ściana w klozecie pełna rys i zacieków. Przypomniała domową w czasie dzisiejszego przebudzenia. Na domowej nie było zacieków. Takie ściany potęgują złe samopoczucie. Poza tym niejako miejsce zderzenia z kierownikiem. W takiej samej kabinie, tylko piętro niżej właśnie.

Może się mścić... – pomyślał Jan Łuczywek. A jak będzie się mścił zawodnik tego typu? Zgnoi po prostu. To była jego konkluzja. I humor miał zupełnie popsuty. Dlaczego taki mięczak z niego? Być może życie tak zmaglowało. W tym kiblu jak szczur siedzi. I czuje się najbezpieczniej. Nikt nie patrzy. Nikt nie pyta o nic. Taka pauza od wszystkiego. A chwilami czuł się tak, jakby stracił kształt, ameba, coś takiego, ciągnęła zmienność, przelewa się i kurczy. Czy stracił ochotę w ogóle? Tylu innych przecież. Każdy coś próbuje. Dostają kopniaki, ale zaraz się podnoszą. I do przodu! Złe ma doświadczenia. Paraliż jakiś z tych doświadczeń. Każdy ma złe doświadczenia. A ten szczeniak, jego syn, krew z krwi przecież? Inny zupełnie. Zawzięty. Ale co z tego wyniknie? Czy tak samo wyląduje na jałowym, wyschniętym brzegu? Snuł najsekretniejsze refleksje. I coraz bardziej siebie poniżał.

Aż wreszcie opowieść o stracie cnót najpierwszych sobie przypomniał. Żeby podnieść się na duchu. Było to tak. Podążaliśmy przez bagna i chaszczce, uciekaliśmy przed wrogiem, potem już był wschód, kraj dziki i wojną wyludniony. Czuliśmy się jak zaszczute psy, zawałił się cały nasz świat. Starzec podążał z nami, ten nie wytrzymał, padł z wyczerpania w przydrożnym rowie. Nawet żalu w nas nie było. Przeszkadzał tylko i zwalniał tempo marszu. Ja, co prawda, chciałem pomóc mu nieraz. Ale inni patrzyli tak na mnie, już każdy tylko myślał o sobie. Kobieta też z nami wędrowała. Ładna, młoda, z dobrego domu. Dwóch cwaniaków

dzieliło się z nią żarłem, właściwie rzucali jej marne ochłapy, za co spali z nią na zmianę. I w dzień po tych nocach pełnych postękiwań wcale się nas nie wstydziła. Patrzyłem wstrząśnięty. Subtelna, delikatna twarz, znała nawet francuski. Potem pozostałem tylko ja i chłopak najwyżej piętnastoletni, przedwcześnie dojrzały, o twarzy wilka, zniszczonej i występnej. Byłem właśnie po maturze i w głowie mojej roilo się od zasad i cnót. Tak zostałem wychowany. Głód coraz bardziej nam dokuczał. Pewnego razu ten chłopak piętnastoletni polecił mi usiąść za świątkiem przydrożnym i dawać baczenie dokoła. Pojawienie się ludzi miałem sygnalizować śmiechem, płaczem bądź krzykiem. Byle tylko nie gwizdaniem. Jeżeli zagwiżdżę, uprzedził, uznają mnie za współnika i czeka nas to samo. Był więc lojalny. Ale nie z bezinteresownych pobudek. Potrzebował współnika właśnie. Zakradł się do najbliższej chałupy. Dawałem baczenie na wszystko, sumienie szarpały wątpliwości, a serce łomotało ze strachu. Chłopak wynurzył się niebawem z chałupy. Zdobył tam kozuch, który wymieniliśmy w następnej wiosce na jądło i tytoń. Byliśmy zadowoleni. Wątpliwości w moim sumieniu przygasły. Potem już sam wchodziłem do chałup i wynosiłem co się dało. Nastął niezły dla nas czas. A kiedy znów zrobiło się gorzej, napotkaliśmy na gościńcu człowieka, pobiliśmy go dotkliwie i obrabowaliśmy z płóciennej torby, w której był chleb i słonina. Pamiętam skomlenie tego nieszczęśliwca. Błagał, żeby chociaż podzielić się z nim pożywieniem. Zawahałem się, ale chłopak odciągnął mnie brutalnie. W chwilach wypoczynku nachodziły mnie czasem wątpliwości i wstręt do siebie. Wtedy to chłopak sztychował bezlitośnie. Milkłem zawstydzony. On też nauczył mnie pić i palić. Gorzałka uratowała od przeziębienia, a palenie, zrazu niemile, zaczęło dawać satysfakcję po kosztujących wiele wysiłku i emocji wyprawach po kury i mleko. Wreszcie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia i tam chłopak nauczył mnie jeszcze bezwzględniejszego postępowania z ludźmi. Tam też żyliśmy we dwóch z pewną wdową, wyjadając jej obfite zapasy i podkradając oszczędności. Ostatek wątpliwości co do tego postępowania rozstrzygnął mój nauczyciel wykazując, że wdowa z kolei zabierała to słabszym od niej czy bardziej naiwnym w uczuciach. Stanęliśmy na nogi i w oczach moich pojawiła się okrutna beztroska. A czy stała, naiwną przeszłość zacząłem wspominać jako dziwny żart losu. Tak to się potoczyło.

Już nie pamiętał Jan Łuczywek, gdzie usłyszał tę opowieść. Kto ją opowiadał? Zresztą najmniej ważne. Może sam sobie ułożył. Nawet zastanawiał się nad tym. Ale i to nie było ważne przecież. Woda z popsutego rezerwuaru kapiała monotonicznie. Tak przesiadział na sedesie do końca urzędowania.

NAPIJEMY SIĘ ROZLEWANEGO

Przy obrotowych drzwiach spotkał się z tym Kapłaniakiem, przezywanym Elegantem. Zauważył równocześnie, że Pąkowa skryła się za marmurowym kontuarem i stamtąd spozierała na niego trwożliwie. Odbicie własnej twarzy też mignęło mu w szybie, wydało się brzydkie, odrażające nawet. Razem więc z Elegantem wyszedł z biura.

Elegant też bez humoru. Niby taki dziarski i strojny, garnitur w prążki, szeroki krawat i baczki. Ale mina rzadka, skwaszona. Szli milcząc. Pracowali już razem około pięciu lat, ale poza pracą wiele nie mieli wspólnego ze sobą. Kiedyś Elegant namawiał go, żeby wspólnie zapisać się na kurs angielskiego do „Mozaiki”, ale odmówił. Ponadto byli w jednym wieku.

Jan Łuczywek, nie wiedząc dlaczego, obojętnie minął przystanek autobusu, którym zawsze wracał do domu. I dalej szedł z Elegantem.

– Jak się dzień kiepsko rozgrywa – odezwał się Elegant – to należy nie ustępować i koniecznie przełamać złą passę.

Jan Łuczywek przystanął bez przekonania. Elegant przystanął i chwycił go za rękaw.

– Napijemy się rozlewanego? – zaproponował. Wskazał sklepową wystawę. Był to sklep monopolowy.

Jan Łuczywek nic nie rozumiał.

– No, taki urzędniczy sposób – wyjaśniał Elegant – kupimy połówkę do teczki i w kawiarni woda mineralna albo coca, dwie szklanki, i wszystko, taniej wychodzi...

Więc złożyli się i Elegant zakupił butelkę z czerwoną kartką w monopolowym. Poklepał wypchaną aktówkę.

– Wiadomo, czego się trzymać. – Wyraźnie poprawił mu się humor. – Najlepiej organizować rozlewanego. Od dawna już piję tą metodą. – Zatrzymał się, wyjął lusterko, przycesał włosy i poprawił krawat.

Kawiarnia, którą zaproponował, mieściła się w handlowym centrum od wschodniej strony Pałacu Kultury. Nowoczesna, oszklona, z palmami w drewnianych donicach. Wybrali zaciszne miejsce.

– Woda mineralna! – zażądał Elegant.

A potem, kiedy już były szklanki, zręcznym manewrem wysunął szyjkę butelki z aktówki i nalał. Tręcili się lekko i wypili. Jan Łuczywek zakrzuszył się i łyzy stanęły mu w oczach.

– Nieumiejętnie ciagniesz – rzekł Elegant – trzeba wypuścić powietrze i dopiero wtedy.

Następnym razem skorzystał z jego rady. Poszło bez oporu. Przyjemny szum w głowie i mroczne samopoczucie rozrzedziło się nieco.

– Tylko rozlewany – powtarzał Elegant z upodobaniem. Rozparł się wygodnie. Mrugnął do dziewczyny siedzącej przy najbliższym stoliku. Odwróciła głowę.

– Jedna się odwróciła, a inna przyjmie cię jak nic. – Więc zaczął mrugać do następnej.

Jan Łuczywek nie interesował się dziewczynami. Przychylił się do Eleganta.

– Jak siedziałem... – zaszeptał – to naprzeciw był żeński oddział. I jedna niewiasta zadurzyła się we mnie. Grypsy mi przez kalifaktorów wysyłała...

Ale Elegant nie słuchał go wcale. Taksował tę drugą dziewczynę.

– Wirażka... – ocenił – poluje na gościa z forszą. Przy mnie się nie pożywi...

– I regularnie, wyobraź sobie, ona mi te grypsy... – ciągnął Jan Łuczywek – a grypsy „konniem” się też podawało, to znaczy z okienka do okienka w woreczku czymś obciążonym, rzuciłeś woreczek na sznurze jak łąso i tak cały oddział „konni” mógł przerzucać... – zamyślił się i ta przeszłość daleka naraz wróciła. – I tylko raz ją widziałem z bliska. Bardzo ładna, brunetka, zgrabna. Na przesłuchanie ją prowadzili, a ja wracałem ze spaceru...

– Tak... przytaknął Elegant – od kobiet się nie opędzisz, choćbyś nie wiem jak chciał... – zachichotał – opowiadał mi pewien marynarz, może kawał, nie wiem, ale kawał prawdy, taki był kapitan, co nie chciał tym pokusom ulegać, i w Hamburgu sobie zafundował sztuczne takie cacko z gumy i podgrzewane, za dwadzieścia dolarów, co oni tam na Zachodzie nie wymyślą, wiesz, taką imitację tego, co w kobiecie najważniejsze, i tak sobie higienicznie używał, a rejs długi, raz kapitan zszedł na ląd i ktoś się do tego sromu czy jak tam dorwał i użył sobie, kapitan później złapał trynia, a pointa następująca: wszystko spadło na kapitańskiego stewarda, choć tego lubieżnego wybryku dopuścił się marynarz, co miał wachtę na trapie, a bardzo był spragniony... – Już miał nalewać kolejną porcję z butelki. Zesztywniał naraz, wpatrzony w drzwi. – Mój kolega... – powiedział – jeszcze z gimnazjum... – W drzwiach kawiarni pokazał się barczysty mężczyzna w skórzanym płaszczu. Elegant począł wymachiwać ręką. Tamten zauważył go. Skierował się do nich.

– Przy nim pić z teczki nie wypada – zdążył szepnąć Elegant – zamożny facet, tłucze forszę jak maszynka...

FALANGA WALCZY, FALANGA CZUWA!...

Mężczyzna w skórzanym płaszczu miał na imię Stefan i był prywatną inicjatywą.

– Takie spotkanie trzeba oblać! – zawołał.

Z pieniędzmi rzeczywiście się nie liczył. Pod kawiarnią czekała na niego taksówka. Wy-najęta na cały dzień. Załatwiał sobie interesy, a taksówka czekała. Szofer bardzo grzeczny, unizony wprost.

– Nauczyłem chłopaczka otwierać drzwi, kiedy wsiadam i wysiadam... – zachichotał Ste-fan – ale nie przy obcych, wstydzi się jeszcze...

Mówił też, że dobrał nie tylko kierowcę, ale i samochód. Właśnie wołgę. Obszerny wóz. Akurat. Więc trudno było znaleźć wołgę i odpowiedniego człowieka naraz.

Stefan uczęszczał z Elegantem do jednego gimnazjum. Wspominali profesorów, dziew-czyny i wagary. Chytrawo-dobroduszna twarz Stefana jaśniała zadowoleniem.

– A wy co? – popatrzył badawczo na Eleganta. Przeniósł spojrzenie na Jana Łuczywka. – Razem z kolegą na państwowym chlebie, tak?

Elegant mruknął coś niewyraźnie.

– Centrala handlu zagranicznego. Deflorex – odpowiedział za niego Jan Łuczywek.

– Wyjazdy zagraniczne czasem się zdarzają – ożywił się naraz Elegant.

A przecież wcale nie wyjeżdżał. Ale tego Jan Łuczywek nie sprostował.

Szofer patrzył na swego chlebobawcę wyczekująco.

– Do przodu... – polecił Stefan – tam gdzie szkło i napitek z lodu!

Taksówka ruszyła. Na liczniku było już trzysta dwadzieścia złotych. Zauważył to Jan Łu-czywek.

– Pamiętasz – roześmiał się Stefan – zawsze lubiłem do rymu składać. To mi zostało. Ele-gant potakiwał skwapliwie.

– Nasz polonista Albin – dodał – uważał, że masz talent literacki.

– Do literatek – zachichotał Stefan.

Zadowolony z tego powiedzenia trzepnął Jana Łuczywka w plecy. Elegant wybuchnął śmiechem. Jan Łuczywek trochę urażony tą zbytnią poufałością, ale nic nie powiedział. Tylko odsunął się nieco.

– A Bambusa pamiętasz? – zapytał Stefan.

Elegant pamiętał.

– Teraz wielki pan dyrektor.

Zaprosił ich do restauracji. Droga, es kategorii. Wszyscy go tutaj znali. Kierownik poz-drowił głębokim ukłonem. Szatniarz powiesił ich płaszcze bez numerka.

– Witamy, witamy pana prezesa – podlizywał się – nasz stały gość. – Podsunął tacę z za-granicznymi papierosami. Stefan zakupił trzy paczki winstonów. Wręczył każdemu z nich.

– Ależ... – opierał się Jan Łuczywek. Ponadto nie palił przecież. Stefan jednak wsunął mu pudełko do kieszeni.

Kiedy weszli na salę, kilku kelnerów podbiegło ochoczo. Każdy proponował swój stolik. Stefan wybrał rewir najstarszego z nich.

– Pod jego opieką najlepiej. Do rachunku za dużo nie dolicza...

Stary kelner uśmiechnął się z zawodową grzecznością.

– I o dawnych, dobrych czasach opowiada – dodał Stefan – „Adria”, Wróbel, Josek na Gnojnej, pijmy wino, szwoleżerowie... – zanucił fałszywie.

– Pamiętam – zaczął od razu kelner – jak w „Adrii”, proszę szanownych panów, Wieniawa z nami brudzia wypił, ja byłem wtedy pikolakiem, braterstwo krwi, powiada generał, palec sobie skaleczył i do każdego kieliszka krwi trochę puścił, ja nie wypilem, bo jestem obrzy-dliwy, ale koledzy owszem, a Wieniawa dopiero w śmiech, mam syfa, powiada, to teraz ra-zem mamy...

Stefan klepnął kelnera. Stary aż się ugiął. Ale nie przestawał się uśmiechać.

– Masz ekstra napiwek – zdecydował Stefan.

Kelner uklonił się kilka razy. Opowieść o Wieniawie trzymała Stefana w długim śmiechu. Na przemian walił w plecy Jana Łuczywka i Eleganta. Pili bardzo mocną wódkę. Śliwowica, siedemdziesiąt procent, aż wykrzywiła usta.

– Tylko taką lubię – oświadczył Stefan. Na przekąskę zażądał kawioru. Ale kawioru nie było dziś. Więc nadziewali na patyczki korki-anchois. Pikantne, do tej mocnej wódki akurat.

– No, kojdem koł... – podnosząc do ust kieliszek mówi Stefan. – To znaczy – wyjaśniał – póki co. Mądre były Żydki, dobrze powiedziane, co?

Opowiadał o sobie. Długi czas pracował w Inco jako zaopatrzeniowiec. Posiada umiejętność załatwiania różnych trudnych spraw.

– Kobiecie czekoladę i kwiaty, chłopu koniaczek albo kolację – mrużył kpiarsko oczy – każdego załatwię... – Teraz już pracuje na swoim. Prowadzi wytwórnię past i lakierów. – Raczej... – ściszył głos – przody mam w interesie, a nie tyły.

Elegant dopiero się poczuł w tej drogiej restauracji. Winstony kurzył, rozparty niedbale, noga na nogę i czasem tak zerkał na strony, jakby uznania dla siebie szukał. Jan Łuczywek też czuł się coraz lepiej, podnosił wzrok w górę, a złote gwiazdy, którymi pokryty był sufit, migotały mu w oczach. Stary kelner uwijał się przy nich jak młodzik. Coraz to popielniczkę zmieniał, butelki z coca-colą otwierał.

– Cała ta wygoda – powiedział Stefan, głos miał twardy – taryfa, kelnerzy, ukłony, wszystko to za pieniądze, chłopcy kochani!

Zamówił następną ćwiartkę. Jan Łuczywek zastanawiał się akurat, ile wystukać może licznik taksówki przez cały dzień. Męczyło to, ale nie mógł sobie odpowiedzieć. Pięćset, tysiąc... Stefan daje na pewno kierowcy dużo więcej.

Stary kelner też wypił z nimi. Chciał sobie tę wódkę łyknąć na boczku, ale fundator nie pozwolił.

– Znam ten numer. Popije wody, a wódkę jeszcze raz sprzeda...

Elegant roześmiał się gromko. Ale kelner popatrzył na niego bez uśmiechu. Stropił się nieco Elegant. Tak jakby zrozumiał, kto tu ma prawo się śmiać.

– A jak u was z forszą? – zapytał Stefan.

Milczeli. Jan Łuczywek zakłopotany. Ale Stefan nie czekał na ich odpowiedź.

– Wiem, wszystko wiem...

Na bibułkowej serwetce napisał swój numer telefonu.

– Ja was urządzę! – wznosił toast – za waszą pomyślność, chłopcy!

A jak podpił sobie więcej, to zaczął wykrzykiwać: – Falanga walczy! Falanga czuwa! – coraz głośniej. Goście z sąsiedztwa odwracali głowy. Patrzyli na nich. Młodszy ze zdziwieniem. Nie znali tego. Starsi uśmiechali się życzliwie. Ktoś nawet dorzucił: – I nową wykuwa...

Jan Łuczywek poczuł się niezwykle lekko i beztrudno. Też zawołał: – Falanga walczy! Falanga czuwa!

Wkrótce jednak Stefan spojrzął na zegarek i już był koniec zabawy.

– Muszę gnać dalej... – oświadczył – surowiec... z tym jest zawsze najtrudniej...

Równocześnie w drzwiach restauracji pokazał się kierowca.

– Widzicie... – ucieszył się Stefan – jak czuwa? Lepszy od zegarka. Mój tissocik! – Zaraz też zapłacił rachunek, zostawiając kelnerowi solidny napiwek. – Kojdem koł... – wypił ostatni raz – bo nigdy nic... – nie dokończył i drgnienie jak tik przeleciało po jego policzku. – Może dla was po kielichu? – zapytał.

Ale oni honorowo odmówili. Pocałunki z dubeltówki, serdeczne słowa i już nie było tego rubasznego, pełnego energii mężczyzny. Zostali sami. Siedzieli tak dłuższą chwilę. Stary kelner przestał się nimi interesować. Dyskretnie zbadali stan swoich kieszeni. Jan Łuczywek miał sto dwadzieścia złotych. Jego kolega biurowy o trzydzieści więcej.

– Kategoria es... – rozważał Elegant – owszem, przyjemnie tutaj, ale z naszą gotówką starczy ledwie na kilka wódek...

Postanowili przenieść się do innej restauracji. Tańszej. Elegant znał taką w pobliżu. Jan Łuczywek zgodził się chętnie. Na powrót do domu nie miał ochoty. Przez chwilę tylko o tym pomyślał. Machnął lekceważąco ręką.

– Falanga walczy! – wrzasnął, kiedy znaleźli się przy szatni.

Szatniarz, mały ospowaty człowieczek, popatrzył na niego bez życzliwości.

– Nie rycz pan jak bawół – skarcił. Następnie płaszcze podał im byle jak, rzucając niedbale na ladę. Mimo to wcale nie popsuł im humoru.

– Królestwo chama – stwierdził Jan Łuczywek.

Elegantowi bardzo spodobało się to powiedzenie. Pokładał się ze śmiechu. Mały ospowaty szatniarz popatrzył za nimi podejrzliwie. Wzruszył ramionami.

TRAKTAT O SSANIU

Pili tutaj na stojąco. Tłok. Ale jakoś znaleźli sobie miejsce. Obok nich obdarty człowiek z potężnym sinym nochalem. Z drugiej strony mężczyzna o suchej twarzy, z którą przedziwnie kontrastowały puszyste jak runo baki, kwitnące na szczękach. Opowiadał właśnie nabrzmiałym z żalu głosem: – ...gryzie mnie to, ale co mogłem zrobić, piękny piesek, foksterierek, nosówka, na to nie ma rady, śluz cieknie i cieknie, a dać do uśpienia nie miałem serca, jeden kolega, do kółka myśliwskiego należy, chciał nawet zrobić odstrzał, ale też serca nie miałem, myślę i myślę, wziąłem pieska w torbę, King się wabił, za miasto nad wodę wywiozłem, niech sam sobie zdycha w przyrodzie.

– Przychodnia jest taka... – zaczął Jan Łuczywek.

Ale Elegant pociągnął go za rękę.

– Nie ma co się wdawać.

– Lubię towarzystwo... – odezwał się ten z sinym nochalem, patrząc na nich porozumiewawczo – szczególnie inteligencji... A wy, panowie, wyglądacie na ludzi co najmniej po maturze. – Nos szklął mu się na końcu smarkiem. Aż dziwne: nie skapywał ten smark.

– Niestety, nie jest to przedwojenna matura – Jan Łuczywek teatralnie rozłożył ręce.

Rozbawił go sinonosy. Żartować mu się zachciało. W ogóle atmosfera tego miejsca... Obejmują się i kłóć. Wrzeszczą lub płaczą. Kilku już zupełnie opitych. Spali na stojąco, wspierając się o stoły. W drzwiach stał milicjant i spoglądał czujnie na rozbawiony tłum. Ktoś zapraszał go do wódki. Milicjant pogroził białą pałką.

– Wymiera stara generacja... – sinonosy poruszył głową i kap, kap, nie było już smarka – jestem absolwentem gimnazjum Zamoyskiego, dawniej Chrzanowskiego... Rocznik 1912-ty, z tamtej matury pięciu nas tylko pozostało...

Postawił im wódkę. Oni w rewanżu również. Podziękował z godnością. Ta godność śmieszna w zestawieniu z jego wymiętym, poplamionym ubraniem i palcami zarośniętymi smugami wielodniowego brudu.

– Jestem redaktorem – oświadczył.

Elegant zachichotał. Redaktor zgromił go surowym spojrzeniem.

– Gazeta harcerska – powiedział – bardzo poczytna. Osiemset tysięcy nakładu. Pisuję dla dziatwy w wieku szkolnym... – tak mówiąc sączył wódkę drobnymi łykami, smakował wprost z rozkoszą – sam przed wojną byłem harcmistrzem... Czy wiecie, kto to był Andrzej Małkowski?

Jan Łuczywek wiedział.

– Osobiście go znałem.

Wyciągnął z kieszeni porwane i zatłuszczone pismo. Wygładził starannie. „Świat Przygód”. Wskazał artykuł podpisany nazwiskiem Jan Pawłowski. Następnie pokazał dowód i zobaczyli: Jan Pawłowski – również, a zawód – redaktor.

Elegant, któremu redaktor kojarzył się z wykwintnym światem, nadal nie dowierzał.

– Rzetelna dziennikarska robota... – mówił ten z sinym nosem. – A i to nonparelem też moje. Informacja o obozach wędrownych...

Jan Łuczywek wyrwał mu tę gazetę i rzucił na podłogę. Podeptał z pasją.

– Bzdury! Ja bym czegoś takiego za nic nie robił! Nigdy! – w ślad za gazetą splunął na podłogę.

– Dlaczego? – zaperzył się redaktor.

– Mój syn pisze pamiętnik... – zaczął Jan Łuczywek – poinformował mnie ten tekst należycie o problemach młodego pokolenia, oni, ci młodzi, do dziewczyn się sposobią, ale wcale nie tak banalnie, księżyc, buzi, buzi i cacy, tylko jedna na dziesięciu im starcza, czyli kolejka, a jak zaprotestuje, to ją żyłką albo za gardło... – mówił coraz głośniejszym głosem, zapalał się i gestykował. – A w następnej kolejności, drogi redaktorze, szykują się na kioski, to znaczy nocą przy pomocy łomu zamki rozwalą i do środka. Jeszcze później pójdą na sklepy i to dzienną porą, tylko ze spluwami, spluwy glinom odbiorą...

Redaktor głupawo wytrzeszczył oczy.

– Co ty wygadujesz? – też zdziwił się Elegant.

– Oni na nas też patrzeć nie mogą, widzą przecież to nasze szurze, zakłamane i nijakie... – rąbnął pięścią w stół Jan Łuczywek.

Wtedy to zaczęła przepychać się do nich ta okazała kobieta. Już od dłuższego czasu stała w towarzystwie kilku mężczyzn. Obmacywali ją i podszczypywali. Ona zaś, posłyszawszy donośny głos Jana Łuczywka, obejrzała się i tak już pozostała, zapatrzona w niego. Nie czuła nawet, jak jeden z mężczyzn wpycha jej łapę za dekolt i grzebie tam zachłannie. A drugi pochyliwszy się dobiega się pod sukienkę i posuwa dłoń coraz wyżej. Nagle odepchnęła ich i odtrąciwszy też innych, siłą musiała być obdarzona znaczną, do Jana Łuczywka podeszła. Monstrualnie otyła, góra mięsa wymalowana jaskrawo, oczy ginęły w fałdach tłuszczu, a piersi jak wypchane worki podrygiwały na wydatnym brzuchu.

Redaktor, dotąd ogłuszony monologiem Jana Łuczywka, przerwał mu teraz z oburzeniem: – To istna prowokacja! Ja nie pozwolę!

Ale nie dokończył. Ta otyła kobieta przycisnęła go do ściany. Stłamsiła jak robaka. Piszcząc zaczęła.

– Wyłącz się, chudzinko!—powiedziała groźnie.

I z uwielbieniem wpatrzyła się w Jana Łuczywka. Jej zwierzęce wodniste oczy wyrażały tyle ciepła i czułości, że speszył się jakoś i wywód o młodych urwał. Tylko jeszcze ręką zamaszysty gest wykonał. Ona, ta gruba, schwyciła jego dłoń i zaraz poczuł mokre ciepło na ostatnim palcu. Żarłocznie ssać zaczęła. Ruchem rytmicznym zanurzała ten jego najmniejszy palec w głąb swoich ust i wysuwała. A dłoń jego trzymała jak w kleszczach. Nie bronił się wcale. Patrzył na to wielkie, trzęsące się jak galareta ciało, jej oczu utopionych w tłuszczu już zupełnie nie widać, a pomruk wydawała koci, cichy. I wtedy to Jan Łuczywek poczuł błogość niezwykłą. Obrazy wyraziste i pełne rozkoszy roić się zaczęły w wyobraźni. Płynęły barwną taśmą jak tęcza. Przymknął oczy. Unosił się i opadał. Sułtan wśród swego haremu. Olśniewająca biel zadów, piersi i ud. Łazienka lub sypialnia. Kłęby pary i sytość. Płaszący korowód kobiet, przeginają się wabiąco. Poczuł się krzepki i zdobywczy. Rósł od wewnątrz, tak ogromniał i pęczniał męską dumą i mocą. A temu ssaniu towarzyszyć zaczęły oklaski. To suchy mężczyzna z puszystymi bakami na szczękach zagapił się na nich i klaskać zaczął jak w teatrze.

Elegant pociągnął Jana Łuczywka za ramię. Nawet nie widział, jak to się stało. Znaleźli się na ulicy. Ocknął się. Ciemno, światła latarni, z knajpy dochodzi pijacki charkot, zamazane cienie za szybą.

Ani śladu otyłej kobiety. Chciał wracać. Wykrzywił żałośnie twarz. Ale Elegant trzymał go mocno za ramię.

– Koniec... – powiedział stanowczo – dosyć już zabarłżyliśmy.

Szedł posłusznie, ale cały czas marzył o grubej kobiecie. Ciągle ją widział. To cielsko falujące i pokorna uległość w zapijaczonych oczach.

– Wspaniała – szepnął.

– Co? – nie zrozumiał Elegant.

Nic nie wyjaśnił. Tylko uśmiechał się błogo. A ten najmniejszy palec prawej dłoni ciągle czuł. Gorący, mokry, pogrążony w wilgotnej pieszczocie.

SZASZŁYKARNIA

Nocne miasto schowane w gęstej mgle. I pusto już. Tylko milicyjne radiowozy ożywiały ciemność niebieskimi światełkami. Przy nich też jeden taki samochód przystanął. Ale szli jeszcze dosyć pewnie. Zresztą zorientowawszy się w porę, zmobilizowali resztki trzeźwości. Radiowóz odjechał, pozostawiając ich w spokoju.

– Mieli chęć... – zatarł ręce Elegant – ale nic im nie wyszło.

Dotarli do śródmieścia. Tutaj w bramach stały jeszcze uliczne dziewczyny.

– Znam bardzo miłe miejsce – powiedział Elegant – zaraz zobaczysz.

Jan Łuczywek milczał. A otyłą kobietę z knajpy ciągle widział. Jej oczy – wąskie szpary w tłuszczu, jej palce jak kielbaski i ręce niczym konary, pokryte rudawym włosom. Całe to ciało, wielka góra mięsa, drgało i falowało, i nie wiadomo, gdzie kończyły się piersi, a zaczynał brzuch.

Mgła, która spadła na miasto, pomagała mu w tym widzeniu. Nic rzeczywistego nie widać prawie, więc tylko ta gruba z knajpy realna. Czuł niechęć do Eleganta za decyzję bez jego woli. Siłą wyciągnął go przeciw stamtąd.

– Jesteśmy na miejscu – usłyszał głos swego biurowego kolegi.

We mgle i pustce ten barak wyglądał jak jedyna oaza życia. Oświetlony jarzeniowym światłem i pełen ludzi. Za kontuarem mężczyzna w białym fartuchu. Sprzedawał kielbaski na tekturowych spodeczkach i piwo. Elegant wygrzebał resztki drobniaków. Starczyło na dwa piwa i jedną kielbaskę. Sprzedawca popatrzył na nich badawczo. Elegant uśmiechnął się przymilnie.

– Ostatnie grosze, panie kierowniku.

Dostali dwie butelki piwa do jednej kielbaski.

Jarzeniowe światło trupio, upiornie pokazywało ludzi w tym wnętrzu. Staruch w kącie zajączał przez sen: – Co łaska, co łaska, proszę.

Ludzie roześmieli się.

– Przyśniło mu się, że stoi pod kościołem – powiedział Elegant.

– Nie spać – odezwał się surowo sprzedawca – to nie hotel.

Kilku spragnionych prosiło o sprzedaż piwa bez kielbasek. Ale sprzedawca odmówił.

– Panie kierowniku... – błagali ciągle z nadzieją – co panu zależy, przecież to tylko ciemne, prawie bez alkoholu... No, panie kierowniku, sprzedaj pan...

Sprzedawca był nieustępliwy.

– Piwko sprzedajemy tylko do przekąski – powtarzał. Patrzył na nich wzgardliwie i przecierał rękawem sygnet na ostatnim palcu. – Możecie na dworzec – poradził wrednie – tam sprzedają zestawy śniadaniowe, w każdym pełne piwko, może nawet „Żywiec.”

Więc ci bez pieniędzy, złorzecząc, szykowali się do wyjścia. Jan Łuczywek z gwałtowną nienawiścią popatrzył na wygoloną, błyszczącą gębę sprzedawcy. I ten palec ostatni z sygnetem. Jak kierownik Pakulski on dla niego.

– Ten sam typ swołoczy – szepnął.

Sprzedawca spojrział na niego. Odpowiedział mu wyzywającym spojrzeniem.

Staruch, co drzemał dotąd i żebrał przez sen, ocknął się i małe oczy zaiskrzyły mu się wesoło, stuknął pustą butelką o kontuar i tak zaczął: – Królu najważniejszy, gwiazdo jedyna w zupełnej tej ciemności, ostatnia nadziejo nasza na tym padole łez i bólu, promyku oświetlającego nam tę ostatnią Gólgotę i święty ty nasz ogniu zarazem, zaprawko piwna najśodsza ty nasza, nie zlitujesz się nad nami, rabami twoimi...

Sprzedawca słuchał tej litanii z wyraźnym upodobaniem. Nawet kiwał lekko głową.

– A może my pójdziemy jeszcze na dworzec – zaproponował Elegant.

Ale Jan Łuczywek dość już miał Eleganta. Za tę swoją bezwolność właśnie. Zawsze tak wszystkim ulegał. Jak manekin dawał się powodować to tu, to tam.

– Nie – powiedział więc porywczo i odszedł bez pożegnania.

Zniknął w mglistej ciemności. Już wiedział, gdzie pójdzie.

MOCNY CZŁOWIEK

Wspinał się pracowicie na piąte piętro. Stary dom, wysokie schody, ciężka to była droga. Dyszał i łomotało mu w skroniach. Pukał, długo pukał. Wreszcie kaszel za drzwiami, rozdzielające ziewanie i ten znajomy głos: – Kto tam? – Powiedział. Drzwi uchyliły się. Przed nim On. Nic się nie zmienił, choć nie widzieli się dwa lata. Barczysty, w siatkowym podkoszulku i kąpielówkach, łydki gęsto poznaczone żyłakami. Nic się nie zmienił. I wcale nie zdziwiony.

– Ja tylko na chwilę – powtarzał Jan Łuczywek – przepraszam, tylko na chwilę... – patrzył na Niego z uwielbieniem. Stary znajomy, jeszcze z okupacji. Cenił go za siłę i nieustępliwość. Miał po pięćdziesiątce, osiem lat starszy od niego. Ale ciągle taki sam. Mistrz jego młodości. Mocny jak głąz, na szeroko rozstawionych nogach, zwarty, z wysuniętą lekko do przodu głową.

Więc i tym razem, zataczając się i przewyciężając w sobie pijacki chaos, prosił go o to samo.

– Powiedz, powiedz, jak żyjesz?

– Zwyczajnie... – odparł ten krzepki mężczyzna, przeciągnął się, mięśnie zagrały mu na rękach, pierś pokryta siwym włókiem jak puklerz – nie dają się szarańczy. – To „r”, które wymawiał bulgotliwie, podkreślało upartą zawziętość. – Wciąż pytasz o to samo – uśmiechnął się życzliwie – wtedy też, co zrobić, żeby nie mieć stracha, pytałeś, pamiętasz?

– Pamiętam – żarliwie zapewnił Jan Łuczywek – a ty odpowiedziałeś, bez strachu nie ma życia, jedno jest tylko konieczne, trzeba umieć dusić w sobie ten strach...

– Bo inaczej strach cię zadusi – podjął tamten i powoli, z upodobaniem zacisnął dłoń w pięści.

– Wtedy to było takie proste – żałośnie zabrzmiał głos Jana Łuczywka – a teraz? Czasem to jak pies skomlę do tamtego, i nic, nie ma powrotu, wszystko jest pogrzebane...

– Nic nie wraca nigdy – powiedział twardo tamten – zostaje tylko doświadczenie i trzeba umieć z tego korzystać... – Jeszcze bardziej rozstawił nogi i naprężył mięśnie. Lubił ten chciwy podziw Jana Łuczywka. – Tak było niedawno właśnie. Idę sobie ulicą, a tu taki cwaniak

potrącił mnie, aż się zatoczyłem. Ja do niego, uważaj, młodzieńcze. A on, cicho, dziadu. Patrzę na niego, zdrowy, zuchwały byk. Poczulem strach, ale ze strachem jeszcze daję sobie radę. Więc wyprowadziłem z lewej, nie spodziewał się tego. Padł jak ścięty. A ja, uważaj na przyszłość, kolego. I poszedłem sobie.

Jak chłonał tę prostą, zwykłą opowieść Jan Łuczywek! Przeżywał ją i widział, jakby sam w tym.

– I ja kiedyś... – odezwał się nieśmiało – też umiałem sobie dawać radę, prawda?

Tamten nie usłyszał. Coś sobie znowu przypomniał i roześmiał się. Ten śmiech jak warczenie złego psa.

– Tak musi być... – powiedział – ciągle trzeba uważać, tak samo w robocie, kierownik do mnie podskakiwał, ciągle się czepiał. Nie może znieść, że ja robię swoje lepiej od niego. Więc do mnie z krzykiem. A ja nic. Tylko patrzę na niego. Ale ręce już same do akcji się szykują – stare doświadczenie. Ręka nauczyła się myśl wyprzedzać. Bardzo to się czasem przydaje... – ten stary, zwarty mężczyzna przez chwilę jakby w swój głos się wsłuchał. Zbyt teatralną siłą huczał jego głos. Wyraźnie to poczuł. Więc spojrzął niepewnie na Jana Łuczywka. Ale ten ciągle patrzył na niego z podziwem.

– Naprawdę, naprawdę? – zachłystywał się Jan Łuczywek. Rozpierała go wprost nadzieja. Dużo chciał zmienić w swoim życiu.

*

Światło sączyło się przez szparę w drzwiach. I szelest jakiś posłyszał. Więc jeszcze nie spała. Poczul raptowny głód. Zaglądał do garnków. Puste. Walił pokrywkami. Ten grzechot wyolbrzymiany nocną ciszą odpowiadał mu szczególnie.

– Gdzie obiad? – z rozmachem otworzył drzwi i stanął w progu pokoju.

Wrogie i odpychające wnętrze. Politurą błyszczą pudło telewizora, oszklona biblioteczka, asparagus na podstawce zwisa do podłogi cienkimi gałązkami, jak zielone glisty czy gąsienice te gałązki. Wzrok nie mógł znaleźć na niczym spokojnego oparcia. Odszukiwał od tych zazwyczaj obojętnych domowych przedmiotów. Całe to wnętrze cisnąć i napierać na niego zaczęło. Nocna lampka oświetlała twarz żony. Płakała. Monotonne, ciche zawodzenie. Chude ramiona poruszały się kurczowo. Poczul litość. Wychudzona twarz, zmarszczki ostro zaznaczają się na niej.

– Chora jestem... Od rana już tak okropnie się poczułam. – Wielkie, wytrzeszczone oczy wlepiała w niego.

Litość w nim. Taka spokojna, oddana. Tyle lat razem. I ta twarz tak wymizerowana teraz, zniszczona, to też dowód, ile tych lat.

– Gdzie obiad? – powtórzył i przymknął oczy. Stłamsił w sobie litość. Litość... A potem przyjdzie bezsilność. Nie chciał się poddać w żaden sposób.

Więc rozstawił szeroko nogi, znowu wróciła energia. Ta energia domagała się ujęcia. Popatrzył na żonę. Jej twarz świeciła tłusto. Zawsze przed snem smarowała się kremem.

– I czekam – chlipała – nawet oka nie zmrugałam. Cała jestem rozpalona od gorączki.

Właściwie nie słyszał tego, co mówi. Ciągle mocował się z sobą. Patrzył na nią. Notował wszystko, co mogło odpychać go od niej. Rzadkie, rozsypane na poduszce włosy. Płacz krzywił twarz w brzydki grymas.

– I Zbyszek też nie wrócił... – doszły do niego jej słowa.

Zbyszek! Ogarnął go popłoch. Nie wrócił. Przypomniał od razu wyzywające wyznanie z pamiętnika: Podjąć ryzyko. Zrobić coś... Te słowa nie opuszczały go przez cały dzień. Teraz jak dzwonek alarmowy. Podszedł do łóżka.

– Więc nie ma nic do żarcia?! – Już tylko myślał o swoim chłopcu. Był jego dumą. Jednak. Chłodne, pogardliwe spojrzenie. Wrogi głos. Jego pijana, skołatana głowa już tylko wy-

pełniona tym. – To ja cały dzień haruję jak wół – aż zachłysnął się – tyle już lat. A ona... w domu siedzi i chora! Chora, psiakrew!

– Piłeś – powiedziała.

– To moja sprawa – rozżłościł się jeszcze bardziej.

I tak miotnął spojrzeniem pełnym paniki po pokoju. Spojrzenie prześliznęło się po szafie. Zaraz do niej powróciło. Przypomniawszy sobie. Tam pod bielizną... Podbiegł do szafy. Niecierpliwie grzebał na półkach. Wsunął dłoń pod stos ręczników. Są. Pieniądze na komorne, światło i gaz. Trzysta złotych. Wsunął do kieszeni. Już ani razu nie spojrzął na żonę. Nie chciał. Znowu coś mogłoby pęknąć, załamać się w nim. Przez chwilę smutek w jej oczach sobie wyobraził. Taki bezbronny, paraliżujący.

– Nie ma obiadu! – jeszcze raz wrzasnął bezsensownie.

Wybiegł z mieszkania. Słyszał za sobą jej płacz. Pomyślał o swoim chłopcu.

– Kamikaze – powiedział.

Czuł jednak podziw dla niego. Ten podziw dodawał mu skrzydeł z sekundy na sekundę. Co on robi teraz?

– A o ojcu co sądzi? – zawiesił pytanie bez odpowiedzi.

«PARADIS»

Kłęb pijanych ciał wyginał się i podrygiwał. Były te ciała jak popsute mechanizmy, jeszcze nakręcone, ale już pozbawione kontroli i poczucia kierunku. Płaszące w ostatnim tańcu. Pozostał tylko jeden odruch. Wszyscy oni uporczywie walili pięściami w drzwi tego nocnego lokalu, nad którym migotał neon w trzech kolorach. Portier wpatrywał się bacznie w tę chybotałą gęstwę, niekiedy uchylał drzwi, nogą odpychał jak sforę psów co bardziej natrętnych i oznajmiał donośnie: – Miejsc nie ma!

W tym krótkim momencie niektórym udawało się wsunąć w jego dłoń banknot. Wtedy sprawdzał wysokość okupu. I zależnie od uznania wpuszczał ofiarodawcę, a czasem krzywił się pogardliwie, oddawał banknot lub nie, ale nie wpuszczał. Wtedy smutek lub wściekłość odtraconego. Bezsilne bębnienie w drzwi. Zła satysfakcja za szybko. Taki to był raj trudno dostępny i jego czujny cerber, rosły chłop o twarzy tępej i bez uśmiechu.

Jan Łuczywek rozepchnął energicznie tych miotających się przy wejściu i kopnął parę razy w drzwi. Zamasyście to zrobił, aż zadzwoniły szyby. Portier przyjrzał mu się uważnie. Za chwilę szeroki, przymilny uśmiech okrasiał jego twarz. Drzwi też otworzył natychmiast. Wpuścił go do wnętrza, odpychając niezwykle sprawnie wszystkich innych, którzy chcieli się wcisnąć za nim.

– Witam, witam pana prezesa – przygiął się w niezgrabnym, niedźwiedzim ukłonie.

Jan Łuczywek wcale nie zdziwił się tym gościnnym przyjęciem. Czuł ciągle siłę i pewność niezwykłą w sobie. Nie opuszczało go to ani na chwilę. Spróbował nawet poklepać cerbera po obwisłym policzku. Portier przyjął tę pieszczotę z zadowoleniem i jeszcze szerzej się uśmiechnął. Gościnnie zapraszał dalej. Więc Jan Łuczywek był już w przedsionku. Bo do baru i sali tanecznej prowadziły jeszcze jedne drzwi, osłonięte grubą kotarą. Stamtąd buchała muzyka i śpiew. Jan Łuczywek skierował się do tych następnych drzwi. Stąpił zamasyście, a ręce wsunął niedbale do kieszeni. Pogwizdywać zaczął do melodii, płynącej zza kotary. W tej euforii skorzystał nawet z własnego nazwiska. Poczul się łuczywem zapalonym w ciemności. Rozkoszował się tym skojarzeniem.

– Łuczywo... – powtarzał sobie.

I po raz pierwszy podobało mu się własne nazwisko.

Kotara uchylila się nieco. Na sali pogasty światła, tylko parkiet jasno oświetlony i na nim śpiewaczka w srebrnej sukni. Jan Łuczywek posłał jej dłonią całusa. Wtedy to portier zmarsz-

czył czoło. Zamyślił się intensywnie. Naraz wydał gniewny poryk i pobiegł za Janem Łuczywkiem. Chwycił go za rękaw.

– Panie!... – portier zawiesił głos i przyjrzał mu się z napięciem. Jeszcze wahał się. Ale to wahanie krótko trwało. – Przecież ja ciebie nie znam! – już była w nim tylko złość bez wątpliwości.

Odciągnął go brutalnie od kotary.

– „...a ja ciebie nie oddam nikomu” – śpiewała kobieta w srebrnej sukni.

– Podszywasz się, łachudraku! – zaryczał portier.

I wszystko ledwie parę sekund trwało. Zawirował Jan Łuczywek, uniesiony siłą spotęgowaną przez wściekłość. Poczł kilka bolesnych uderzeń i drzwi otworzyły się z łoskotem. Kopniakiem został wyrzucony na ulicę. Upadł na chodnik. Zagasło to łuczywo zapalone w ciemności. Posłyszał śmiech zebranych przy wejściu. Jeszcze plugawe wyzwiska portiera. Leżał na wznak. Patrzył w niebo. Ale nawet gwiazd nie zobaczył. Bolało go ciało. Bolała go głowa. I tak leżał. Nie wiedział, jak długo. Potrzaskany cyferblat zegarka na ręku nie wskazywał już czasu. Wstać nie mógł. Ale też nie wiedział na pewno. Nie próbował wcale. I nie myślał wcale. Ktoś pochylił się nad nim. Młody. W wieku jego syna zapewne.

– Co, bardzo boli, biedny ociec, wstać nie może... – współczucie w głosie chłopaka. Otwarta, jasna twarz. – Poleżeć trzeba i przejdzie – znowu głos chłopaka.

Jan Łuczywek nadal obojętny. Świadomość rejestrowała tylko fakty. Podszedł. Pochylił się. Mówi.

Młody kucnął teraz i sprawnymi rękoma zaczął rewidować jego kieszenie.

– No, gdzie masz szmal? – ze złością się. Bez życzliwości wpatrzył się w leżącego. Potrząsnął nim jak łachmanem. – Nie udawaj gapy! – szczypta boleśnie w policzek.

Ale Jan Łuczywek nie zareagował i na to. Choć po chwili chciał powiedzieć młodemu czy chociaż pokazać, gdzie są pieniądze. Ale ani gestu, ani głosu nie mógł z siebie wydobyć. Nie mógł czy nie chciał? Też nie wiedział. Młody zastanawiał się chwilę, przygryzając wargę. Chwycił go pod rękę, uniósł nieco i sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Tam były pieniądze właśnie. Przeliczył i uśmiechnął się. Poklepał leżącego po policzku.

– Mało, bo mało ociec ma pieniędzy, ale zawsze...

W wieku jego syna ten młody. Ta sama jasna twarz, zauważył Jan Łuczywek mimochodem. I nic. Zobojętniał.

– Cześć! – powiedział młody.

Tupot jego kroków. Bieganie. Nic już nie słyhać. Więc leżał Jan Łuczywek pogrążony ni to we śnie, ni na jawie. To łuczywo tak krótko zapalone w ciemności zagasło już zupełnie. I była już w nim tylko pustka głucha. Nic, żadnego żalu, rozpacz czy gniewu. A kiedy uniósł nieco głowę, to przed oczyma zamigotał mu jaskrawy neon tego nocnego lokalu. Trzy kolory, zielony, niebieski i czerwony, przecinały ciemność, gasły i znowu się zapalały, powtarzając: – „Paradis”, „Paradis”, „Paradis”...

Widzę go, widzę

Tą wczesną godziną ranną jechali z truskawkami do skupu. W kilkanaście furek z tej wsi jechali. Trzecim wozem w kolejności Stryju Bolek, obok siedział jego Brat z Miasta, a z tyłu syn, ten Stasio, co na kawalerce dotąd żyje. Miętko szły wozy brukiem, wszystkie na gumowych kołach. Tylko z samego końca brzęki i grzechot dało się słyszeć.

– Suchy Tyłek – powiedział Stryju Bolek – ostatni, co jeździ na obręczach.

Jego syn Stasio zaśmiał się wzgardliwie.

– Suchy Tyłek? – zainteresował się Brat z Miasta.

– No, ten od Zielińskich – przypomniał mu Stryju Bolek – co to w wojnę Niemcy tak go pałą po zadzie sprali...

– Prawda to? – zapytał Stasio. – Podobno całe mięsiwo z zadu mu wysieпали... Stryju Bolek przytaknął. Stasio zachichotał.

– Knut okupanta bezlitośnie nas bił... – powiedział Brat z Miasta, który był nauczycielem – hekatomba naszej... – ale urwał naraz.

Z boku wzbijając kurz przemknął motor. Koń spłoszył się i wozem zarzuciło.

Stryju Bolek oburącz przytrzymał rozchybotane skrzynki z owocem i zaklął w ślad za tumanem kurzu.

– Walczak... – stwierdził jego syn – w mieście robi...

Zagrody już się skończyły. Rzadki las po jednej stronie, a z drugiej łąki przykryte sinawymi mgłami aż do rzeki. Brat z Miasta rozglądał się i w głos przypominał:

– Wiśniewskiego łąka... Tu stał wiatrak... Za krzyżówką kuźnia tego Żyda, no jak mu tam?

– Abramek – podpowiedział Stryju Bolek.

– A tu droga do Miękin nad rzeką – wyciągnął rękę Brat z Miasta.

– Pamiętasz, Antoś – Stryju Bolek poklepał brata po kolanie.

– Rodzinne siedlisko – powiedział z powagą Brat z Miasta. Stary już był, czas poczuł, co do końca ucieka, i westchnął.

Tymczasem Stryju Bolek puścił konia stępa i w skrzynkach z truskawkami zaczął gmerać. Co lepsze wybierał i tak po wierzchu nimi tkał.

– Bier się i ty! – fuknął na syna, który zagapił się przed siebie i ziewał.

Więc i Stasio truskawki zaczął układać. Tak układali sobie, a koń szedł spokojnie, równiutko za tym wozem, który jechał przed nimi. Szarówka przerzedziła się i widać było, że na innych wozach gospodarze nie próżnują. Też gmerali w skrzynkach z owocem.

Już dojeżdżali do osady. Brat z Miasta ciągle sobie znajome miejsca przypominał. Stryju Bolek wyprostował grzbiet. Spojrzał na dłonie całe czerwone od owocu.

– Jak krew – powiedział i wycierać zaczął o spodnie. Potem schylił się jeszcze raz, wybrał z najbliższej skrzynki wielką jak bulwa truskawkę i zapraszał brata do smakowania.

– Dorodny owoc... Murzynek... Weźże, Antoś.

*

Truskawki należycie poszły. Stryju Bolek bardzo był zadowolony. Gatunek trzeci za drugi, a drugi za pierwszy. Nie mogło być lepiej. Tylko buch, buch, z wagi na bok i po wszystkim.

No, waga może nie za dobrze wytarowana, ale i ten od wagi zarobek swój musi mieć przecież.

– Rozliczymy się – szepnął na odchodne Stryju Bolek kierownikowi skupu. Grzegorzcyk on się nazywał. Kierownik nieznacznie pokiwał głową, świecił mu się pysk i oczy, w tuszczu

całkiem zagubione. Mieli oni ze sobą swoje obrachunki. A zaraz jak tylko odeszli od wagi, to tam podniosła się wrzawa, krzyk, śmiech. Suchy Tyłek wyklócał się o swój towar. Krzyczał i śmieli się z niego gospodarze. Niedojda, zawsze mu tak jak nie trzeba wychodzi. Ale ten śmiech wygasł zaraz. Do wagi podeszli dwaj stryjeczni jego bracia, Zielińszczaki. Z tymi nie ma co zaczynać. A Suchy Tyłek choć nie ich rodzony, ale zawsze ta sama krew. Dorodni i zbójowaci ci bracia. Wysocy, w plecach rozrośnięci i z oczu im krzywo patrzy.

A oni tak sobie odchodzili. Stryju Bolek z uśmiechem. Stasio też zacierał ręce, bo obiecaną miał z tego owocu kurtkę ortalionową do motoru.

– Czy aby uczciwie? – zaniepokoił się Brat z Miasta. Miał prawo tak mówić. Starszy od Bolka o dobre paręnaście lat i jeszcze w czteroklasówce uczył go litery stawiać.

– Jakże by nie, Antoś – Stryju Bolek pokiwał głową i uśmiechnął się po swojemu, zgodnie a chytrze. Czknął raz, drugi. – Pustym odbija mi się – stwierdził.

Zaprosił brata do gospody. Rozglądał się też za synem. Ale ten gdzieś zawieruszył się. Pewnie z koleżkami na ćwiartkę się zmawiał. Machnął Stryju Bolek ręką. Niech sobie popije. Brata serdecznie pod ramię ujął i ruszyli. W gospodzie już był tłok. Ci, co towar pierwsi sprzedali, tutaj siedzieli. Ale i dla nich miejsce się znalazło. Zamówił z bufetu Stryju Bolek dwa jajka, boczek, piwa i ćwiartkę. Z czerwoną jak zwykle kartką tę wódkę. Ale przez chwilę zawahał się.

– Może jakąś lepszą – zwrócił się do brata.

– Wódka... – skarcił go Brat z Miasta – gubiła nie tylko poszczególne jednostki, ale i całe narody... – I tak sapać, puchać zaczął. On tak zawsze, jak watek mu się urwie albo popłacze. A urwał mu się, bo jak z bratem nie wypić.

Więc na ćwiartce z czerwoną kartką stanęło.

– Znam ci ja tę cholere... – stuknął Stryju Bolek w butelkę – z nią trzeba mądrze... – I nalał w kieliszki z grubego szkła.

Wpierw kelnerka przyniosła musztardówki, ale zganił ją spojrzeniem, zrozumiała i kieliszki właśnie postawiła przed nimi. Zad ona miała wielki jak kufer.

– Tak nim dryga... – zaśmiał się Stryju Bolek – jak końska dupa do bata... – Próbował nawet uszczypać ją w ten zad, ale wywinęła się zręcznie. Spoważniał Stryju Bolek i dodał: – Malinowszczańka... Malinowskiego Józefa też uczyłeś, pamiętasz?

– Który to rok? – zastanowił się Brat z Miasta. Nie mógł przypomnieć. – Całkiem czas mi się poplątał – zamruczał z rezygnacją.

Od sąsiedniego stolika ukłonił mu się wąsaty gospodarz. Tak po staroświecku wstał i w pas się zgiał. Siwy, w latach posunięty. Pewnie jakiś rówieśnik. Ale też nie mógł go sobie przypomnieć.

Wypili bracia i odchrząknęli. Stryju Bolek znieruchomiał zapatrzony w ścianę z państwowym godłem nad bufetem. Jeszcze raz przeliczył sobie w pamięci, ile mu z truskawek wyszło. Do takich rachunków głowę miał szybką. Przerachował sprawnie.

– Akuratnie... – zaświeciły mu się bystre niebieskie oczy, głęboko schowane pod krzaczastymi brwiami. Ponownie nalał i wypili. Podobni do siebie bracia. Niewysocy, wężłaści i mimo siwych głów brwi jeszcze czarne, a pod nimi chowały się głęboko małe niebieskie oczy.

I tak sobie po bratersku pogadywali. O dochodach z upraw rozmaitych Stryju Bolek opowiadał.

O tym, kto z dalszej rodziny żyje, a kto umarł. O zdrowie bratowej i bratanka również nie zapomniał spytać.

Naraz zadzwoniło szkło i gwar się silniejszy podniósł. To przy bufecie szarpał się pijany, który uparł się, żeby z bata strzelać. W takiej ciszbie jak nic mógłby ludzi osmagać. Ledwo go za drzwi wypchnęli.

– Pewno tak jak ty profesorem został – wyraził Stryju Bolek przypuszczenie o zajęciu bratanka. Ale jak do gospody weszli ci dwaj bracia Zielińscy i tak w progu stanęli, to od razu

wątek swój urwał. Wpierw rysim spojrzeniem omiółł przybyłych, potem głowę nisko opuścił.
– Nie ma go – powiedział głucho i nosem siapnął.

Brat z Miasta od razu wiedział, w czym rzecz. Westchnął. Obaj to samo pomyśleli. O Marianku pomyśleli. Trzy lata będzie, jak bez śladu zginął Marianek. I nie ma już Marianka. Stryju Bolek znowu nosem stąpnał. Powoli uniósł głowę. Z trudem otrząsał się z ponurego zamyślenia.

– Stasio już nie taki – powiedział – senny jakiś, do roboty się nie rwie, niby bliźniaki, a niepodobni... – W milczeniu ostatni raz wypili. Do domu czas było wracać.

*

Stasio wyprzęgał konia. Stryju Bolek pokazywał bratu gospodarskie obejście. Tak się rozkraczył jak dziedzic i pokazywał. Budynki murowane, elektryczność do nich podłączona.

– Kosztowało to mnie – wzdychać zaczął – tylko dawać im i dawać... Nie dasz, to tak ci zrobią, że zaraz się popsuje...

Studnia z cementowych kręgów. Zakręcił korbą, chodziła miękko i bez zgrzytów. Otworzył wierzeje stodoły. Nowa żniwiarka tam stała.

– Robię, co mogę – mówił Stryju Bolek, jego małe jak paciorki oczy zaświeciły intensywnie. – Od świtu do nocy. A wyreki wiele nie mam. Tylko Stasio i baba... Baba robotna – dodał. – Spojrzał niepewnie na brata. – Baba... – powtórzył – potrzebna była. Sam nie dałbym rady. Brat z Miasta pokiwał ze zrozumieniem głową. Bardzo podobni obaj. Tylko w rękach różnica. Stryju Bolek graby miał wielkie, sękaty i odmrożone. Brat z Miasta małe i niewypracowane.

Tak kręcili się po podwórzu. Stasio usiadł na progu stajni i w niebo się gapił. Stryju Bolek psa kudłatego, który na brata rozszczękał się nagle, w brzuch kopnął i do budy wpędził.

– Nie zna ciebie, Antoś – rzekł – rzadko przyjeżdżasz... Po mojemu najmarniej dwa razy w roku powinienes... W świętego Rocha i na Zaduszki groby poodwiedzać...

Brat z Miasta sapnął i zapuchał. Zawstydził się wyraźnie. Coś zamamrotał niezrozumiale. Kudłaty pies wychylał łeb z budy i zęby do niego szczyrzył.

Stryju Bolek ze złością popatrzył na Stasia zagapionego w letnie błękitne niebo.

– Koniowi siana zadaj, psiawiaro! – huknął.

Stasio poderwał się i do siana pobiegł.

Bracia do płotu podeszli. Za płotem ogródek niewielki, stara grusza piorunem rozorana, dalej sąsiedzkie zabudowania. Oparł się Stryju Bolek o płot, twarz mu się ściągnęła.

– Zielińskie... Nie ma tygodnia, żeby coś... a to kurę uduszą... truskawki stratuja... w moim lesie chojaka wycięli – wzburzył się i dłonie na sztachetach zacisnął. – Wtedy na zabawie oni też byli... Bandycka krew... – Trzeszczały sztachety, na dłonie grube żyły mu wylazły.

– Tak nie można... – uspokajał go brat – to są tylko poszlaki...

Na dachu sąsiedzkiej stodoły bocianie gniazdo. Skrzypnął żuraw i zaczął w dół opadać.

– Zielińscy – powtórzył Brat z Miasta.

Sam jeszcze pamiętał. Ojciec żarł się ze starym Zielińskim. O przejazd im się rozeszło. Z kołami do siebie postąpili. W wojnę znowu donos tamci podesłali, że trzody chlewnej nie kolczykują. Jego brat w odwet o kontyngentach zbożowych należycie nie odstawionych. Przepraszali się potem i w odpust św. Rocha do siebie przepijali. Ale nic to. Sąsiedzka nienawiść nie wygasła. Raz po raz wybuchała ogniem.

Wpatrzyli się obaj bracia w bocianie gniazdo na dachu sąsiedzkiej stodoły. Bocian dziecko przynosi.

...Już trzy lata minęły, jak zginął Marianek. Wieczór był sobotni, zimowy i w tej wsi nad rzeką była zabawa. Szykowali się młodzi, szykował się też Marianek. Już gotów, już miał wychodzić. Jeszcze buty ostatni raz przeczyścił, jeszcze w lusterku włosy przyczesał. Już był w sionce, ale wrócił zaraz. Czegoś szukał, zatrzymał się przy kubie z wodą, zaczerpnął kwartą z wiadra. Już go z drogi wołali. Jeszcze w progu stanął i tak spojrzął po izbie. Długim spoj-

rzeniem izbę omiół. Ci z drogi – Marian, a Marian! – wołali. Poszedł więc. Taki to był wieczór sobotni, zimowy. Głosy chłopaków na drodze, skrzykują się i śpiewają. Coraz dalsze. Wreszcie zacięły zupełnie. Siedział Stryju Bolek przy piecu i powoli senność go rozbierała. Oczy przetarł, ziewnął i poszedł z pierwszą żoną nieboszczką do wieczornego obrządku. Szybko się z tym uwinęli. Stryju Bolek po obejściu się jeszcze pokręcił, psa z łańcucha spuścił, w niebo popatrzył i do chałupy wrócił. Pierwsza żona nieboszczka już w koszuli pod świętym obrazem modlitwę odmawiała. Przyklęknął i też odmówił. A rankiem następnego dnia nie wrócił Marianek. Rano się jeszcze nie martwili. Kawaler, mógł gdzieś z panną zabałaganić. Ale nie wrócił też w południe. Wtedy już złość naszła Stryju Bolka, obiecywał sobie, że lejcami mu przyłoży. Pierwsza żona nieboszczka zaczęła popłakiwać. I wieczorem nie wrócił Marianek. Stryju Bolek po chałupach poszedł. Mało co się jednak wywiedziało. Na początku chłopaki z tej wsi trzymali się kupą. Stali sobie pod ścianą w tej remizie, gdzie była zabawa. Potem też kupą do bufetu się wybrali. Jeszcze później w krzakach swoim samogonem, co to w kieszeniach przynieśli, poprawili. Zakurzyło się im we łbach i każdy w swoją stronę. Dziewczyny sobie wypatrywali i do tańca z nimi. Marianek też tańczył jak inni. Później już nikt go nie widział. Przed świtem skończyła się zabawa, śnieg wtedy zaczął padać gęsty. Panny zaczęły do domów odprowadzać. A ci, co nie odprowadzali, skrzyknęli się i kupą wracali do swojej wsi. Marianka między nimi nie było. Zielińszczaków też nie było. Meldunek złożył o wszystkim Stryju Bolek i milicja wzięła sprawę w swoje ręce. Śmieli się z początku, komendant i inni, na Zachód pewnie uciekł, powiadali, szczęścia chce tam poszukać. Świadków zaczęli przepytywać. Zielińszczaków też. Ale nikt ich przy Marianku nie widział. Po swojemu, zbójcka ich mać, trzymali się z daleka. Jeden świadek, nawet nie z tej wioski, ale z tamtej, mówił, że coś jakby... Ale co on tam powiedział. Coś mu się zamajaczyło, jakby ktoś wołał Marianka od drzwi. Chodził do niego Stryju Bolek z wódką i przyciskał. Ale on tylko: coś mu się zamajaczyło, nic nie wie, nic nie widział, koniec. Tylko płochliwy był za bardzo i w oczy prosto nie patrzył. Jeździła milicja do wsi nadrzecznej, ludzi tamtejszych też maglowała. Nikt i tam nic nie wiedział. Tylko ta panna, co z nią Marianek na zabawie tańczył, Sierotówna się nazywała, to ona strasznie płakała. Szukali po torfowiskach, doły tam takie z wodą, głębokie. Żerdziami przegarniali. Ale nic nie znaleźli. Śladu nawet najmniejszego. A może słabo szukali? Kto to wie. Szwagier Zielińszczaków coś za bardzo kręcił się przy nich. I rzeka nikogo podobnego do Marianka nie wyrzuciła. Raz do miasta wzywali, że ktoś jakby podobny. Pojechać wtedy Stryju Bolek nie mógł, żniwa akurat. Pierwsza żona nieboszczka pojechała. Pokazali jej trupa rozmiękłego aż strach, ale to nie był Marianek.

Tak oto rozmyślał przy sąsiedzkim płocie Stryju Bolek. Brat z Miasta chyba też o tym samym. Na siebie popatrzyli i całkiem im się oczy pod grubymi, jeszcze czarnymi brwiami schowały.

– Wola boska – powiedział Brat z Miasta – i nic się już nie zmieni.

Akurat do płotu z tamtej strony kura zaczęła podchodzić. Biała kokoszka, dreptała sobie dostojnie, pogdakując z cicha i coś dziobiąc.

Stryju Bolek wpatrzył się w nią z napięciem.

– Ich – powiedział.

I tak sprężył się cały. A kura już łebek z grzebieniem między sztachety wsuwała. Stryju Bolek palce szeroko rozczapierzył i pochylać się zaczął powoli.

– Co ty? – zdziwił się Brat z Miasta.

Stryju Bolek przykucnął i chciał ją palcami za szyję cap! Ale kura szybsza. Odskoczyła z gdakaniem. Zawstydzil się Stryju Bolek i na brata zerknął. Ale ten udał, że nic nie widzi. Z nagłym zainteresowaniem zapatrzył się w inną zupełnie stronę.

Druga żona Stryju Bolka na obiad ich zawołała. Powoli odeszli od płotu.

*

Podjedli sobie żuru i tak przy stole siedzieli. Do roboty dziś Stryju Bolek głowy nie miał. Tylko Stasia w pole popędził. Druga jego żona, Fredzia, przy kuchni drzemała. Stryju Bolek podparł brodę pięściami i dumał. Od miesiąca już go to męczyło. Wreszcie ośmielił się i bratu powiedział. Przychylił się i szeptem zaczął. Potem coraz głośniejsze, zacinając się i sapiąc. Z brata uczony człowiek i wyśmiać może jak nic. Ale wzburzył się tak, że krzyczeć już prawie zaczął.

Druga jego żona, Fredzia, ocknęła się z drzemki i – Boże, Boże – tylko powtarzała. Ale Brat z Miasta nic nie wyśmiał. Nawet jakby nad tym się zastanawiał.

– Może telewizję nastawić? – odezwała się Fredzia.

Stryju Bolek ręką machnął.

– Będzie rok jak mamy – powiedziała z dumą druga jego żona.

Uparła się, żeby gościa do pokoju prosić i telewizyjne pudło mu pokazywać.

– Daj spokój, Fredzia – zniercierpliwiał się Stryju Bolek. Spojrzał na ścienny zegar z wahadłem. Poruszył się niespokojnie. – Musowo, trzeba iść – powiedział jakby do siebie. – Wstał, kwartą z wiadra wody zaczerpnął, wypił duszkiem.

– Boże – znów zamamrotała druga jego żona, Fredzia.

Zegar wybił piątą.

Stryju Bolek pokręcił się po kuchni i na brata cały czas zerkał.

– Pójdź, Antoś – rzekł wreszcie.

Brat z Miasta wahał się przez chwilę. Ale poszedł. Odprowadzało ich strachliwe spojrzenie drugiej żony gospodarza.

*

Ten wróż sławny był w okolicy. Jak nic już nie pomagało, do niego ludzie szli. Z eteru wróżył. I choć ksiądz na niego czasem z ambony krzyczał, a władze też przycisnąć chciały, to co mu można było zrobić – nic.

– Po radę do mnie przychodzą – odpowiadał – boży i człowieczy obowiązek pomóc...

Więc w ostateczność zawsze do niego szli. Tak i tym razem. Przemykali się opłotkami. Ścieżką przy olszynie do szosy. A szosą kawałek do krzyżówki. To było za szosą. Chałupa stara, z dziurawą strzechą, przewrócony płot. Na płocie spasiony kocur siedział i na ich widok ani drgnął. Weszli do ciemnej sieni. Stryju Bolek przeżegnał się zamasyście. Zapukał. Jego brat chrząknął zmieszany. W izbie też ciemno. I cuchnęło zaprzalym, dusznym gorącem. Po-zamykane szczelnie okna, aż zatykało od duchoty. A jak podeszli bliżej, to uderzył w nozdrza jeszcze inny zapach, przenikliwy, odurzający. To eter właśnie, czyli drapa, jak w tych stro-nach mówią. Dawniej sporo tego pili ludzie, rozcieńczając wodą, ciągnęli z cystern kolejowych. Teraz już mniej.

On, ten wróż, Stachowiak zza Szosy, leżał na barłogu. Jakby spał, bo ani się nie poruszył, ani nic. Tak z nim zawsze. Wejdiesz, a on nic. Czeka. Po porządku, jak było umówione, wyłuskał Stryju Bolek trzy setki z kieszeni, zawczasu przygotowane. Jeszcze raz przeliczył papierki, śliniąc palcem. Tyle brał wróż za przeszłość. Przyszłość więcej kosztowała.

Położył Stryju Bolek trzy setki na stole. Zakaszał. Potem butem zaszurał.

– Ochlał się za bardzo czy co – szepnął do brata.

Wtedy wyro zaskrzypiało. Wróż poruszył się. Spod kozucha, którym był przykryty, wy-ciągnął rękę. Wskazał na brata gospodarza.

– Chrzestny mojego Marianka – powiedział spieszenie Stryju Bolek.

Wróż całkiem kozuch odgarnął. Usiadł. Jeszcze nie stary, o twarzy chudej, wpadniętej i mocno zarostem pokrytej. Raczej zwyczajny taki. Tylko jak popatrzył na nich, a wzrok miał

ostry, jak szydłem w nich się wbijał, zrobiło się im nieswojo jakoś. Przesztopowali z nogi na nogę, sięść tu nie było gdzie. Brat gospodarza, miastowy nauczyciel, spocił się już i kołnierzyk koszuli dusić go zaczął, rozluźnił krawat. Wróż po omacku sięgnął dłonią pod wyro. Zadzwonilo szkło. Butelkę stamtąd wyciągnął. Chlupnął jeden łyk, drugi. Eterowym smrodem mocno poszło po izbie,

– Chceta? – głos miał ochrypły, wysunął do nich butelkę.

Grzecznie odmówili. Wróż butelkę odstawił i dłonie naraz na krawędziach pryczy zacisnął. Zatrzeszczało drzewo. Sprężył się, jakby coś go w zadek kolnęło, i opadł na posłanie. Głową w bok rzucił. W ścianę uderzył. Poszedł stuk głuchy. Ręką począł po podłodze zamiatać. Butelkę z drapą na powrót namacał. Ale już nie pił. Tylko lekko palcami ją obstukał. Ręka mu bezwładnie obwisła.

Głos jego przenikliwy posłyszeli.

– Przejaśnia się, przejaśnia, od błyskawic to czy z ręki Boga?, już dnieje, boży ład wziął górę, pierwszy kur zapiał, to z tamtym się przenika, jedno z drugim zaplata, żywioła żywiole nierówna, z nocki dzień wyszedł, nie przeszkadzaj mi, powiadam, nie przeszkadzaj...

Znowu się na wyrku sprężył, w piersiach mu zarzęziło i pięściami machnął.

Mimo woli o krok od wyrka się odsunęli.

– Odejdź, odejdź, przekłety, nie dasz mi rady!... – krople potu na czoło mu wystąpiły i ustami tak poruszał, jakby mocował się z czymś niewidzialnym, co mowę mu odjąć chciało. – Widzę go, widzę... płynie, płynie, woda to czy powietrze, woda, duża woda, rybów w niej pełno, a on większy od największej ryby, z wodą płynie, zanika, zanika, mam go, nie puszcze, dajcie mi, o, Ezechielu, Izajaszu i ty, Abrahamie, siłę na niego, modły do was zanoszę, płynie, płynie, porywista to woda, miota nim i zakręca, włosy mu targa, ciało wypełnia... – przez chwilę już tylko mamrotał niezrozumiale i śliną ich opryskał – ... głębia taka czarna jak smoła, dna nie widać, dziur tamuj pełno, a korzenie sturamiennie swe łapy wyciągają, miotnęło nim, oj, miotnęło, zarył tamuj i nigdy już nie wynijdzie... – znieruchomiał i zaraz po wierzch głowy kozuchem się nakrył.

Cisza w tej dusznej, pełnej eterowego smrodu izbie nastąpiła.

Wyszli, wysoko unosząc stopy. Oślepiło ich dzienne światło. Oddychali łapczywie. Jasny dzień, zieleń łąk i drzew, poryk bydła w pobliżu. Popatrzył Brat z Miasta i ręką gniewnie raz, drugi poruszył, tak to od tego zabobonu się oganiał.

– Z wodą spłynął i utknął... – Stryju Bolek przełknął głośno ślinę – chociaż wiadomo już, czego się trzymać, Panie, świeć nad jego duszą...

Przeżegnał się. Brat z Miasta uczynił to samo. Ruszyli szybkim krokiem, ale eterowy smród ciągle był z nimi.

*

Siedzieli przy stole. Był też krewniak, komendant straży pożarnej, wojenny partyzant, Sawa. Suchy, wysoki i dziobaty na gębie, w błyszczących jak lustro oficerkach. Według starej mody te cholewiane buty, co poruszył się, to skrzypiały jak nie wiem co. Ciekaw był komendant Sawa, co rzekł wróż. Też wybierał się do niego. Jego baba już trzeci raz poroniła i żaden doktor jak dotąd nie pomógł.

Frędzia, druga żona Stryju Bolka, wystawiła się z wieczerzą. Ponastawiała talerzy z kiełbasą, kaszanką, salcesonem i galaretką z nówek. Wszystko własnego wyrobu, niedawno bili świniaka. Zapraszała gościnnie. Najbardziej mężowego brata. Komendant Sawa wzbraniał się od jedzenia, ale jak sobie wreszcie nałożył, to całą kopę od razu. Stryju Bolek wyraźnie poweselał. W humorze był, jak z rana po truskawkowym skupie, i ta cała zółć z powodu Marianka już mu odeszła. Wróż tak mu dobrze zrobił.

– Bo powiem ci, Antoś... – zwrócił się do brata – ja życie znam, tysiące ludzi przerzuciłem swoim okiem i wiem, komu wierzyć, a komu nie... – Tak powiedział i popatrzył badawczo na brata. Brat z Miasta wstrzymał się od odpowiedzi. Stryju Bolek nie przyciskał go wcale. Wiedział, w czym rzecz. Nie wypada bratu – tak – powiedzieć i także samo – nie – powiedzieć.

Tylko komendant Sawa przytaknął gorliwie.

– On ma takie coś, trzecią siłę, że tak powiem... – ściszył głos – żona przewodniczącego też u niego była... o męża kochanki wypytywała się...

I napuszył się jak kogut. Z tego Sawy kiedyś tęgi chwyt na baby, uganiał się po okolicy na motorze, a wypokojniał, odkąd w Miękinach nad rzeką przyłożyli mu tamtejsi, trzy miesiące przeleżał w szpitalu. Stryju Bolek cichutko zachichotał. Pewnie o tym właśnie przypomniał sobie. Potem spojrzął po stole. Kieliszki już puste. Więc z naganą do swojego Stasio. Nieruchawy jakiś ten Stasio, oczy przymknął, w nosie dłubie.

– Polewaj! – fuknął Stryju Bolek.

Stasio ocknął się spłoszony i czym prędzej zabrał się do napełniania kieliszków. Wódka jak zawsze tutaj w ilości należytej. Przy każdym stała wiśniowym sokiem barwiona półlitrowka. Brat z Miasta swoją odsunął na znaczną odległość i z kieliszka tylko połowę odpił. Ale Stasio tym razem czuwał i kieliszek mu zaraz dopełnił.

Komendant Sawa przepił do niego wytwornie.

– Zdrowie kuzyna... – zastanowił się i dodał: – profesora...

Wypili. Stryju Bolek jeszcze bardziej poweselał. Odchrząknął, poprawił się i zaczął swoją ulubioną opowieść ze służby wojskowej: – Jadę ci ja na przepustkę do domu, a tu pani piękna i elegancka do mnie woła: żołnierzu, pomożesz mi ponieść paczkę?, czy mogłem takiej damie odmówić, niosę jej tę paczkę, nie bardzo ciężka, wchodzimy do takiej kamienicy jak pałac, marmurowe schody, komnata niczym stodoła, stół pełen jadła i gorzały, a ona, psiajucha, pistolet do mnie wyciąga i: żołnierzu, przebij bagnetem tę paczkę!, nie wiem, co robić, aż tu naraz słyszę: głos cieniutki z tej paczki wychodzi, kwilenie takie, jak nic, dziecko, co robić, ona pistolet mi do głowy przystawia i mówi: przebij!, wtedy się obudziłem, a nade mną stał szef kompanii, straszny pies na rekrutów... – zakończył Stryju Bolek i do brata mrugnął.

Wszyscy w śmiech. Jeszcze opowiadał Stryju Bolek, jak na wschodzie służył przy granicy, a tam groźna banda Muchy grasowała.

– Kulki tylko śmigały, kolega koło mnie trupem padł... – twarz ruchliwa taka, świstał kule naśladując; widziało się ten biwak w lesie i bandytów gdzieś w chaszczach zaszytych.

– A ja – odezwał się Brat z Miasta – służyłem w jednym plutonie z profesorem Klemensiewiczem, był to wybitny językoznawca, kapral wziął się na niego – padnij, padnij – nim pomiałał, więc mówimy, trzech nas było studentów, panie kapralu, to jest profesor, a on: gównu dla mnie, nie profesor!...

Komendant Sawa też przypomniał sobie, jak to w wojsku będąc, nocą do pewnej kobiety zakradł się, a tu mąż wraca. Wstał, wysoki i prosty ten Sawa jak kij. Te oficery mu zaskrzyphiały. Stasio wpatrzył się w niego z podziwem.

– Znakiem tego ja – zawołał – bach, z pierwszego piętra po rynnie!!

Brat z Miasta próbował zachować powagę, ale cała broda latała mu od hamowanego śmiechu. Stasio, syn gospodarza, śmiał się najdłużej.

Więc tak jedli sobie i popijali. Kobieta czuwała, żeby talerze w czas napełniać.

A potem bracia ojca sobie wspomnieli, jak to pod koniec życia z trudem, lagą się podpieając, dreptał steczką oglądając, co się w polu dzieje.

– Człap, człap... – rozrzewnił się Stryju Bolek – na owies zerka, kłosy sprawdza, człap, człap, już jest przy łubinie... To był gospodarz – zakończył.

I tak między jedną kolejką a drugą chwila ciszy nastąpiła. Nie wiadomo skąd ta cisza przyszła. Może z rozrzewnienia? Westchnął Brat z Miasta. Westchnął też Stryju Bolek.

– Jak nic, Zielińszczaki – odezwał się nagle oczy mu się rysio zapaliły – oni tam byli...

– Jeszcze będzie się można z nimi zderzyć – wyrwał się z sennej zadumy syn jego, Stasio. Stryju Bolek nic na to nie powiedział, ale grdyka mu zagrała na wyschniętej szyi. Dopiero zauważywszy karcące spojrzenie brata, ręką machnął.

– Nie ma co – westchnął.

Komendant Sawa nappełnił kieliszki. Wypili i ta i zaćma odeszła. Druga żona gospodarza do jedzenia zapraszała.

– Widzisz, Antoś... – zwrócił się do brata Stryju Bolek. Pokazał na swoją żonę – jakie to robotne...

Była to kobieta duża, rosła i znacznie młodsza od niego.

– A też... – Stryju Bolek uśmiechnął się chytrze, jego małe oczy schowały się głęboko pod grubymi, jeszcze czarnymi brwiami – będzie drugi miot z mojej krwi.

Brat z Miasta z niejakim podziwem spojrział na brata, potem na bratową i chrząknął zakłopotany. Brzuch ta druga kobieta Stryju Bolka miała już mocno wydatny.

– Idźże, ty! – pogroziła mężowi. Odeszła zawstydzona pod piec.

Komendant Sawa mrugnął szelmowsko i zaśpiewał zdartym głosem:

– „O mój rozmarynie, rozwijaj się!”

Gdzie jest droga na Walne ?

Siedzieli w chałupie. Duszno, rój much, dzieciaki spały, najmłodszemu z pięć wlało w otwarte usta i tam jakby mościło się do snu. Godzina była przedpołudniowa, wrócili akurat z pola. Gospodarz młody, ale mocno brzuchaty, od piwa może, dużo tego trąbi. Przed godziną po wsi poszła wieść, że przywieźli do Lasu (PTTK – tak nazywali) transport „Łomżyńskiego”. Skoczyli tam motorami, w mig rozebrali i tak sobie siedzieli, flaszkę po flaszcze opróżniając. Było ich czterech, cztery skrzynki. Już trzy puste, jedna na drugiej ustawione. Pęcherze mieli wytrzymałe, od początku żaden nie wyszedł za swoją potrzebą. Tylko w dużym brzuchu Gospodarza bulgotało czasem, bekiem głębokim szło z dołu do ust. Dosiadł się do nich Magazynier z Miasta. Pił dopiero drugą butelkę, powolutku sączył. Oszczędzał się, przyjechał tu raczej odsapnąć, powietrza i wody zażyć. Zresztą z pustymi rękami się nie zjawiał, przywiózł dwie flachy ruskiego koniaku i na prawach mocnego gościa tu był. Siedział więc rozparty, upałem i odpoczynkiem rozleniwiony.

Mucha jak smyczkiem zarzępoliła na szybie. Gospodarz rozgniół ją palcem. Staroświecka waga, czyli bezmian, leżała na przypiecku. Patrzył Magazynier z Miasta i głową kręcił. Jak ważyć co na takiej. Na funty tam była miara. Tak sobie siedzieli. Nowin nie było żadnych. Tyle że stary sołtys na kosę stąpnął, a Czeška Zabłoczcza milicjant z tartaku motorem podrzucił, postawił mu ćwiartkę za grzeczność Zabłoczcza, i jeszcze widzieli ludzie, jak ta babka, co mieszka pod lasem, dolary liczyła, podeszli pod okno i widzieli, ale kto ich tam wie, może zwidziało się im.

Gospodyni przycupnęła przy dzieciakach, w trójkę na łóżku stłoczonych, podrzemywała. Gospodarz stał przy oknie i patrzył na swój traktor. Na zielono pomalowany, marki „Ursus”, z czerwonym siodełkiem.

- Hamulce nie trzymają... – powiedział – dwa razy już naprawiali i nic...
- Kiepsko naprawiają... – odezwał się Magazynier z Miasta – tacy teraz fachowcy...
- Musi tak... – przyznał Gospodarz.

Sąsiad przez Płot podrapał się po brodzie. Podpił już i kiwał się lekko. Popatrzył na świecą, czerwoną twarz Magazyniera. Znowu podrapał się po brodzie.

- Też zarost mam twardy, gęsty... – rzekł – byle jaka żyletka nie wybierze.
- Golić się można tylko angielskimi... – Magazynier z Miasta klepnął się po świecącym policzku – a potem kremikiem... Silver się nazywają – dodał – te żyletki.

– Gdzie takie dostać? – zainteresował się trzeci z nich, Czesiek Zabłoczcza z kolonii pod lasem, zwanej Wygwizdowem.

- Przyślę ci, Czesiu – powiedział łaskawie Magazynier z Miasta.
- Hamulce nie trzymają... – powtórzył Gospodarz spoglądając w okno – raz mały wsiadł i ruszyło...

- A co z koniem? – skojarzył Magazynier traktor ze zwierzęciem.
- Na łące się pasie, trawę żre, na nic już...
- Koń maszynie ustępuje... – przyznał Magazynier z Miasta. – Ładne bydlę...

Muchy bzykały. Usta Gospodyni też obsiadły.

– Byle jaka nie wybierze... – Sąsiad przez Płot myślał o żyletce i tarł brodę. Chrząściła tygodniowa szczecina.

– Należy splukiwać wodą... – odezwał się Magazynier z Miasta – bezwarunkowo nie wolno czyścić... – też myślał o żyletce.

W izbie panował onuckowo-upalny zaduch, bo gumki pościągali i zrzuciwszy też onuce poruszali zdrętwiałymi palcami stóp. Nowin nie było już żadnych, więc milczeli.

Przyszedł ten, którego nazywali Koniem. Chłop prosty i w plecach rozrosły, oczy miał pogodne i żółte mocne zęby. Ale nie z powodu zębów Koniem go nazywali. Przyszedł ten Koń, rozejrzał się po izbie, skrzynkę piwa uważnym spojrzeniem omiół.

– Też się nażłopalem – powiedział. Znowu rozejrzał się po izbie. – Masz to, co miałeś? – zapytał Gospodarza.

Gospodarz przez chwilę nie pokapował.

– Aaa... tam – pokazał kąt za stołem.

Zdjął Koń ze ściany blaszaną kwartę, nachylił się nad wiadrem i zaczerpnął ze zgrzytem po dnie. Wypił duszkiem, jeszcze zebrał drugi raz.

– Przysłaba – otarł usta. Popił z drugiego wiadra wodą.

– Zacier się nie udał – przyznał Gospodarz.

Koń już tylko patrzył w to miejsce, gdzie stał kubełek z bimbrem. Spust ma on do picia bez umiaru, dlatego Koniem go nazywają.

Poderwał się Gospodarz, kwartę Koniowi odebrał i sam pociągnął jeszcze trochę z dna. Po nim Czesiek Zabłoczcak łyk zagarnął. A Koń patrzył. Wyraźnie nie dopity. Więcej bimbru mu nie dali, więc utkwiał swój jasny, nachalny wzrok w tych kilku butelkach piwa, co zostały z ostatniej skrzynki. Westchnął, skakała mu grdyka. Gospodarz miał z Koniem swoje obrachunki, jedną flaszka go poczęstował. Koń oderwał kapsel zębami i duszkiem wyżłopał.

– Zęby to on ma – powiedział Magazynier z Miasta.

– Co by nie... – uśmiechnął się skromnie Koń i te żółte łopaty całą gębę mu wypełniły.

I tak sobie siedzieli. Magazynier poczęstował ich carmenami. Palili skrzętnie, popluwając raz po raz. Muchy zrobiły się bardziej natrętne. Obsiadały twarze. Oganiali się od nich leniwie. I cięły te muchy, psiekrawie.

– Jakby na deszcz – powiedział Sąsiad przez Płot. Wyjrzał przez okno. Niebo błękitne, śladu chmurki na nim. Tylko mleczna smuga po odrzutowcu.

A zaraz potem zawarczał motor, tuman kurzu wzbil się na drodze. Motocykl wjechał na podwórze. Kury poderwały się z gdakaniem. Czerwona jawa, a chłop w białym podkoszulku niezgrabnie z niej zsiadł. To ten Kulawy, co na lewą nogę utyka. I o nim to mówią, że syna Frojzyngera ma na sumieniu. A było to tak: bogaty kupiec był z Abrama Frojzyngera, młyn miał parowy i zboże na pniu kupował, aż przysła wojna, ukrywał się kupiec po lasach, złapali go Niemcy i powieźli do gazu, ale ludzie mówili: tam w ziemi koło młyna zostawił to wszystko bogactwo zakopane, skończyła się wojna i z całej rodziny kupca Abrama został najstarszy syn, co przy partyzantach ruskich się uchował, wrócił ten syn najstarszy na stare śmiecie, dlaczego wrócił, zastanawiali się ludzie, pewno chce odkopać, co ojciec zakopał, a jak było, nie wiadomo, znaleźli rankiem syna kupca Frojzyngera, od tyłu dostał, kula czołem wyszła, leżał sobie koło młyna, mówili ludzie, Kulawy go sprzątnął, nic nie wiadomo, wykopał Kulawy bogactwo czy nie, gruntu sobie nie dokupił, budynków nowych nie stawiał, po staremu żył, ale kto go tam wie, może to bogactwo ma on głęboko zakopane, milkliwy z niego człek, tylko jak wypije więcej, dostaje rozmowności, ale nie tak, żeby się z czymś wygadać.

Przyjechał więc ten Kulawy i flaszka z za pazuchy wyciągnął. Koń uśmiechnął się szeroko. A Kulawy kuśtyk, kuśtyk, tą sztywną nogą powłócząc, na ławce pod ścianą usiadł.

– Gorąc – powiedział, a hełmu z łba nie ściągnął.

Wtenczas Magazynier z Miasta, który lubił żarty sobie z chłopów robić, wstał i przeciągnął się. Okazały, z wydatnym brzuchem, w krótkich majtkach tylko, na jednej łydce miał tatuaż przedstawiający diabła w kusym surducie pod parasolem. Szacunek do niego mieli za ten okazały wygląd właśnie. Przeciągnął się Magazynier raz, drugi i pierdzieć zaczęła. Pierd miał głęboki, donośny.

– Jakby trąbił – roześmiał się ten Kulawy.

Inni pokiwali z uznaniem głowami.

Kobieta Gospodarza, co przycupnęła siedząc przy dzieciakach, też uniosła gwałtownie głowę.

– Co, co? – powiedziała nieprzytomnie.

– Dzwonią – odparł Kulawy.

Znowu się roześmieli.

A Gospodarz, młody jeszcze i do żartów skory, pozazdrościł i nadał się. Jeden pierd, drugi. Ale pierd pierdowi nierówny. Lepszy był Magazynier z Miasta.

Ta flaszka już została rozpita. Dwa rozlania i koniec.

– To będziesz mógł? – zapytał Kulawy.

– Co by nie – odparł Gospodarz. Wyjrzał przez okno. – Tylko hamulce nawalają – dodał.

W sprawie traktora się zgadywali. Zwozić chce Kulawy swoje zboże ciągnikiem Gospodarza. Magazynierowi sennie opadały powieki. Podziękował więc za poczęstunek i spać poszedł do chlewu na siano.

– Akuratnie grzmiał – powiedział za nim Sąsiad przez Płot.

Pokiwali głowami, a pot ciekł im strużkami po policzkach.

– Kto by miał coś... – odezwał się Czesiek Zabłoczeków.

– Może sołtys – wtrącił Gospodarz.

– Skąd... – zaprzeczył Koń, który wiedział szczegółowo, co kto ma – wychlali wczoraj...

– A u Jadźki w sklepie? – pomyślał w głos Gospodarz.

– Nie da... – stwierdził Koń – strasznie jest na to zawzięta. – Wzdychać począł.

Jak Koń tak wzdycha, to wiadomo już, że nijakiego nie ma sposobu. Gospodyni ocknęła się znowu i popatrzyła na buzię swojej najmłodszej, tej jeszcze nieochrzczonej, pełną much.

– Muchozolu by kupić...

Odgoniła muchy. Ale tylko na chwilę. Znowu dzieci ciąc zaczęły.

Trzyletni zbudził się od tych much uprzykrzonych, zsunął się z łóżka i czołgając się po podłodze, dotarł do drewnianego pieska. Bawić się zaczął tym pieskiem do ściągania cholewianych butów.

I nic już nie mogli wykombinować do wychlania. Wychodzili ociężale z chałupy. Żar bił z nieba, gorączka taka.

– Palić się ludzie będą... – zauważył Kulawy.

A na drodze stał głuchy Julek. Do pasa goły, tylko w lnianych kalesonach. Stał i patrzył na tę ulegalkę samotną, co w polu sołtysa rosła. Od dawna tak już patrzy. A jak go zagadać, to ręce rozkłada, nie słyszy nic, głuchy przecież. I tak ludzie mówią: Julek patrzy; i nic więcej.

Tak i teraz.

– Patrzy – kobieta Gospodarza powiedziała.

– Patrzy – potwierdził Gospodarz i wgramolił się na siodło swojego ciągnika. Zwozić zboże pojechali.

Następnego dnia rano, zaraz po pierwszym powrocie z pola, przyjechał szwagier z Mula-czyska. Z powodu tej gorączki wychodzili ze świtem i wracali koło dziesiątej, znaczy o dziesiątej przyjechał tą swoją warszawą i elegancko pod chałupą zatrąbił. Sąsiedzi popatrzyli. Niejeden szwagra Gospodarzowi pozazdrościł. A szwagier przyjechał w interesie. Chciał węgorza wędzonego zamówić parę kilo. Dziadek Olek takie miejsca w szuwarach zna, takie oczka i kociołki, skąd zawsze wraca z rybą. Przyjechał szwagier z flaszką. Gospodyni garnki brudne pod stół czym prędzej wpychała, stół nakryła ceratą i dzieciakom szmatką buzie przetarła. Zależało jej na tym, bo tam u brata zawsze bielutko, czysto jak w szpitalu.

Gospodarz zaprosił dziadka Olka. Gospodyni jajecznicę na boczku usmażyła. Gospodarz do kieliszków polewał. Dziadek Olek duszkiem ciągnął. Jajecznicy trochę podziobał.

– Węgorz... – stękać zaczął – ciężka ryba... – Cenę w taki sposób sobie podbijał. – Musi... w jakimś oczku trafi się – rzekł wreszcie – haki postawić. – Musi, że trafi się... – powtórzył.

Patrzył Gospodarz z szacunkiem na swego szwagra. W białej koszuli, jakby w ziemi nie robił, wódki powściągliwie po pół kieliszka odpijał.

– Za gorąco – powiedział.

Wiedział Gospodarz, na co szwagrowi te węgorze, choć tamten słowem o tym nie wspomniał. Ważnego chce ugościć. Co najlepsze dla niego ściąga. Gospodyni też wpatrzyła się w brata.

– Jedzenie mu smakuje?

– Zupy lubi – odpowiedział tamten. – Wczoraj kartoflanki moja nagotowała. Pełny talerz zjadł i jeszcze chciał...

– Żarty taki – pokręcił głową Gospodarz.

– Zupy lubi – powtórzył szwagier. Chlebem patelnię po jajecznicy skrzętnie wyczyścił i dodał: – A skromny taki... – uśmiechnął się chytrze ale z oczu mu patrzy, władzę to on ma, ho, ho...

Oboje, Gospodarz i jego kobieta, wpieryw krótko spojrzeli po sobie, bo o drzewie na domki kempingowe pomyśleli jednocześnie, a potem wpatrzyli się w gościa. Bo było to tak: tydzień już minął, jak ten Ważny tu zjechał, skręcił fiat z asfaltówki w polną drogę, dzieciaki biegły w kurzu za samochodem, a fiat podjechał pod dom szwagra Gospodarza, ludzie zza płotów wyglądali, rzadko tu letnicy zjeżdżają, wieś na uboczu i jezioro niewielkie, szuwarem zarosłe, potem już cała okolica wiedziała, Ważny ze stolicy na letniaki tu zjechał, milicjant z powiatówki następnego dnia już tam był, do tego Ważnego podchodzi i kopytami trzaska, czego wam, towarzyszu, trzeba, komendant, powiada, przysłał mnie w tej sprawie, niczego, odpowiedział ten Ważny, pod wieczór sam komendant powiatowy osobiście się zameldował, ale i od komendanta nic ten Ważny nie chciał, a szwagier Gospodarza stał sobie skromnie na uboczu i z nogi na nogę przestępował, myśleli ludzie, dlaczego ten Ważny akurat do niego przyjechał, ale do niczego dojść nie mogli, szwagier Gospodarza milkliwy taki i spytać go wprost nijako przecież.

Tak oto siedzieli przy stole.

– I skromny – powtórzył Gospodarz jak echo za szwagrem.

– Rękę każdemu poda – powiedział szwagier.

I wtedy drugi raz pomyślał Gospodarz o tym drzewie na domki kempingowe. Miał umowę z PTTK-iem, pięć już zrobił, zmyślny do cieszni, wszyscy u niego w rodzinie tacy, a zamierował ze dwa domki dla siebie zbić, postawi na stoku pod lipami, letnikom jak nic można wynajmować, cztery osoby na każdy domek, tylko z drzewem kłopot, do leśniczego dojścia żadnego nie miał.

– Ty... – rzekł do szwagra – pogadaj z nim, niedużo mi trzeba...

Szwagier czoło zmarszczył i nie odpowiedział. Wtedy i Gospodyni trąciła brata w ramię.

– Jak nic, możesz się wstawić... Przepili do siebie we trójkę.

– Nie będzie tak, żeby się nie zgodził – powiedział jeszcze Gospodarz.

Razem z tymi muchami, co tak brzęczały, wyczekiwanie zawisło w izbie. Szwagier z Mularczyka tak ledwo, ledwo pokiwał głową. Ale pokiwał. Zaświeciły się oczy Gospodarza.

– Może jajecznicę dosmażyć? – zapytała jego kobieta.

Bo po porządku było to tak: parę dni temu niby przypadkiem leśniczy z lasu wyszedł i pod domem szwagra stanął, tak się o płot opiera i stoi, do szwagra się uśmiecha, a nigdy tak się nie uśmiechał, tak się uśmiecha i ślepiami po oknach myszkuje, wiadomo, tego Ważnego szukał.

Szwagier Gospodarza jajecznicę już nie chciał. Miał jeszcze Gospodarz dwie flaszki piwa. Postawił. Dziadek Olek zadrzemał przy stole. Poświst, chrząknął, opadła mu głowa. Wiekowy i do ziemi przychylony, zaraza, tak do siebie pogaduje, zaraza, na wszystko. Zły raczej i z synem, też Olkiem, ciągle się gryzie. Gna syn w pole starego, opiera się dziadek Olek jak może, co prawda słabowaty i w latach posunięty, ale na wodzie jeszcze krzepki, tylko woda dla niego całe życie... Córkę jedną ma. Głupia ona, od chrztu ją sankami wieźli, podpici byli, zima wtedy, konie poniosły i do śniegu dziecko wpadło, wrócili, szukali, śnieg głęboki, nim

znaleźli, parę godzin minęło i na kość już była zmarznięta, ale odratowali, na głowę od tamtego czasu jej padło, nie mówi, tylko gdacze, brzydka jak nie wiem co, po lasach się włóczy, jagodami żyje, nieraz popchnie ją któryś z chłopów, co w lesie robią, obali na mech, rozepnie spodnie i swoje zrobi, mówią ludzie, że najbardziej gajowy Ciubarabajka, coraz ją dopada, ona do niego też jakby lgnie, pod siebie ją Ciubarabajka podłoży, sukienkę zadziera, zimą i latem ta głupia Irena majtek nie nosi, głupia, jak to głupia, pogdacze, z ziemi się podnosi i w las leci, a gajowy tylko pięścią jej grozi. Nie ma serca dziadek Olek dla tej swojej głupowatej córki. Dziś z rana kijem ją wymłócił. Walił gdzie popadło, a ona nawet się nie ruszyła, stała i nic. Wylał jak chłop, limo zrobił pod okiem, kłaków parę garści na ostatek wydarł.

Pokazała się akurat w drzwiach chałupy Gospodarza ta głupia i do dziadka Olka po swemu coś gdacze.

– Umykaj, zarazo! – stary zbudził się z drzemki.

Ale ona dalej gdacze.

– Kto ci taką gębę nabił? – zdziwił się obłudnie Gospodarz i do szwagra mruga.

Zamyśliła się głupia. Zerknęła na dziadka Olka. Stary tylko siwe wąsiska skubał. Wąsy ma staroświeckie, długie. Mało kto teraz nosi takie. Głupia uśmiechnęła się naraz i na migi pokazała, że niby jabłko z gałęzi zerwać chciała, a tu gałąź pac ją pod oko. Zmyślna nawet. A szpetna ta głupia Irena, istny strach na wróble, włosy w strąkach, nogi krótkie, ręce niczym małpa, a nochal wielki, chłopski, jak doklejony do gęby.

Kucnęła w progu, jak pies waruje. Tym nochalem pociąga.

– Ma ona tego nosa... – roześmiał się szwagier Gospodarza – jak turecki anioł huja... – Takie jego powiedzenie ulubione. Gospodyni zachichotała na boku.

– Z węgorzem ciężko bywa... – odezwał się dziadek Olek – nie zawsze jest podchodzący. Badawczo popatrzył na szwagra Gospodarza. I nogą tupnął.

Głupia Irena poderwała się i już jej nie było w chałupie.

Stukot chodaków. W krzaki za wychodkiem się schowała.

– Posłuchanie zna... – powiedział szwagier

Gospodarza. Od śmiechu złapało go kichanie. Wysmarkał się zamasyżycie na podłogę.

Gospodyni rozpięła bluzkę, pierś wywalila i dała tej swojej najmłodszej cycka. Przysssało się dziecko łapczywie i sapać zaczęło jak miech.

Chciał jeszcze Gospodarz na motor skoczyć i po flaszkę do spółdzielni pojechać. Ale gość stanowczo odmówił.

– Nie wypada – powiedział tylko.

Domyślnie pokiwali głowami. Na tym stanęło. Podziękował szwagier za gościnę, wsiadł do swojej warszawy, zatrąbił i odjechał. A Gospodarz i jego kobieta poszli w pole snopki stawiać.

*

Jak drugi raz z pola wrócili, to we wsi już był popłoch. Biegali ludzie to tu, to tam.

– Jezu, Jezu! – zawodziła przystaniowego żona.

Za chwilę też Klepacka spod Krzyża płakać zaczęła. Głos miała taki, że po całej wsi się niosło. A Koń, u którego jest telefon, co sił kręcił korbą. Zaraza na świnie padła.

Już z rana przystaniowego żona spostrzegła, że one coś jakby nieswoje. Ale czasu nie było wiele, szli przecież w pole. Kiedy wrócili, to ze świniami było już całkiem źle. Leżały w gnoju, ledwo pochrząkiwały, a żarcie w korycie nie tknięte. Lament podniosła przystaniowego żona. Zbiegli się ludzie.

– Od razu mnie tknęło... – biadolila kobieta. – Za co tak, za co!

Przystaniowy tylko stał, papierosa ćmił i spode łba patrzył na sąsiadów. Wiedział, w czym rzecz. Wiedzieli też ludzie. I tak stali przy chlewie, na świnie popatrywali i papierosy kurzyli.

To zaczęło się tamtego lata, kiedy został przystaniowym w ośrodku wczasowym handlowców z Warszawy. Co rano łódką przez jezioro pruł i wracał wieczorem z kubłami pełnymi pomyj, jakie to jeszcze pomyje, najlepsze, tam w tym ośrodku ludzi dobrze karmili, tak tuczył świnie tym, co stamtąd przywiózł, a co zostało, to wylewał, z nikim się nie podzielił, tylko do gnojówki chlust, tak samo wtedy popatrywali ludzie, nic nie mówili, tylko popatrywali na to marnotrawstwo, a każdy to samo myślał, skarali go wreszcie za tę pazerność i coś świniakom podrzucili. Ale tylko tak się mówi: skarać, rozniosła się zaraza, kury rozniosły, psy, nie dojdiesz, w trzech już miejscach świnie gorączkują, w gnoju jak kłody leżą.

Tak patrzyli na te świnie gospodarze, a myśleli to samo: skarać a skarać, ogień to co innego, podpalili ludzie rok temu stodołę u strażnika rybnego, poszła z ogniem, jeszcze motor tam stał, też go ogień wziął, strażnik latał koło pożaru, Koń, który jest komendantem straży pożarnej, walnął parę razy w gong dla alarmu, mocny ma głos ten gong, z artyleryjskiego pocisku, zleciała się straż, jak kto stał, tak biegł, w gaciach albo samej koszuli, tylko hełmy ponakładali i z toporkami biegli do pożaru, ale jak zamocowali pompę, już było po wszystkim, akurat dach się zapadł, a strażnikowi głowę sadzą okopciło, motor chciał ratować, skarali go ludzie, pies to był nie do wytrzymania, ganiał rybaków i mandaty spisywał, najbardziej na dziadka Olka polował, trzciniami za nim po pas w wodzie, ale nie dał się dziadek Olek, sam strażnik rybę na boku sprzedawał, ale ludziom ze wsi nic a nic, nieraz mu po dobremu mówili, Wacek, no przestań, co taki jesteś, a on – nie i nie, uparty człowiek, choć co prawda bardziej miękki się zrobił od pożaru.

Tak sobie ludzie myśleli, popatrywali na świnie zarazą zwalone i wzdychali.

A baby nic, tylko: – Jezu, o, Jezu!

I ta przystaniowego żona jak głupia. – Ludzie, za co! – Jakby nie wiedziała.

– Pomór – westchnął sołtys i przeżegnał się zamasyście.

– Ostrzeżenie należy dać – rzekł Koń.

Zawołał swojego Janka. Chodzi ten chłopak do piątej klasy i piękne litery stawia.

Za chwilę już na tablicy przy remizie zostało kredą napisane: „Uwaga. Rejon zapowietrzony. Pomór świń.” Tak przepisy każą.

Patrzyli ludzie na tablicę i chwalili tego Janka za litery.

Czekali na Weteryniarza. Weteryniarz samochodem miał przyjechać. Nowy, nieznany, pół roku będzie, jak tu nastał. Każdy o nim myślał. Wiedza była skąpa: niestary, wysoki i ma własną taksówkę.

Już się zmierzchało, a głuchy Julek na drodze stał i w ulegąlkę samotną popatrywał. Biełały w zmierzchu jego gacie. Coraz ciemniej i na drodze raz po raz rozbłyskiwały światła i żwir pryskał na boki. Wioskowe chłopaki zaczęły na tych swoich junakach i jawach pruć. Do dziewczuch jeździli. Potem z dziewczuchami na siodełku z tyłu. Na kawalerską wódkę i z wódki. Coraz szybszy świst i warkot, gaz wyciskają z rączki do końca. A dziewczuchy piszczą. Żwir pryskał, ludzie odskakiwali.

– Motorowe demony... – powiedział Magazynier z Miasta – oni przeważnie atakują drzewa, no nie?

Gospodarz przytaknął. Stał oparty o płot i w ten warkot się wsłuchiwał.

– Coś jakby – natężył słuch.

Ale to znowu motocykl tylko. Gospodarz na głos samochodowego silnika oczekiwał. Przyszedł Sąsiad przez Płot, dziadka Olka syn, też Olek, i paru innych.

– Ogoliłem się należycie – powiedział Sąsiad przez Płot. Magazynier z Miasta też wsłuchał się w daleki jakiś warkot. Ale to nie był samochód.

– ...mój zarost mocny, twardy – ciągnął rozwlekle Sąsiad przez Płot – byle jaka nie wybierze.

Dzieciak w chałupie Gospodarza rozwrzeszczał się nagle. Niósł się ten wrzask w wieczornej ciszy. Westchnął Gospodarz i złożyli się po dziesiątce. Koń skoczył na motor. Z Lasu

wnet skrzynkę piwa przywiózł. Wódkę już mieli. Ale piwo jeszcze na wszelki wypadek. Postawili skrzynkę przy progu.

– Z Konia demon motorowy nie będzie – powiedział Magazynier z Miasta – nawet jak się bardzo ochla...

– Musi tak – przytaknął Gospodarz.

– Iiitam – Koń uśmiechnął się wstydliwie. Niepokój o świnię zakłuł Gospodarza. Pod chlewik podszedł. Ostrożnie uchylił drzwi, poświecił sobie latarką i patrzył.

– Coś nieswoje... – zamruczał – tylko polegają...

– A i moje coś nie takie – wtrącił Sąsiad przez Płot.

Zapalili. Stali w progu chałupy. Cisza teraz. I motorowych demonów nie słyhać na drodze. Kobieta Gospodarza jęczeć zaczęła. Siedziała na łóżku przy dzieciakach, myślała o wieprzach i zawodziła coraz głośniej.

– Cichaj! – zniecierpliwiał się Gospodarz.

Czekali. Nietoperze latać zaczęły.

– Podobno we włosy się wkręcą – odezwał się Magazynier.

– Takie tam gadanie... – zwątpił Gospodarz.

– Wkręcić się nie da rady – powiedział stanowczo Sąsiad przed Płot.

Koń popatrzył na tę skrzynkę z piwem, co stała za progiem, i ani się obejrzał, już przyssał się do jednej flaszki. Zębami kapsel oderwał, ma on te zęby zdrowe, psiajucha, tylko zgrzyt, brzdęk, spadł kapsel. Więc i oni po flaszce sobie wzięli.

A kiedy do chałupy brzuchatego Gospodarza wszedł Weteryniarz, to wszyscy grzecznie wstali. On po kolei rękę każdemu fundował. Postawny, garniturek na nim i pod krawatem, zęby miał białe jak ser i ciągle je pokazywał. Gospodynię w rękę pocałował. Do dzieci skotłowanych, śpiących we trójkę pod derką też się uśmiechnął.

– Udana. Ładne takie...

I zapach za nim poszedł, smaruje się czymś, kropi. Niedobrze, pomyśleli, bo tak popatryli po sobie. Słodki taki, układny, żeby nie daj Boże zmija jakaś, co wycisnąć potrafi bez litości. Ale nic poznać po sobie nie dali i patrzyli na niego z szacunkiem. A nie siedli, dopóki on nie usiadł. Taboret Gospodyni fartuchem wytarła i pod tyłek mu podsunęła.

Zaraz najmłodszy, Czesiek Zabłoczczaków, do studni pobiegł. W studni dwie flaszki chłodzili. Gospodyni też się postarała. Była kura w rosole i placki z jabłkami. Weteryniarz podjadać zaczął i chwalił sobie smak. Sami gospodarze tylko po trochu brali, jakieś skrzydełko, szyjkę, podróbki, dla niego zostawiając całą wyzerkę. Pić zaczęli. Weteryniarz, trzeba to przyznać, kolejek nie opuszczał, a kropki z kieliszka na podłogę wytrząsał.

– Niezła – powiedział – zmęczenie odchodzi. Do Gospodyni zęby wyszczerzył.

Ona aż się zaczerwieniła.

Kury pojadł i dodał: – Taka moja praca... bez przerwy w gotowości...

Zgodnie pokiwali głowami.

– Ciężka i niewdzięczna...

Znowu zrobili się niespokojni.

– Nieraz... – ciągnął Weteryniarz – nocą zrywają, a to poród klaczy, a to krowa się wzdęła... – Tak powiedział i popatrzył na nich badawczo, kołnierzyk sobie rozpiął, krawat rozluźnił. Krawat miał piękny, kolorowy.

Nieswojo im się zrobiło, chrząkać zaczęli, a poniekąd szurać butami. Tak popatrywali na niego nieznacznie i z innymi weteryniarzami przymierzali. A Koń, nie wiedzieć czemu, wdychać zaczął ciężko. Szturchnął go Gospodarz i też się poprawił, tak w sobie skupił i zaczął:

– Z samego rana patrzy przystaniowego kobieta, a tu świniaki coś nie takie...

Ale Weteryniarz ręką niecierpliwie poruszył. Urwał Gospodarz od razu.

– Bo choćby taki fakt... – powiedział Weteryniarz, przerwał na chwilę, po kawałek kury sięgnął, rosołem popił – w jednej wsi zaraza na drób padła, taczało się ptactwo jak pijane, skrzydłami załopotwały i brzdęk na ziemię, gotowe, więc stosowałem rozmaite środki, szwajcarskie nawet, nie skutkowało, dopiero drugiego dnia właściwa blokada...

Trudny, bardzo trudny, pomyśleli ludzie, bo przytakiwać zaczęli skwapliwie. Gospodyni z boku sobie stała i też oczu z tego Weteryniarza nie spuszczała.

– ...albo buhaj zachorował, jaki to był buhaj, rasowy, dorodny, operacja konieczna, i to natychmiast, trzeba go ciąć, z takiego buhaja to był majątek...

– Majątek... – powtórzył jak echo Sąsiad przez Płot.

Weteryniarz dalej mówił tak: – Teraz sztuczny inseminator, pyk, pyk, i po zwarciu... – rozeźmiał się nagle i do Gospodyni się zwrócił: – Przepraszam, ale to fakt...

I oni też się uśmiechnęli. Grzecznie do niego przepili. Przerwał więc na chwilę i przełknął. Znowu kury pojadł. Talerz odstawił i jeszcze bardziej krawat rozluźnił. Ostro po nich popatrzył. Uśmiechali się do niego wstydliwie, półgębkiem. Ale on się nie uśmiechał.

– Takie to moje życie – powiedział – od wypadku do wypadku po wioskach ganiam...

– Ciężkie, wiadoma rzecz – przytaknął niepewnie Gospodarz, coś chciał jeszcze powiedzieć, ale jakby go zatkało. Oczyma przewracał i nic.

– A wiecie, panowie, ile czasu się uczyłem? – zapytał ich Weteryniarz.

Poruszyli się niespokojnie. Patrzył na nich wyczekująco. Gospodarz ślinę głośno przełknął i głową pokręcił.

– Trzy lata dłużej od tego, co ludzi leczy, rozumiecie, trzy lata... – uniósł rękę wysoko, rozstawił trzy palce.

Koń westchnął jeszcze ciężiej niż poprzednio.

– Człowiek... – zamyślił się Weteryniarz – mówi, co mu dokucza, lekarza na trop naprowadza, a zwierzę, no czy zwierzę powie? – Powiódł wzrokiem po zebranych.

Skwapliwie zaprzeczyli.

– Wiadomo, nie... – odezwał się Koń – zwierzę nijakiej pomocy nie da...

– No, sami widzicie! – ucieszył się Weteryniarz. – Do choroby w bydłęciu samą tylko wiedzą medyczną można trafić.

I tak popatrzył po stole. Kury już nie było. Talerze puste. Czym prędzej Gospodyni półmisek z plackami mu podsunęła. Ale placków to on nie chciał. Gospodarz na kobietę krzywo spojrział.

– Może jajecznicę dosmażyć? – odezwała się Gospodyni.

Ale Weteryniarz nie usłyszał. Zamyślił się naraz, brodę podparł łokciami i w okno patrzy.

Co on tam widzi? Też popatrzyli w okno. A tam czarno, nic. Ale za chwilę jakby coś... Szelest. Kroki. Czujny ten Weteryniarz.

To dziadek Olek do okna siwy swój łeb wpakował. Syna swego, też Olka, wypatrzył.

– Wędzić będę – powiedział i chciał go zagonić do zbierania olszyny.

– A wam to nie łaska dupy ruszyć – odciął się syn jego, też Olek.

– Zaraza! – parsknął stary w wąsiska i okiennicą trzasnął. Sam poszedł za olchowymi gałęziami po nocy się tarabanić.

– Głupi stary – powiedział Gospodarz.

– Na świnie mór padł, a on nic, tylko wędzić i wędzić – dodał Koń.

Popatrzyli przepaszająco na Weteryniarza. Ale on wodził teraz roztargnionym wzrokiem po suficie. Długo tak po tym suficie czarnym od much myszkował. Co on znowu tam widzi? Sufit drewniany, belkowanie popękane, a pośrodku wbity hak do rozbierania świńskiej tuszy. Podsunęli mu flaszkę piwa. Wódka już się skończyła. Niech się piwem chociaż zgłuszy. Popił piwa Weteryniarz. Gardło ma jak chłopskie, lekko na jeden łyk butelkę wziął. Gul, gul, już puste. Poprawił się na taborecie, po suficie ślepiami znowu miotnął, a uśmiechał się tak jakos i zaczął:

– My tu gadu, gadu, tak można całą noc... Tylko czasu szkoda, tyle jest innych spraw, wzniosłych, pięknych, ciekawych, bo choćby architektura, pod dachem przecież siedzimy, czyli jak zbudować dom, pałac, zamek, świątynię, rozumiecie?

Od razu przytaknęli.

– Architektura, czyli ucieleśnienie w drzewie czy kamieniu fantazji, polotu, świadomość celu, cel i fantazja, fantazja skrzydła ludzkiemu wysiłkowi daje. A jak to wyglądało w czasach dawnych, tak zastanowić się i wyobrazić sobie tę przeszłość odległą, jak to człowiek nie ustępował i do góry swój gmach wznosił, kamień po kamieniu, coraz wyżej i wyżej, mały taki człowiek, a budowa jego do nieba, siła i cierpliwość, nie tylko dach nad głową, ale potrzeba chwały, trwały ślad w kamieniu... – mówił coraz szybciej, a dłonie splótł i palcami młynka kręcił.

Więc tak w te palce, którymi kręcił, wpatrywali się pilnie.

– W starożytnej Grecji rozróżniamy trzy style w architekturze, podstawowe kierunki wznoszonego w trwałym materiale piękna, dorycki, joński, koryncki, te kolumny doryckie jak pień drzewa z ziemi wyrastały, kapitel, pilaster, głowica, która dźwigała dach cały, proste te kolumny, surowe, i żłobił Grek pionowo kolumnę, przez to jakby rosła, olbrzymiała, bo już koryncki to coraz więcej ozdób, ornament rzeźbiony niech oko cieszy, to wyliczenie, proporcje i symetria tak nieomylna, a żadnych udogodnień przecież nie mieli, mózg i fizyczny wysiłek, wysokość, podstawa, utrzymać sklepienie, kształt nadać porywający, światło i radość, ile w tym spokoju, wzniesłego spokoju i trwałości, niezmacona jasność i harmonia, albo ta gra światła i cieni... taki pałac był na Krecie, Labirynt, rozumiecie, panowie...

Popatrzyli na siebie i nie wiedzieli, w czym rzecz. Ten Kulawy, co go o Frojzyngera podejrzewają, swój hełm motocyklowy ścisnął, aż mu żyły na dłonie wystąpiły grube jak postronki. I na Weteryniarza ponuro patrzył. A on już palcami młynka nie kręcił.

– Labirynt, czyli pałac króla tamtejszego Minosa, komnat miał kilkaset, wejść tam było łatwo, a wyjść... – ręką w powietrzu jakieś zawijasy porobił, oczy przymknął i uśmiechał się gapowato, dziwnie tak.

Gospodarz z Magazynierem ostrożnie, wysoko unosząc nogi wysunęli się z izby. Za potrzebą na podwórze wyszli.

– A ile on sobie policzy? – zaniepokoił się Gospodarz.

Niebo było czarne i gwiazd na nim dużo. Gwiazdy pogodę wróżą.

– Tego nie można przewidzieć – odrzekł Magazynier z Miasta – o tej architekturze dużo wie, może być kosztowny.

Zafrasował się Gospodarz. Stał przy płocie, trzymając fujarę. Dawno już mu się sikanie skończyło, a on tak trzymał fujarę w dwóch palcach i myślał, myślał.

Gwiazdy na niebie jakby mrugały. Gdzieś zaszczekał pies.

Kiedy wrócili do izby, Weteryniarz wciąż mówił o tych stylach.

– ...Świątynie złotem błyszcząły, marmur i złoto, Akropol ta góra się nazywała, Grecja, czyli Hellada, w Atenach to miejsce święte się znajdowało, bogów siedziba, Zeus był najważniejszy, świątynie i posągi, powiadam wam, tylko marmur i złoto, ale czas nieubłagany zębem swoim, zostały jedynie ruiny, ślady piękne tamtej architektury... – I cały czas w sufit patrzył, a tam muchy spały. Gospodyni za nim wzrokiem po suficie wodziła.

– Muchozolu by... – zaczęła.

Ale Gospodarz dał jej znak i nie dokończyła swego. Coraz bardziej niespokojni wszyscy. Co ten sufit ma do siebie, że tak wszystko się zachachmęciło?...

Ten Kulawy, co go o Frojzyngera podejrzewają, pierwszy wyciągnął pieniądze. Za nim inni. Cichaczem na wódkę się złożyli. Nikt się nie opierał, nawet Koń skwapliwie do kieszeni sięgnął.

Gospodarz z chałupy się wymknął, na motor skoczył i po wódkę do tartaku pojechał.

– ...W Rzymie natomiast Koloseum gigantyczne zostało wzniesione... ogromna to budowla i wspaniała. Koloseum, ma się rozumieć, było bez dachu, tak to człowiek sztukę budowania doskonalili... do słońca, do gwiazd, bogom i sobie... – Weteryniarz uniósł się na taborecie i ręce ponad głowę trzymał.

Też zadarli głowy.

Naraz tarabanienie natarczywe do drzwi się rozległo. I stękanie jakieś, przekleństwa...

W progu stanął chłop czymś białym zawalany, jakby mąką czy wapnem. O rower ciężko się wspierał, kołysał się z boku na bok. Gały ślepe na ludzi wytrzeszczył i powiedział tak:

– A nie wiecie, gdzie jest droga na Walne? – Zaraz nogi się pod nim złamały, ukląkł prawie.

– Za płotem na lewo pójdziecie... – powiedział ten Kulawy, co go o Frojzyngera podejrzewają – do pola i od ulęgałki żwirówka jak strzelił na Walne...

Wytoczył się z izby ten pijany.

A Weteryniarz dalej mówił:

– Świątyni tych piękność była niesłychana, smukłe, strzeliste, ale i siła od nich szła...

Wrócił Gospodarz, ale z niczym. Nie trzyma już ten sklepowy z tartaczego GS-u wódki w chałupie, ludzie donos złożyli i tak zdjęli go z tego sklepu, a nowy jeszcze nie obyty. Wrócił Gospodarz z pustymi rękoma i patrzy w Weteryniarza pokornym wzrokiem.

– ...setki lat ludzi wzruszały. Piękno zawsze wzrusza, coś takiego ono w sobie ma... Dotąd jeszcze do Grecji czy Rzymu pielgrzymują, żeby na rozsypane w gruzy budowle popatrzeć, siadają gdzie bądź, patrzą na kamienie i niektórzy nawet płaczą... – głos mu się zmienił, cienki taki i drżący – płaczą... – powtórzył.

Zaskrzypiały deski, zadudniła podłoga w sionce. Drzwi się z rozmachem otworzyły. Znowu ten z rowerem zakolebał się w progu.

– Ludzie! – zawołał przeraźliwie – nie wiecie, gdzie jest droga na Walne?!

– Idźże, ty skurwancki! – zezłościł się Koń.

Ale co zrobić takiemu? Przyłożyć, ręki szkoda, nic to nie pomoże. Czesiek Zabłoczcak już się do niego rwał, ale go odciągnęli. A poniektórzy przypomnieli sobie Ciubarabajkę. Także samo ochlany gajowy błakał się po lesie i nijak nie mógł wyjść, Chrystusie Nazareński, wołał i bach, obijał się łbem o pniaki. Więc znowu wytłumaczyli mu akuratnie. Ten z rowerem mankiety nogawek próbował sobie podwiązać, żeby mu w szprychy nie włożyły. Pochylał się ciężko i w żaden sposób nie mógł ułapić.

Wytoczył się na podwórze, a w krzakach coś zaraz zachręściło. Wyjrzał za nim Czesiek Zabłoczcak. Padł ten z rowerem pod płot. Leżał z nogami rozrzuconymi szeroko i księżyc oświetlał go zimnym światłem. Postękiwał w ziemię i trochę wierzgał, ale słabo.

Weteryniarz już nie patrzył w sufit, w drzwi uchylone teraz się gapił, ale jeszcze mówił: – ...bo w Rzymie wielkość i przepych zastąpiły greckie piękno... – Naraz ręką machnął i już nie dokończył. Tak poruszył się cały jak pies, co otrząsa się z wody.

Zaniepokoił się wszyscy.

– Wódka człowieka zmęczyła – wyjaśnił Gospodarz.

Weteryniarz drugi raz tak się otrząsnął. Gospodyni znowu te placki z jabłkami podsuwa. A Koń grzebać zaczął w skrzynce po piwie. Liczył pewnie, że jakąś pełną flaszkę znajdzie.

Weteryniarz w pieska do ściągania cholewianych butów się zapatrzył. Oni za nim też.

– Zmyślny – powiedział.

– Ano, ano... – przytaknął Koń.

Oblatany, wie, do czego służy, bo tak trzewik swój czarny elegancki do tego pieska przyłożył. Później, jak uniósł głowę, to oni to samo.

– Od wódki – powiedział – jeszcze gorszy haszysz...

I poruszał dalej ustami, ale dźwięku żadnego nie słyhać, zatkało go czy tchu brak... Nic go nie zrozumieli. Co tak na nich patrzy? Pokrętnik taki. Trudny człowiek, nieodgadniony.

Magazynier z Miasta też durnego oka dostał. Ciężki zaduch w izbie, gorąc i posapywania. Gospodyni przysnęła przy dzieciakach, usta rozdziawiła szeroko i ślina jej kap, kap. Cisza była długa. Muchy na suficie spały, dzieciaki też, a oni tak siedzieli, sztywno wyprostowani, i na kolanach dłonie trzymali.

– Wracając do naszych spraw... – Weteryniarz spojrzął na zegarek, błyszczała mu twarz, spocił się nielecho.

Szyje wyciągnęli. W słuch się zamienili.

– ...znaczy zaraza trzodę chlewną zaatakowała... – głos miał inny już, nie taki, jak o tych stylach gadał. Nogę na nogę założył i odchrząknął.

Wtedy to trzeci raz wtargnął do chałupy ten chłop w mące czy czymś utyłany, rower oburącz za kierownicę trzymał. Łapy miał wielkie, spracowane, tak kierownicę w żelazny uchwyt chapnął.

– Ludzie! —zawył i lży mu ciurkiem pociekły – a nie wiecie, gdzie jest droga na Walne?! Jak turecki anioł wyglądał.